KWARTALNIK CHYROWSKI.

DEO-PATRIAE-AMICITIAE.

•••

KORESPODENCYA PRZYJACIELSKA W MIEJSCE RĘKOPISU.

ORGAN: KONWIKTU. SODALICYI KONWIKTOWEJ, CHYROWSKIEGO KOŁA TOW. IM. PIOTRA SKARGI ORAZ ZWIĄZKU CHYROWIAKÓW.

Nr. IV. LISTOPAD 1919.

101.

Jenerał Sodalis.

Już d. 3-go września 1914 roku przechodził przez Chyrów ze swoim oddziałem Legionistów, członek Lwowskiej Sodalicji, pułkownik Józef Haller, a fotograficzne zdjęcie defilady tego oddziału umieściliśmy w 85-tym zeszycie naszego pisemka. Karpatczycy, wśród których było też i grono Chyrowiaków, miewali częstą sposobność budować się żywą wiarą i czułą miłością ku Maryi swego dowódcy. Już wtedy Nadwórna i Kołomyja bywała świadkiem, jak pułkownik Haller w kornej modlitwie błagając Boga o zwycięstwo, zasilał się do boju, walk i trudów Chlebem Żywota, dając przykład całem swem postępowaniem, jakiem być winno polskie wojsko...

Przeszedł Generał Haller: Kaniów, Dniepr, Murman, Marnę i wraca tułacz w piątym roku wojny do wolnej już Ojczyzny. Ledwie stanął na polskiej ziemi ten wierny syn Kościoła i Maryi, witają go wraz z całym krajem najserdeczniej jako swego członka Sodalicje Marjańskie w Warszawie, we Lwowie, Krakowie, Częstochowie i Poznaniu.

Związek zjednoczonych Sodalicyj ofiarowuje Jenerałowi-Sodalisowi sztandar, na którego tle czerwonem widnieje srebrzysty orzeł, a na białem otoczone [illegible]ową koroną Serce Jezusowe. Ofiarowują mu ryngraf wielki z obrazem Jasnogórskiej Pani i z wizerunkiem św. Wojciecha. Ofiarują mu wreszcie relikwjarz z szczątkami bł. męczennika, pińskiego apostoła, Andrzeja Boboli. A do tych darów dołączono następujące słowa:

„Kiedy Ojczyzna nasza, jak długa i szeroka, składa dziś w Twoje ręce i swoje bóle i swoje nadzieje, kiedy serca polskie zwracają się

dziś ku Tobie, jako ku zbawcy, i w Tobie widzą swą wolność i swoje życie: to my, słudzy niegodni Boga Wielkiego i stróże rycerstwa duchowego Maryi, pragniemy u stóp Twoich złożyć Ci hołd i zapewnienie, że w Tobie widzimy wiary świętej obrońcę a Królowej Polskiej, Najświętszej Panny, wiernego rycerza; że w Tobie widzimy spadkobiercę i wykonawcę tych ślubów królewskich, które po dziś dzień stoją jako mocny fundament pod wielką niepożytą budowę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Jenerale! Nie przypadkiem to się stało, ale zrządzeniem przedziwnej Opatrzności Bożej, że w pierwszej księdze rycerzy Maryi Sodalisów w Polsce, która do dzisiejszego dnia istnieje przy Kościele świętej Barbary w Krakowie, wśród takich samych, do najwyższego natężenia dochodzących zmagań naszej Ojczyzny między życiem a śmiercią, zapisali swe imiona: Jeremi Wiśniowiecki, Stefan Czarnecki i Jan Sobieski.

Owiani pamięcią tych wielkich narodu zbawców i wielkich rycerzy Maryi stajemy przed Tobą, aby Tobie, ich duchowemu Druhowi przynieść w upominku te same znaki rycerskie, któreby Ciebie jak ich, na te same wiodły święte a zwycięskie boje. Bo oczyszczając z tego samego, jak Jeremi, hajdamactwa tę ziemię polską, aby Wierze i Ojczyźnie zapewnić pokój, a zbłąkanym dać możność prawdziwego życia i prawdziwej wolności, może Ci przyjdzie, jak Jeremiemu, stoczyć w głębi serca swego te same największe i najtrudniejsze walki; może, wyrzucając precz potęgą oręża swego odwiecznych wrogów imienia Polaka z Jego odwiecznej Ojcowizny, spotka Cię taka sama nagroda, co Czarneckiego; może wreszcie Bóg przeznaczył Ci, jak Sobieskiemu, byś wezwawszy Imienia Maryi, obronił Chrześcijaństwo od nowego pogaństwa, które, zamiast Krzyża na świątyniach Pańskich, chce zawiesić półksiężyc swojej ubóstwionej swawoli, a tę Ziemię świętą, to dziedzictwo Maryi, zamienić na jaskinię swych najsprośniejszych namiętności.

Więc abyś szedł, niepokonany, ani przez wrogów Krzyża i Imienia Maryi, ani przez siebie samego, a szedł ku zwycięstwu sam zwycięsca; abyś władając nieskalanym orężem rycerza, władał równocześnie potęgą spieszącego Ci na pomoc Boga przez przyczynę Maryi i wiernych Jej sług Świętych, przynosimy Ci w darze stary rycerski Ryngraf Tej, która Jasnej broni Częstochowy. Nie wisiał on w poważnych komnatach naszych matek, ani w miękkich nowożytnych salonach, ani w świątyniach Pańskich, ale na piersi rycerzy, hetmanów, ale wśród muzyki dział, świstu szabel i szumu proporców, wśród burzy pułków lecących na śmiertelne tany; wisiał on na pancerzach, co się serdeczną barwiły krwią, przelewaną obficie za wiarę i Ojczyznę, wśród zakrzyknienia: Jezus Marya! jak i wśród tryumfalnych hymnów zwycięstwa.

Kresy wschodnie: to jego gniazdo; Pancerze Sadowskich: to jego kaplica.

A na drugiej stronie tego Ryngrafu Maryi święci się postać świętego Wojciecha, który włożył w usta rycerza Polaka talizman prawości i męstwa: Bogurodzica Dziewica.

A że się dziś iści na oczach naszych to, co sto lat temu, bo roku 1819 przepowiedział Polsce Bł. Andrzej Bobola, Sodalis Marianus i męczennik za wiarę z rąk hajdamaków na błotach Pińskich, więc Ci ofiarujemy cząstkę Jego świętych męczeńskich kości, aby Cię bronił od skrytych pocisków wroga; a kiedy przyjdzie stoczyć Ci ostatni bój śmiertelny z wrogami wiary i Ojczyzny na błotach Pińskich, aby Cię poprowadził do przepowiedzianego przez siebie zwycięstwa i wolności Ojczyzny.

A jako po raz pierwszy tę zdumiewającą przepowiednię ogłosiła Polsce szlachetnem swem słowem Francya, tak i Ciebie Bóg do nas z Francyi przyprowadza.

A żeś nam przybył pod hasłem jedności i miłości: Vivat Sejm! Vivat Naród! Vivant wszystkie stany, by wymieść z Polski hydrę niezgody i śmiertelnej nienawiści, niech Cię prowadzi na czele Twych zwycięskich pułków Sztandar, utkany ręką Dzieci Maryi, na którym obok srebrzystego Orła widnieje znak zbawienia naszych czasów:

SERCE JEZUSA!
IN HOC SIGNO VINCES!

Obrona Chyrowa.

Dnia 14 i 15 maja.

Już od 6 maja zauważyć się dała obustronna gorączkowość w przysposobieniu się do ofenzywy na 15-ty maja; termin ten znany był Rusinom od połowy kwietnia, gdyż z Chyrowa wysyłano im w butelkach Strwiążem różne wiadomości. Im bliżej akcji, tem częstszy i gęstszy spadał na miasto, Konwikt i otoczenie grad pocisków nieprzyjacielskich, od których płonęły zabudowania, a ginęło wiele osób cywilnych i wojskowych. Wystraszona ludność chroniła się z całem mieniem w piwnicach, żołnierz natomiast szedł śmiało na obronne pozycje, kopał rowy, sypał szańce, budował ziemianki, oplatał cały teren kolczastym drutem i gęstą siecią linij telefonicznych, spędzając ze szczytów gór systematycznie i planowo ruskich obserwatorów. Z dniem każdym rosła liczba dział i kulomiotów, napływały zwolna nowe siły zbrojne, jawili się wsławieni zwycięskimi bojami wodzo-

wie: Gen. Iwaszkiewicz, Zieliński, Berbecki; serce wzbierało otuchą powodzenia.

Ale i wróg nie zasypiał sprawy. Informowany przez licznych szpiegów o ruchach i przesuwaniu polskich wojsk, bił zaciekle w miasto, dworzec kolejowy i Konwikt, by naszej akcji przeszkodzić i ducha w wojsku osłabić. Raz po raz dostrzedz było można maszerujące przez Grodowice duże oddziały ruskie na Wołczę, obsadzające Felsztyn, Berezów, Śliwnicę. W atmosferze czuło się bliską, groźną burzę. Pierwsze jej zwiastuny zjawiły się w Bąkowicach 13-go maja wieczorem w postaci dwóch pocisków piętnastocentymetrowych i jednej ośmnastki. Pierwsze zerwały dach nad lecznicą konwiktową, drugi wyrwał olbrzymi lej obok lodowni. Piekielny huragan ruskiej ofenzywy rozszalał nad nami we środę rano d. 14-go maja. Przez pół godziny między 7 a 8 biło 20 kilka dział ukraińskich w gmach Konwiktu i otoczenie. Pękające granaty i szrapnele potrójnego kalibru osłoniły Konwikt chmurą dymu i pyłu tak, że kolejarze ze stacji nie mogli nawet widzieć Konwiktu. Zewsząd sypały się okruchy cegieł i rozbitych murów, spadały z łoskotem połamane belki i dachówki, z brzękiem leciały tysiące szyb, a fontanny wyrzuconej granatami ziemi sięgały wysokości wieży. Powietrze napełniał nieustanny grzmot dział, zmieszany z przeraźliwem wyciem kul; kto żył polecał Bogu ducha w przekonaniu, że ostatnia dlań wybiła godzina. Ojcowie i Bracia zgromadzeni w kaplicy szukali ratunku w Eucharastycznem Sercu Boga pewni, że z tego N. Serca przez pośrednictwo Matki N. i św. Józefa spłynie z nieba na Konwikt, miasto i wojsko polskie błogosławieństwo obronne i pomoc skuteczna. Rzeczywiście podczas adoracyi N. Sakramentu wojska polskie złamały atak ruski na linii Dobromil—Posada Chyrowska, Słochynie—Polana, przechodząc z nieustraszonem męstwem do kontrataku. Gromko odezwały się niebawem milczące dotąd nasze działa z kolegjackiego ogrodu, z pod fabryki p. Pokornego i od cmentarza. Z Chyrowiaków przy bateryach w naszym parku byli por. Stanislaw Starowieyski, Wł. Ładomirski i młodszy Tad. Łubieński. W Grodowicach rozbito ruski pociąg pancerny. Nie pomogło Rusinom uszkodzenie toru kolejowego pod Dobromilem, nie przydał się im obserwator w balonie na uwięzi, który raz po raz podnoszony lub zniżany śledził pozycje, ruchy i akcje polskie od strony klasztoru OO. Karmelitów w Sąsiadowicach. Z hańbą musieli się cofnąć na dalsze pozycje. Około g. 2 popołudniu ustał bój, lecz armaty nasze grały do wieczora.

Obydwie strony podrażnione rozpoczęły spieszną akcję przygotowawczą do nowego ataku na dzień następny. Z niebywałym zapałem ściągano zewsząd posiłki piesze, konnicę i działa. Oficerowie objeżdżali placówki wokoło, a potem naradzali się bardzo długo. Rusini pewni zwycięstwa głosili wśród swych żołnierzy i ludu, że nazajutrz Konwikt obrócą w gruzy, a w Chyrowie będą ucztować. Wieczorem 14. maja nastąpiła jakaś złowroga cisza...

Nasi zmienili nocą niektóre pozycje armat, bo dotychczasowe wyśledzone przez wroga były w niebezpieczeństwie rozbicia. Wojsko odebrało rozkaz, by cała załoga konwiktowa t. j. 7. pułk piechoty z dowódcą podpułk. Udałowskim, kapitanem księciem Radziwiłłem i braćmi Bowbelskimi stawiła się w Starzawie. Tam o g. 10. wieczorem Brygadyer Berbecki odbył przegląd wojska, a rozdzieliwszy je zaopatrzył wodzów w znakomite, szczegółowe instrukcye, poczem kazał w największym spokoju i ładzie udać się na wyznaczone pozycje, a o pewnej godzinie ruszyć w wskazanym kierunku. Pod osłoną chłodnej i pochmurnej nocy rozpoczęła się wędrówka Legionów lasami od Starzawy popod szczyty Suszyckie koło Skargowskiego leżącego już krzyża, pod Koszarki, Polanę, i Śliwnicę z jednej, pod Radycz, Słochynie i Wołczę z drugiej strony. Wiadomo nam, że pod Radyczem z Chyrowiaków walczyli podp. Jerzy Deskur, Zyg. Sobański, Henryk Wallisch. W ogromnem napięciu nerwów i ducha czekało wojsko i mieszkańcy Chyrowa świtu d. 15 maja, w którym z łaski Najwyższego rozpocząć się miał tryumfalny pochód wojsk polskich ku oswobodzeniu wschodniej Małopolski...

Zaświtał, lecz zanim słoneczko złocić poczęło skłon niebieski, dreszcz grzechotu karabinów maszynowych targnął wszystkimi szczytami: to wstęp do polskiego ataku. Ledwie świt, a na szczytach suszyckich zawzięta toczy się już bitwa—krok za krokiem zdobywają nasi szczyt po szczycie. Zegar wybił $^{1}/_{2}$5-tej, odezwał się dzwonek klasztorny, gdy równocześnie radosną muzyką zagrały nasze działa, plując na wroga obfitym deszczem miedzi i żelaza. Wreszcie naprawdę po półrocznej obronie ruszyło nasze wojsko rzeczywiście naprzód!... Już o godz. 6-tej wojska nasze zdobyły Koszarki i Kiczary mimo zaciętego oporu wroga i silnego obstrzału tych szczytów przez celną rusko-niemiecką artylerję. Podczas jej huraganowego ognia, skierowanego na Koszarki, dowództwo prawego naszego skrzydła schroniło się do rowów, zdobytych świeżo na nieprzyjacielu, gdzie po nocnych trudach mimo piekielnego huku i pękających pocisków Bryg. Berbecki spał spokojnie.

Wspaniale wyglądały nasze tyraliery, sunące szybko na Berezów, Tarnawkę i Szuminę, płosząc wroga ze Słochyń, Grodowic i Felsztyna. Groźny był natomiast widok Wołczy, płonącej od godz. 10-tej rano do wieczora. Ogień podłożyli nasi, nie mogąc z tej twierdzy inaczej wypędzić Rusinów, których reszta uciekła nocą przez Błozew na Sambor. Wojsko polskie szło naprzód z nieopisaną brawurą. Za niem trzydzieści kilka naszych armat, głosiło zgubę Ukrainie, a nam zwycięstwo i tryumf. I dziwna rzecz, ci którzy chcieli ucztować w Chyrowie, głosząc Ukrainę aż po San, dziś w panicznym popłochu uciekają ku granicy węgierskiej; prawdziwie: fortuna variabilis.

Duszą akcyi ofenzywnej na odcinku Chyrowskim był Generał Zieliński, który z cmentarza Chyrowskiego kierował mądrze całą ofenzywą, nie schodząc z pozycji od świtu aż do zmierzchu. Późnym

wieczorem przybył on zmęczony do Konwiktu, by po skromnym posiłku zażyć krótkiego spoczynku. Nazajutrz o g. 5-tej wypił kawę, a żegnając księży rzekł te słowa: „Gorąco wam dziękuję za gościnność i bardzo proszę o modlitwy, bo jeśli kiedy, to dziś szczególniej potrzebujemy pomocy Bożej. Wsparci siłą z nieba zwyciężymy". I zwyciężył, bo zaufał w Panu!...

Na zakończenie podajemy spis Chyrowiaków, którzy służyli w wojsku polskim broniącem Chyrowa w ciągu całego tego półrocza krócej lub dłużej: Rotmistrz Tadeusz Łubieński wraz z synem Tadeuszem. Bracia Henryk i Maryan Linderscy, Bracia Józef i Leon Pragłowscy, Kap. Rudolf Underka, Stanisław Kuczkiewicz, Tadeusz Niemczyński, Xawery Otowski, Zbigniew Skalski, Jerzy Yunga, Zdzisław Szczawiński, Bogusław Komornicki, Józef Strzelecki, Stanisław Chobrzyński, Jan Jurasz, Franciszek Schindler, Witold Mikucki, Jacek Pieniążek, Maryan Zarzycki, Zbigniew Karczewski, Stanisław Marcinkiewicz, Stanisław Strzelecki, Tadeusz Haładewicz, Jerzy Deskur, Stanisław Starowieyski, Tadeusz Aywas, Władysław Ładomirski, Roman Merson, Mieczysław Szłapa, Leon Schnür-Pepłowski, Ignacy Lewakowski, Mikołaj Drużbacki.

X. J. B.

Powrót do gniazda.

Początek wojny w. r. 1914 zastał konwiktorów na wakacyach, więc Chyrów nie był świadkiem tego bolesnego rozprószenia i zamętu, jakieśmy przeszli w listopadzie zeszłego roku. Wróg w swem zaślepieniu i chyba tylko nienawiścią dającym się wyjaśnić kroku, bijąc d. 20. listopada z armat na bezbronny gmach konwiktowy, o mało nie pozbawił życia licznych dziesiątek zgromadzonej w nim młodzieży. Rusini następnie po wywiezieniu księży, zmuszając konwiktorów do nagłego rozjazdu, narażali ich na pełną niebezpieczeństw tułaczkę. Zważywszy, że większość wyjechała w czasie silnych mrozów i jako uzdrowieńcy po hiszpance, że wyjeżdżano nagle bez należytego przygotowania, a część nawet wozami, — musimy przyznać, że P. Bóg rzeczywiście kule nosi, że św. Józef czuwał nad powierzoną swej Opiece rodziną, gdyż mimo tego rozpędzenia całego Konwiktu, mimo tej tułaczki, mimo tylu chorób zaraźliwych, mimo półrocznego ostrzeliwania Konwiktu — nikt nie zginął, wszyscy zdrowi, a choć się rozpierzchli w różne strony, obecnie znów szczęśliwie do gniazda wracają.

Powracający znaleźli już Konwikt i jego otoczenie przywrócone do możliwego porządku, lecz jakże on inaczej wyglądał w pierwszych dniach po uwolnieniu od ruskiego oblężenia. Opisał to szczegółowo

p. St. Zachariasiewicz w 115 numerze „Gazety Lwowskiej“ z d. 20. maja, a jego korespondencję powtarzały później i inne dzienniki.

Gdym przybył do Chyrowa d. 24. maja, wyjechał stąd właśnie po krótkich odwiedzinach X. Prowincjał H. Haduch. Z księży zastałem OO. Stafieja, Burego, Kohlsdorfera, Mroza i Żukotyńskiego, większość Braci, oraz Br. Dydka, który już ze Lwowa przybył, aby kierować restauracyą Konwiktu. Zamówił on zaraz 25 tysięcy dachówek, gdyż wschodnia część kwadratu była zupełnie bez dachu, oraz większą ilość szkła, gdyż trzeba było wprawić 2300 szyb. Dachówka przyszła prędzej i na początku sierpnia już był cały gmach nakryty, ale na szkło dłużej trzeba było czekać.

Tak w kwadracie, jak i naokoło gmachu było pełno gruzów, błota, słomy i śmieci, co później na kilkudziesięciu furach wywieziono. Najprzykrzejszy widok ruinacyi przedstawiała lecznica, zwłaszcza pierwsza jej sala przyjęć i dentystyka były zupełnie przez granat zrujnowane. Szafa wielka apteczna leżała zdruzgotana, ale rzecz dziwna gipsowa figurka św. Józefa, stojąca poprzednio na tej szafie, stała na ziemi wśród gruzów zupełnie nie uszkodzona. W murach Konwiktu były trzy wielkie otwory w kwadracie od strony wschodniej, dwa z frontu, jeden w lecznicy od strony Grodowic, oraz kilka mniejszych. Wiele też kul wpadało przez okna do sal naukowych, do kaplicy, do sali rysunkowej. Wszystko to zaraz zaczęli murarze łatać, a w kilku miejscach wmurowano i łuski z granatów.

Na boiskach, w parkach i drogach było wiele lejów już obecnie zasypanych; tylko ochrony dla bateryj zbudowane przez por. Józefa Strzeleckiego w parku kolegjackim, jakoteż rowy i zasieki na pobliskich polach za stawkami i wyżej można jeszcze dotąd oglądać.

Wreszcie d. 3. czerwca wieczorem powitaliśmy naszych wygnańców szczęśliwie powracających z Kołomyi. Powoli zaczęli się pokazywać Konwiktorzy i starzy Chyrowiacy, ciekawi jak wygląda Konwikt po tym najeździe i oblężeniu. Niebawem wróciła też część księży, która znalazła schronienie w Starejwsi pod Brzozowem.

Większość uczniów zapisała się w różnych gimnazyach, więc też tam była klasyfikowana, część jednak zwłaszcza ze wschodu przybyła w pierwszych dniach lipca do Chyrowa na wstępne egzamina; było takich około 60. Do matury zaś d. 10 lipca zasiadło pięciu, a mianowicie Tadeusz Knaur, Jan Skurewicz, Leon Tchorznicki i Klerycy T. J. Józef Konewecki i Antoni Kulinowski.

Restauracya zniszczonego Konwiktu, zwłaszcza wewnętrznego urządzenia postępowała dalej i szybkim krokiem, chociaż zniszczenie obecne było o wiele większe, niż z czasów inwazji rosyjskiej. Stolarze, malarze i ślusarze kończyli już swoją robotę, tylko jedynie nieposzklone dotąd okna, były przyczyną, że zjazd do Konwiktu odłożono aż do 10. września.

Dom Związku Chyrowiaków.

Związek nasz nie może być bezdomny, podkreślono na ostatniem walnem zebraniu Związku.

Stowarzyszenie liczące, z górą 400 członków, musi zorganizować Spółkę, a z kapitału, który powstanie z udziałów, musimy nabyć lub wybudować dom.

Jaki cel tego domu i dla kogo jest on potrzebny?

Będzie ten dom przedewszystkiem przynosił wielki pożytek Chyrowiakom akademikom. W zagranicznych uniwersyteckich miastach różne stowarzyszenia utrzymują takie domy celem przyjścia z pomocą akademickiej młodzieży. Akademicy niezmiernie wiele czasu tracą, zajmując się drobiazgami codziennego utrzymania, a czas ten mogliby o wiele pożyteczniej wyzyskać dla swego fachowego wykształcenia, a zarazem przyspieszyć swoje przygotowanie do zawodowej pracy dla dobra społeczeństwa i Ojczyzny.

Regulamin następnie takiego Domu Chyrowiaków będzie również zabezpieczeniem dla akademika przeciw wielu niebezpieczeństwom, grożącym młodemu człowiekowi na uniwersytecie; towarzystwo zaś pewniejszych etycznie ludzi, oraz całe urządzenie pensjonatu będzie zarazem środkiem do dalszego rozwoju i wyrobienia szlachetnego charakteru akademika.

Nie wyklucza się jednak i tej ewentualności, że w domu tym będzie mógł nie raz znaleźć pomieszkanie przejściowo czy to młody, rozpoczynający swój zawód Chyrowiak, czy też inny członek Związku jako to rygorozant, czy też na specyalne jakieś studya przybyły i t. p. Zbędną też jest rzeczą przypominać, że Związek mając dom własny, będzie mógł niekiedy w razie potrzeby przyjść niezamożnemu akademikowi z wielką pomocą, udzielając mu w krytycznem jego położeniu przytułku. Że wreszcie tak Koło Lwowskie jak i sam Związek będą miały swój główny lokal, tak dla swego rozwoju niezbędny, nie potrzeba się długo rozwodzić.

Wątpiących i wahających się uspakajamy, że świadomi jesteśmy zupełnie do jak trudnego dzieła chcemy przystąpić, a zarazem, że obecnie wskutek warunków wywołanych wojną nie może być mowy o budowie w najbliższej przyszłości, natomiast główną naszą akcją, do której zaraz przystąpić pragniemy, jest gromadzenie kapitału, a zarazem takie zabezpieczenie udziałów, któreby nikogo z udziałowców na żadną stratę nie narażało.

Statut Spółki udziałowej już jest opracowany, a gdy tylko będzie zatwierdzony i uchwalony, ogłosimy go drukiem.

Wzywamy więc i zapraszamy członków Związku, aby wyraźnie i stanowczo zgłaszali, z jakim udziałem do tej spółki chcą przystąpić,

a swoją deklarację nadsyłali do Prezesa Związku Chyrowiaków albo do Redakcyi Kwartalnika.

Na razie pieniędzy nie trzeba jeszcze nadsyłać (chyba jako ofiarę na dom) ale tylko deklaracje na udziały.

Zwracamy się również z prośbą o przystąpienie do Spółki P. T. Rodziców obecnych konwiktorów, gdyż praca nasza i starania tyczą się dalszej przyszłości właśnie ich synów: z projektowanego domu przedewszystkiem Wasi synowie, a obecni konwiktorzy na pierwszem miejscu będą korzystać, a udziałowcy będą mieli zagwarantowane pierwszeństwo.

Dr. Jerzy Rosinkiewicz.

Lwów, Szopena L. 5, II. p.



Pokłosie myśli i wierszy z 1919 roku.

Polskich sztandarów ptak,
Wieczystej chwały znak
W błękitny wionął szlak
Dumnie jak wprzód.

Błysnęła zorza z chmur,
Znalazła w sercach wtór
A orzeł bielą piór
Osłonił lud.

Hej! ludu, czoła zniż,
Twe orły wieją wzwyż,
Tak szły na armat spiż
Za dawnych dni!

Swobody głoszą wieść:
O! Ty umiesz nieść
I ginąć za ich cześć
W potach krwi.

Pod tych sztandarów wiew
Wolności dźwięczał śpiew,
Za wolność ciekła krew
Przez tysiąc lat.

Kto ich nie umie czcić
Kto zrywa wieków nić,
Ten z nami nie wart żyć!
Ten nie nasz brat.

Pod nowej zorzy wschód,
U złotych jutra wrót
Nie pyta: skąd twój ród?
Ten sztandar nasz.

Gdzie wolny duch się wzbił,
On zawsze pierwszy był,
I święcił krwią swych żył
Swobody straż.

Więc cześć sztandarom tym,
Co w mroku długich zim,
Wzwyż duchy wiernym swym
Umiały wznieść.

Za kaźń męczeńskich lat!
Za noc więziennych krat
Za świętych ofiar kwiat
Na wieki cześć!

Wileńska parafraza „Boże coś Polskę”.

Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,
Coś ją osłaniał tarczą swej opieki
Od nieszczęść, które owładnąć nią miały;
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić, Panie!

Za długiej nocy niezgłębione cienie,
Za mękę cichą i ofiary krwawe,
Racz przenajświętrze spełnić nam marzenie:
Na nowo połącz Wilno i Warszawę!
Przed Twe ołtarze itd.

Wysłuchaj, Panie! Niech błagalne słowa
Wzbiją się do Cię nad wojenną wrzawę!
Zburz grób, gdzie stała kolebka Piastowa,
Na wieki połącz Gniezno i Warszawę!
Przed Twe ołtarze itd.

Łaski Twej, Panie. wzywamy, opieki.
Wznosząc swe dłonie od krwi bratniej krwawe;
Od bratobójstwa wybaw nas na wieki!
Na wieki połącz Kraków i Warszawę!
Przed Twe ołtarze itd.

Ślubujem Chryste w dziejach okres nowy,
Chrześcijańską stworzyć Europy sprawę!
Złącz Poznań, Wilno, zrzuć z Polski okowy,
Złącz Cieszyn, Kraków, Gdańsk, Lwów i Warszawę!
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Złącz polskie ziemie, Jezu Chryste Panie!

Ignacy Paderewski.

Hej, Orle Biały!

Hej, Orle Biały, pierzchły dziejów mroki,
Leć dziś wspaniały hen na lot wysoki —
Nad pola chwały, nad niebios obłoki,
Ponad świat cały — wielki i szeroki.

Hej Orle Biały, ongi tak zraniony,
Zbyt długo brzmiały pogrzebowe dzwony,
Rozpaczne szały i żałosne tony —
Wiedź nas na śmiały Czyn nieustraszony!

Hej! Na bój! Na bój gdzie wolności zorza!
Hej! Na bój! Na bój! za Polski brzeg morza!
Za Polskę wolną od tyrańskich tronów,
Za Polskę dawną, Piastów, Jagiellonów!

Hej! Na bój! Na bój! Taka wola Boża,
Hej! Na bój! Na bój! za Gdańsk i brzeg morza.
Za ziemię całą tę rodzoną naszą
Za wolność wszystkich: za Naszą i Waszą!

Powitanie Hallerczyków.

Jeszcze Polska nie zginęła
póki my żyjemy!
Bagnetami Jej granice
sami wypiszemy!
Koniec o Polsko! męki i konania!
Świeci na niebie zorza Zmartwychwstania!

Z bratniej Francyi maszerują
do nas Hallerczyki!
Lśnią bagnety! Dudnią działa!
wieją proporczyki!
Witajcie Wiara! Witajcie Hetmanie!
Witaj! w Ojczyzny święte Zmartwychwstanie!

Mówi ojciec do swej Basi
cały zapłakany:
„Po stu latach znowu nasi
biją w tarabany!“
W półtora wieku, z niewoli posłania
Wstaje Ojczyzna w zorzy Zmartwychwstania!

Przeszli Kaniów, Dniepr i Murman
Do Francyi zabiegli!
Pod Verdunem i nad Marną
niejedni polegli!
Z dalekiej ziemi słuchali wołania!
Idą do Polski w zorzy zmartwychwstania!

Idzie wojsko! Rośnie wiara!
Radość w Polsce całej!

Biją dzwony! Płaczą ludzie,
a z wieży hejnały!
Zerwał się orzeł! Ze mgły się wyłania!
Lśnią białe skrzydła w zorzy Zmartwychwstania!

W górę serca! A do pracy
wyciągajmy ręce!
Dzwigać Polskę umęczoną
w skrwawionej sukience!
O Matko Polsko! Boże zmiłowanie!
Pokój Ludowi! w Twoje Zmartwychwstanie!

Grajcie trąby! A na zgodę!
Na jedność w narodzie!
Utopimy stare grzechy
W sinej Wisły wodzie!
Wesprzyj się, Matko na granitu ścianie!
Na wiernym Ludzie w Twoje Zmartwychwstanie!

W. T.

Pisanie do Matusi.

Matuśko moja, nie płacz po mnie,
Żem rzucił dom nasz w biel spowity,
Że widząc twarz twą przeogromnie
Smutną – ja mały, twój rodzony
Tu na kresowe zbiegłem strony
Najeźdcom krwawe palić świty!

Matuśko moja! Tamżeś smutna
Ostała w ojców mych komnacie;
Ty nie wiesz, jaka złość okrutna
Wrogów i jaka braci dola – – -
Tu nocą płaczą trupów pola
I głód po każdej szepce chacie.

A zielny zagon, łany żytnie
Nad mogiłkami pieśni szeleszczą.....
Co krok tu krzyżyk w chabrach kwitnie
I strasznie biedny ludek szary,
Śmierć mu granatem kopie jary.....
Miast matki — wronie skrzydła pieszczą.

Matuśko droga, nie bądź gniewna,
Żem odbiegł ciebie w dniu przyzewu.
Moc mnie wołała łzami rzewna
I srogiej wieści czarne ptaki
Na te kresowe, polskie szlaki. . . . .
Nie do radościm szedł, do śpiewu,

Ni mnie ciekawość nie poniosła.
Jeno wołanie dalne braci,
Których się nędza z męką zrosła:
Niesława czoła tym zapali,
Co śpią — — — gdy bracia tu dokonali
Na zagrożonej pół połaci. . . . . .

O matuś moja! — nie martwże się,
Toć lat skończyłem już piętnaście;
Ramię karabin sprawnie niesie.
Nie raz kroczyłem krwi korałem:
Aleć zrobili mnie kapralem. . . . . .
Jest rozkaz. . . . . . w domu go pokażcie.

I fotografię ci doręczą.
Matuśko, spojrzyj — jakby żywa!
Jeśli cię smutki jakie dręczą:
Patrz! — Krzyż na piersi tkwi obrony,
Wstydu ci nie da twój rodzony,
Powinnaś bardzo być szczęśliwa. . . . . .

Więc matuś moja zjaśnij oczy,
A w smutku nie kryj się siwizną.
Kończę. . . . . gdzieś blizko bój się toczy. . . .
O Jezu! idziem do ataku!
Matuś! a myśl o twym chłopaku. . . . .
Wrócę. . . . . wraz z Wolną już Ojczyzną!

Janusz Kozłowski.

PIEŚŃ 1919 ROKU.

Jeszcze Polska nie zginęła,
póki my żyjemy;
co nam obca przemoc wzięła,
mocą odbierzemy!„ —

Nie zginęła umęczona,
wstaje w jasnej zorzy,
z ciemnic złota jej korona
pęki świateł mnoży.

I wskrzeszona, nieśmiertelna
od Karpat do Gdańska —
kresów broni garstka dzielna
i prawica Pańska!

Nie zginęła Polska święta.
Na trupach — w pożarze
skupiły się jej pisklęta
przy krwawym sztandarze.

Nie osłabnie moc spiżowa,
póki świeci słonce;
pokąd takie jako Lwowa
będzie mieć obrońce!!!

Dziwne wieści z gór powiały,
serca koją blizny;
ponoś z Francyi Orzeł Biały
leci do ojczyzny!

Leci Orzeł, wojsko wiedzie
Za Polską stęsknione,
a przed nimi Haller jedzie
ku nam — na obronę.

Hej! więc naprzód! sztandar w dłonie
runiem w imię Boga!
stu słońc wolna jutrznia płonie!
z bagnetem na wroga!

Marsz! marsz żołnierze
w jutrznię Zmartwychwstania;—
nikt nam nie odbierze
Lwowa — ni Poznania!!!

3. MAJ.

Janusz Kozłowski.

SIENKIEWICZOWSKI EPIZOD.

„Ilustr. Kur. C.“ w N-rze 203 zamieścił o Kol. M. Sichrawie następujący opis:

Komendzie 5 pułku Legionów operującej na północnym odcinku litewskim przeciw bolszewikom doniesiono, że pojawiły się w pewnem oddaleniu bolszewickie oddziały. Celem zasięgnięcia języka, wysłano dnia 29 czerwca 1919 r. 20-letniego podchorążego Mieczysława Sichrawę, który mimo młodego wieku odznaczył się już zimną krwią i brawurą w tego rodzaju ekspedycjach. Sichrawa dobrawszy sobie ośmiu ludzi, wybrał się na wywiady. Posunąwszy się ze swoim oddziałem już dosyć daleko na północ od Ignalina pod Rymszańce, dowiedział się, że w pewnej większej odległości nadjechał bolszewicki pociąg pancerny z działami i karabinami maszynowymi. Sichrawa postanowił zajść na tyły pociągu pancernego, zniszczyć tor kolejowy, uniemożliwić w ten sposób odwrót pociągu, a następnie zaalarmować większe siły, aby ten pociąg pancerny opanowały.

W tym celu wydał rozkazy swemu patrolowi. Rozpoczęto drogą okrążającą. Nagle jednak za Rymszańcami pojawił się oddział konnicy bolszewickiej, złożony z kilkudziesięciu ludzi i około 200 piechoty, a równocześnie zagrały karabiny maszynowe. Patrol został otoczony, Sichrawa nie tracąc zimnej krwi rozrzucił oddział swój w tyralierkę i kazał prażyć ogniem na wszystkie strony. Nieprzyjaciel począł gęsto padać. W tej chwili jeden z żołnierzy naszych otrzymał postrzał kulą ekrazytową w brzuch, a Sichrawa otrzymał postrzał w prawą pierś. Mimo ciężkiej rany, Sichrawa nie zaprzestał walki. Ciężko ranny plując od czasu do czasu krwią, strzelał jeszcze z karabinu, a wraz z nim jego dzielni towarzysze. Walczący pozabijali wielką ilość nieprzyjaciół, a granatami ręcznymi zniszczyli dwa nieprzyjacielskie karabiny maszynowe.

Gdy już dzielni chłopcy powystrzelali wszystkie naboje i zużyli już wszystkie granaty ręczne. Sichrawa czując że słabnie i że sam się już nie uratuje, wydał rozkaz swemu oddziałowi, aby ratował się ucieczką. Dzielny oddział dopiero na ten rozkaz rozpierzchnął się w sąsiednich gąszczach i zbożach.

Sichrawa osłabiony i zalany krwią pozostał na placu boju. Nie tracąc przytomności zerwał sznur, na którym miał zawieszony na szyi zdobyczny bolszewicki rewolwer i nieznacznie wsunął go za szarawary. Rewolwer osunął się w dół nogawki. W tej chwili otoczyli Sichrawę bolszewicy i poczęli rannego bić kolbami grożąc mu, że go powieszą. Na szczęście zjawił się jakiś oficer bolszewicki, zbił nahajami napastników i oświadczył, że rannego oficera nie można zabijać, zwłaszcza że może udzielić im cennych informacyj. Bolszewicy ograbili jedynie Sichrawą zabrali mu papiery, zegarek, portfel z pieniądzmi i ściągnęli mu buty.

Rewolwer w szarawarach uszedł na szczęście ich uwagi. Rannego ciężko Sichrawę pędzili bolszewicy z jakie 8 wiorst piechotą, nie zaopatrzywszy wcale jego rany. Po drodze oficer bolszewicki indagował Sichrawę o stanie i pozycyach sił polskich. Sichrawa udzielił mu całego szerego nieprawdziwych i najfantastyczniejszych wiadomości i opowiedział mu, że za jego oddziałem ciągną ze wszystkich stron bardzo wielkie siły. Te nieprawdziwe wiadomości przyczyniły się do tego, że większe oddziały bolszewickie mimo swoich przeważających sił cofnęły się później i zaniechały dalszej akcyi zaczepnej.

Po kilkugodzinnej drodze, oddział konwojujący jeńca stanął na odpoczynku. Oddział składał się z kilkudziesięciu koni i pieszych. Postój urządzono tuż pod laskiem, konie puszczono na paszę, a jeździcy przechadzali się obok. Sichrawę pilnowało tuż obok kilku bolszewików. Sichrawa osłabiony i wycienczony położył się na trawie nie spuszczał jednak z oka swoich wrogów. Żołnierze, widząc ciężko rannego i jakby omdlałego jeńca rozpoczęli ze sobą rozmowę i zaczęli przeszukiwać zabrany Sichrawie portfel, odwróciwszy się od niego. Z tej chwili skorzystał Sichrawa. Nieznacznie wyciągnął ze szarawarów rewolwer, zerwał się i błyskawicznie zastrzelił dwóch najbliżej stojących bolszewików, trzeciego ciężko ranił, wskoczył na najbliżej stojącego konia i wpadł w las.

W tej chwili zaalarmowany oddział konnicy i piechoty popędził za uciekającym. Rozpoczęły się wyścigi na śmierć i życie. Ponieważ kula przeszyła Sichrawie płuca i wyszła łopatką pod prawą ręką, przeto Sichrawa nie mogac władać prawą ręką, chwycił się rękami grzywy końskiej, a w lewej trzymając rewolwer, strzelał z niego w tył do goniących go nieprzyjaciół. Bolszewicy goniąc uciekającego strzelali do niego z karabinów. Jeden ze strzałów trafił w siodło uciekającego konia, a ponieważ kula była ekrazytowa, przeto wybuchła. Koń spłoszony wybuchem poniósł uciekającego i tym sposobem wysunął się znacznie przed pogonią. Po chwili Sichrawa z rany, upływu krwi i wysiłku stracił przytomność, zemdlał i spadł z konia. Było to na szczęście w gęstwinie, tak że pogoń nie zauważyła upadku a słysząc dalej bieg konia, pobiegła za koniem. To uratowało Sichrawę. Pogoń dalej trwała za jeńcem, o którym sądzono że ucieka na koniu, a tymczasem biedny ranny leżał nieprzytomny w lesie.

Jak długo trwała nieprzytomność Sihrawa nie pamiętał. Gdy przyszedł do przytomności i zorjentował się w sytuacyi, poczuł się tak osłabionym, że nie mógł powstać na nogi. Począł się w tedy czołgać w kierunku, w którym miarkował, że znajduje się tor kolejowy. Po wielu godzinach czołgania się dotarł nareszcie do toru kolejowego — i dowlókł się do najbliższej budki kolejowej. Tam szczęśliwie natrafił na kolejarzy polskich. Ci obandażowali rannego, a ponieważ w niedalekiej odległości kręciły się patrole bolszewickie, przeto w obawie ażeby ranny nie wpadł ponownie w ich ręce, postanowili go zawieść do najbliższych placówek

leśnych. Wynajęto chłopa, umieszczono rannego na wozie, zakryto słomą i sianem i w ten sposób odwieziono go szczęśliwie do najbliższych oddziałów polskich.

Tymczasem oddziały polskie, zaalarmowane już zostały przez patrol Sichrawy, który szczęśliwie do swoich wrócił. Kapitan Bernard Mond zebrał wszystkie swoje siły, aby Sichrawę albo wyrwać z rąk bolszewickich, albo przynajmniej odebrać trupa. Nikt bowiem nie miał już nadziei, aby Sichrawa mógł być przy życiu.

Gdy Sichrawa znalazł się wśród swoich, udzielił kapitanowi Mondowi wskazówek co do rozłożenia sił nieprzyjacielskich i kapitan Mond wyruszył w tej chwili przeciw bolszewikom i zadał im ciężkie straty.

Rannego ciężko Sichrawę przewieziono do szpitala. Stał on się bohaterem chwili. Dowódca dywizji północnego odcinka, generał Rydz-Śmigły, osobiście odwiedzał kilkakrotnie rannego, gratulował mu bohaterskiego czynu przedstawił go do awansu i oświadczył Sichrawie, że za ten czyn przeznaczony będzie do najwyższego odznaczenia wojskowego, jakie będzie w Polsce ustanowione tj. do Krzyża *virtuti militari.*

Podchorąży Sichrawa jako szesnastoletni chłopiec, uczeń VI klasy gimnazyalnej wstąpił w r. 1916 do I Brygady Legionów polskich, odbył wszystkie kampanie frontowe, brał udział w walkach nad Stochodem, Polską Górą, Konstantynówką etc., był dwukrotnie ranny granatem. Brał następnie udział w walkach 1918 — 1919 na froncie lwowskim przeciw Ukraińcom; a stąd poszedł na front litewski, brał udział w zdobyciu Wilna, Lidy, Święcian etc. Pod Święcianami odznaczył się wybitnie i tam przebito mu bagnetem nogę na wylot. Stało się to na trzy tygodnie przed dniem 29 czerwca 1919.

BIESIADA PRZYJACIELSKA.

Uście, 30. III. 1918.

Nie wiem, czy i kiedy ten list dojdzie, ale posyłam go dołączając kilka druków, które będą cenną pamiątką na przyszłość.

D. 14. II. zadecydowali nasi najwyżsi komendanci, aby z powodu Chełmszczyzny pójść do Muśnickiego, gdyż tutaj niema co więcej służyć. Przez 4 lata nas tylko okpiwali — widać za wierną służbę. Dnia 15. II. rano zakomunikowano oficerom, że wieczór o g. 7-mej alarm i odmarsz. Natychmiast kuferek z mojemi rzeczami i niektórych znajomych oficerów zawiozłem do Czerniowiec; ordynans mój wziął do ręki pakunek z najkonieczniejszemi rzeczami, ołtarz polowy na wóz i w milczeniu maszerujemy falangą ku frontowi. Druty telegraficzne wszystkie poprzecinane, karabiny w pogotowiu, na czele kompania szturmowa

leśnych. Wynajęto chłopa, umieszczono rannego na wozie, zakryto słomą i sianem i w ten sposób odwieziono go szczęśliwie do najbliższych oddziałów polskich.

Tymczasem oddziały polskie, zaalarmowane już zostały przez patrol Sichrawy, który szczęśliwie do swoich wrócił. Kapitan Bernard Mond zebrał wszystkie swoje siły, aby Sichrawę albo wyrwać z rąk bolszewickich, albo przynajmniej odebrać trupa. Nikt bowiem nie miał już nadziei, aby Sichrawa mógł być przy życiu.

Gdy Sichrawa znalazł się wśród swoich, udzielił kapitanowi Mondowi wskazówek co do rozłożenia sił nieprzyjacielskich i kapitan Mond wyruszył w tej chwili przeciw bolszewikom i zadał im ciężkie straty.

Rannego ciężko Sichrawę przewieziono do szpitala. Stał on się bohaterem chwili. Dowódca dywizji północnego odcinka, generał Rydz-Śmigły, osobiście odwiedzał kilkakrotnie rannego, gratulował mu bohaterskiego czynu przedstawił go do awansu i oświadczył Sichrawie, że za ten czyn przeznaczony będzie do najwyższego odznaczenia wojskowego, jakie będzie w Polsce ustanowione tj. do Krzyża *virtuti militari*.

Podchorąży Sichrawa jako szesnastoletni chłopiec, uczeń VI klasy gimnazyalnej wstąpił w r. 1916 do I Brygady Legionów polskich, odbył wszystkie kampanie frontowe, brał udział w walkach nad Stochodem, Polską Górą, Konstantynówką etc., był dwukrotnie ranny granatem. Brał następnie udział w walkach 1918 — 1919 na froncie lwowskim przeciw Ukraińcom; a stąd poszedł na front litewski, brał udział w zdobyciu Wilna, Lidy, Święcian etc. Pod Święcianami odznaczył się wybitnie i tam przebito mu bagnetem nogę na wylot. Stało się to na trzy tygodnie przed dniem 29 czerwca 1919.

BIESIADA PRZYJACIELSKA.

Uście, 30. III. 1918.

Nie wiem, czy i kiedy ten list dojdzie, ale posyłam go dołączając kilka druków, które będą cenną pamiątką na przyszłość.

D. 14. II. zadecydowali nasi najwyżsi komendanci, aby z powodu Chełmszczyzny pójść do Muśnickiego, gdyż tutaj niema co więcej służyć. Przez 4 lata nas tylko okpiwali — widać za wierną służbę. Dnia 15. II. rano zakomunikowano oficerom, że wieczór o g. 7-mej alarm i odmarsz. Natychmiast kuferek z mojemi rzeczami i niektórych znajomych oficerów zawiozłem do Czerniowiec; ordynans mój wziął do ręki pakunek z najkonieczniejszemi rzeczami, ołtarz polowy na wóz i w milczeniu maszerujemy falangą ku frontowi. Druty telegraficzne wszystkie poprzecinane, karabiny w pogotowiu, na czele kompania szturmowa

z granatami ręcznymi. Inne oddziały legionowe miały dołączyć się w drodze, tylko ułani w Skolem i kadry w Bolechowie nadążyćby nie mogły. W ostatniej chwili dowiedziałem się od popa ruskiego w Mamajesti, że dziś w nocy mają nas otoczyć i rozbroić te oddziały, jakie od dwu dni tu nadjeżdżają.

Jak duchy nocne szliśmy przez Sadogórę do Rarańczy forsownym marszem. Patrole silne po bokach, dwa patrolě założyły miny na mostach na Prucie koło Czerniowiec, aby, skoro 13 pułk krakowski przejdzie, wysadzić mosty. Niestety pułk nie przeszedł, zatrzymali go w Czerniowcach i mosty ocalały.

Na kilometr od pozycji o godz. 11 w nocy widzi nasza szpica dwu żołnierzy ze skrzyżowanymi karabinami, a za nimi 3 oficerów, którzy mówią, że nam iść nie wolno; po krótkiej wymianie słów oficer strzela do naszego majora Orlika, na to hasło zaczynają strzelać na nas karabiny maszynowe, a tyraliera Madziarów rozsypana w poprzek drogi; gotowiby nas całkiem wystrzelać, ale oficerowie nasi momentalnie zastrzelili 3 austrjackich oficerów, a nasz oddział kulomiotów zaczął już strzelać na Madziarów, idąc na nich do ataku rozsypani w tyralierę. Nie bili ich potem, ale odbierając karabiny odsyłali na tyły. Po kilkunastu minutach posuwamy się dalej, ale bojąc się drugiej zasadzki idziemy ostrożnie i przez pola. Tren tylko miał iść drogą przez wieś, otoczony kompanią szturmową dla swej obrony. Ciężko nam było, — co chwila „padnij“, bo austrjacy świecili rakietami i reflektorami — pole było dawną pozycją austrjacką i rosyjską, więc co chwila wpadało się do rowu : — jedni drugich wyciągają. Pół kilometra szliśmy tak 6 godzin ze strasznem utrudzeniem. Najgorzej było tym, co dźwigali maszynowe karabiny na plecach.

O godz. 6-tej rano przechodzimy grupkami przez druty na linii 1—2 km. Austrjaków było bardzo mało, inni za dnia salutowali nam nawet, innym rzucano przez drzwi do ziemianek granat ręczny i spokój. Wtem na nas zaczyna strzelać austrjacki maszynowy karabin i armaty. Wtedy nasz (choć przeszedł już) 3-ci baon 3-go pułku wrócił na pozycje austrjackie, ustawił swe kulomioty i zmusił Austrjaków do milczenia. Równocześnie kompanie szturmowe uderzyły na artylerję. Wobec tego przeszliśmy do Rokitnej — i dalej aż do Sadłowiec. Całe popołudnie spoczywaliśmy. Po drodze dowiedzieliśmy się, że nasz tren został zestrzelony ogniem artyleryjskim, oraz że nie przeszła też i nasza artylerja.

Dalej pieszo idziemy na Jampol aż za Don.

Ks. Kazimierz Konopka T. J.

Nałęczów, 24. IX. 1918.

Przypuszczając, że mych kolegów wojskowych zajmą prawdopodobnie kwestje wojenne, — zacznę od opisu mego pobytu w rosyjskiej

z granatami ręcznymi. Inne oddziały legionowe miały dołączyć się w drodze, tylko ułani w Skolem i kadry w Bolechowie nadążyćby nie mogły. W ostatniej chwili dowiedziałem się od popa ruskiego w Mamajesti, że dziś w nocy mają nas otoczyć i rozbroić te oddziały, jakie od dwu dni tu nadjeżdżają.

Jak duchy nocne szliśmy przez Sadogórę do Rarańczy forsownym marszem. Patrole silne po bokach, dwa patrolě założyły miny na mostach na Prucie koło Czerniowiec, aby, skoro 13 pułk krakowski przejdzie, wysadzić mosty. Niestety pułk nie przeszedł, zatrzymali go w Czerniowcach i mosty ocalały.

Na kilometr od pozycji o godz. 11 w nocy widzi nasza szpica dwu żołnierzy ze skrzyżowanymi karabinami, a za nimi 3 oficerów, którzy mówią, że nam iść nie wolno; po krótkiej wymianie słów oficer strzela do naszego majora Orlika, na to hasło zaczynają strzelać na nas karabiny maszynowe, a tyraliera Madziarów rozsypana w poprzek drogi; gotowiby nas całkiem wystrzelać, ale oficerowie nasi momentalnie zastrzelili 3 austrjackich oficerów, a nasz oddział kulomiotów zaczął już strzelać na Madziarów, idąc na nich do ataku rozsypani w tyralierę. Nie bili ich potem, ale odbierając karabiny odsyłali na tyły. Po kilkunastu minutach posuwamy się dalej, ale bojąc się drugiej zasadzki idziemy ostrożnie i przez pola. Tren tylko miał iść drogą przez wieś, otoczony kompanią szturmową dla swej obrony. Ciężko nam było, — co chwila „padnij", bo austrjacy świecili rakietami i reflektorami — pole było dawną pozycją austrjacką i rosyjską, więc co chwila wpadało się do rowu: — jedni drugich wyciągają. Pół kilometra szliśmy tak 6 godzin ze strasznem utrudzeniem. Najgorzej było tym, co dźwigali maszynowe karabiny na plecach.

O godz. 6-tej rano przechodzimy grupkami przez druty na linii 1—2 km. Austrjaków było bardzo mało, inni za dnia salutowali nam nawet, innym rzucano przez drzwi do ziemianek granat ręczny i spokój. Wtem na nas zaczyna strzelać austrjacki maszynowy karabin i armaty. Wtedy nasz (choć przeszedł już) 3-ci baon 3-go pułku wrócił na pozycje austrjackie, ustawił swe kulomioty i zmusił Austrjaków do milczenia. Równocześnie kompanie szturmowe uderzyły na artylerję. Wobec tego przeszliśmy do Rokitnej — i dalej aż do Sadłowiec. Całe popołudnie spoczywaliśmy. Po drodze dowiedzieliśmy się, że nasz tren został zestrzelony ogniem artyleryjskim, oraz że nie przeszła też i nasza artylerja.

Dalej pieszo idziemy na Jampol aż za Don.

Ks. Kazimierz Konopka T. J.

Nałęczów, 24. IX. 1918.

Przypuszczając, że mych kolegów wojskowych zajmą prawdopodobnie kwestje wojenne, — zacznę od opisu mego pobytu w rosyjskiej

szkole wojskowej w Kijowie. Do szkoły zabrano mię z 1-go kursu Instytutu Cywilnych Inżynierów w Piotrogrodzie, skąd mogłem, wprawdzie wstąpić przed poborem studentów mego roku jako ochotnik czyli „wolnoopredjelajuszczyjsia“ do szkoły artyleryjnej, inżynieryjnej lub nawet marynarki — lecz powołany z poboru, musiałem zgodzić się na taką szkołę, do której mnie wyśle moja władza wojskowa. Muszę dodać, że przed rewolucją w Rosyi był taki brak oficerów, że każdego młodego człowieka ze średniem, a potem nawet 6-io klasowem wykształceniem wysyłano do szkół wojskowych, skąd po 4 miesiącach nauki taki pan wychodził już jako oficer w randze chorążego czyli praporszczyka do zapasowego pułku lub nawet czasem odrazu na front. Dzięki staraniom mego ojca wysłali mię do Kijowa, gdzie mieszkali moi Rodzice, do t. z. „Konstantynowskiej szkoły piechoty“, która przed wojną uchodziła za jedną z lepszych szkół w Rosji, teraz zaś, z powodu wyczerpania inteligentniejszego kontyngensu rekrutów, była zapełniona długowłosymi, brudnymi i wielce chamowatymi uczniami seminarjów, ludowymi nauczycielami i tym podobnymi indywiduami, którzy przy obiedzie potrafili jeść rybę... nie nożem, broń Boże, — a palcami, a kości, obyczajem średniowiecznych rycerzy, rzucać pod stół lub chować do serwetki, z zasady nie używać chusteczek do nosa, jednem słowem towarzystwo było tak ujmującej powierzchowności i tak wdzięcznie wychowane, że w pierwszej chwili zdjął mię lęk, czy pod wpływem tych okoliczności nie popełnię zbrodni dezercji. Miałem wprawdzie w swej rocie jednego kolegę, studenta, ale i ten miał dopiero 34 lata, żonę i dzieci, a był już aż na 4 kursie politechniki w Piotrogrodzie, — czyli innemi słowy — i ten wielką inteligencją nie grzeszył. Z początku czułem się naturalnie w tem otoczeniu okropnie źle, ale powoli przyzwyczaiłem się i do swych „jenteligientnych“ koleżków i do surowej dyscypliny wojskowej. Wstawaliśmy o godz. 6 rano, budzeni przeraźliwymi dźwiękami trąbki, w ciągu 3 kwandransów musieliśmy być już umyci i ubrani, potem następował przegląd, czy każdy ma wyglansowane „kazionne“ buty i wyczyszczony mundur, dobrze ściągnięty pas i wszystkie guziki i chaftki. Potem stawaliśmy do śpiewanej modlitwy, która przed rewolucją kończyła się zawsze „Boże cara chrani“. Następnie szliśmy na śniadanie, składające się z czystej herbaty i jednej bułki, (porcye wydzielane) a po śniadaniu odbywały się wykłady w klasach lub na boiskach do godz. 12-tej. O 12-tej — 2 śniadanie — jakaś kasza, fasola lub gulasz z chlebem, poczem od 12-tej do 3-ciej wychodziliśmy z karabinami w pole lub na place uczyć się, jak najlepiej i najwięcej zabić ludzi, — a o 3-ciej był obiad z 3 dań, a potem do wieczora „czas wolny“. Wieczorem odrabiało się lekcje, czyściło broń lub czytało książki; chodziliśmy też do sali gimnastycznej lub do czytelni poczytać książkę. Na miasto wolno było wychodzić tylko w sobotę wieczorem i w niedzielę, po rewolucji zaś codziennie po obiedzie. Roz-

szkole wojskowej w Kijowie. Do szkoły zabrano mię z 1-go kursu Instytutu Cywilnych Inżynierów w Piotrogrodzie, skąd mogłem, wprawdzie wstąpić przed poborem studentów mego roku jako ochotnik czyli „wolnoopredjelajuszczyjsia“ do szkoły artyleryjnej, inżynieryjnej lub nawet marynarki — lecz powołany z poboru, musiałem zgodzić się na taką szkołę, do której mnie wyśle moja władza wojskowa. Muszę dodać, że przed rewolucją w Rosyi był taki brak oficerów, że każdego młodego człowieka ze średniem, a potem nawet 6-io klasowem wykształceniem wysyłano do szkół wojskowych, skąd po 4 miesiącach nauki taki pan wychodził już jako oficer w randze chorążego czyli praporszczyka do zapasowego pułku lub nawet czasem odrazu na front. Dzięki staraniom mego ojca wysłali mię do Kijowa, gdzie mieszkali moi Rodzice, do t. z. „Konstantynowskiej szkoły piechoty“, która przed wojną uchodziła za jedną z lepszych szkół w Rosji, teraz zaś, z powodu wyczerpania inteligentniejszego kontyngensu rekrutów, była zapełniona długowłosymi, brudnymi i wielce chamowatymi uczniami seminarjów, ludowymi nauczycielami i tym podobnymi indywiduami, którzy przy obiedzie potrafili jeść rybę... nie nożem, broń Boże, — a palcami, a kości, obyczajem średniowiecznych rycerzy, rzucać pod stół lub chować do serwetki, z zasady nie używać chusteczek do nosa, jednem słowem towarzystwo było tak ujmującej powierzchowności i tak wdzięcznie wychowane, że w pierwszej chwili zdjął mię lęk, czy pod wpływem tych okoliczności nie popełnię zbrodni dezercji. Miałem wprawdzie w swej rocie jednego kolegę, studenta, ale i ten miał dopiero 34 lata, żonę i dzieci, a był już aż na 4 kursie politechniki w Piotrogrodzie, — czyli innemi słowy — i ten wielką inteligencją nie grzeszył. Z początku czułem się naturalnie w tem otoczeniu okropnie źle, ale powoli przyzwyczaiłem się i do swych „jenteligientnych“ koleżków i do surowej dyscypliny wojskowej. Wstawaliśmy o godz. 6 rano, budzeni przeraźliwymi dźwiękami trąbki, w ciągu 3 kwandransów musieliśmy być już umyci i ubrani, potem następował przegląd, czy każdy ma wyglansowane „kazionne“ buty i wyczyszczony mundur, dobrze ściągnięty pas i wszystkie guziki i chaftki. Potem stawaliśmy do śpiewanej modlitwy, która przed rewolucją kończyła się zawsze „Boże cara chrani“. Następnie szliśmy na śniadanie, składające się z czystej herbaty i jednej bułki, (porcye wydzielane) a po śniadaniu odbywały się wykłady w klasach lub na boiskach do godz. 12-tej. O 12-tej — 2 śniadanie — jakaś kasza, fasola lub gulasz z chlebem, poczem od 12-tej do 3-ciej wychodziliśmy z karabinami w pole lub na place uczyć się, jak najlepiej i najwięcej zabić ludzi, — a o 3-ciej był obiad z 3 dań, a potem do wieczora „czas wolny“. Wieczorem odrabiało się lekcje, czyściło broń lub czytało książki; chodziliśmy też do sali gimnastycznej lub do czytelni poczytać książkę. Na miasto wolno było wychodzić tylko w sobotę wieczorem i w niedzielę, po rewolucji zaś codziennie po obiedzie. Roz-

przężenie zakradło się po rewolucji nawet do szkół wojskowych... Ja piastowałem w szkole urząd t. zw. „orużejnika“, t. j. zawiadywałem zbrojownią w naszej rocie, a także byłem przez kolegów wybrany na t. zw. artielszczyka, t. j. takiego, który wybiera obmundurowanie, krawców, szewców i daje im materjał, wogóle zajmuje się obmundurowaniem swych kolegów. Epidemja politykowania i wiecowania nie minęła i naszej szkoły, jak nie minęła wogóle wszelkich instytucyj, począwszy od gimnazjów, wyższych szkół, organizacyj robotniczych i wojskowych, a skończywszy na demokratycznej organizacji praczek i roznosicieli wieczorowych dzienników. I myśmy więc, jak i praczki, służące, roznosiciele i inni demokratyczni obywatele — urządzali wiece, wnosili rezolucje, protesty, wysyłali przeróżnych delegatów do demokratycznych krawców, szewców, żołnierzy — wogóle zajmowaliśmy się wszystkiem, tylko jaknajmniej nauką. Skończyłem wreszcie po 4 miesiącach szkołę, dostałem na koszt rządowy 3 ubrania, 2 pary długich butów, czapkę, bieliznę, kufer, przybory toaletowe, zegarek, kompas, rewolwer, szablę, lornetkę i maskę gazową, i pożegnawszy się niezbyt czule z murami szkoły, — wyjechałem aż hen... nab Wołgę, do Samary, a potem jeszcze dalej, w stepy, do tatarsko-rosyjskiej mieściny Melekesu, dla ochrony składu spirytusu.

Z pobytu nad „matuszką Wołgą“ mam najprzyjemniejsze wspomnienia: jeździłem po największej rzece Europejskiej na najbardziej luksusowych statkach parowych, z którymi tylko amerykańskie na Misisipi równać się mogą, — oglądałem cudowne widoki t. zw. Żygólej (pasmo gór na lewym brzegu rzeki na północ od Samary) poznawałem ciekawe życie rosyjsko-tatarsko-czuwaszskich „zachoustij“, jednem słowem miałem i estetycznych i pouczających wrażeń podostatkiem.

Teraz kilka słów o organizacji polaków w głębi Rosyi. Otóż w takim małym Melekesie, (6 do 8 tys. mieszkańców) był „polski dom“, gdzie zbierała się co sobotę i niedzielę dość liczna stosunkowo polska kolonja, tamże była mała kapliczka z ołtarzem, zawsze przybranym świeżymi kwiatami i biało-amarantowemi wstęgami — nawet mała polska bibljoteczka, skąd wypożyczano dzieciom i dorosłym książki polskie. Ale głównem dziełem naszego Prezesa, Pana Ruszczewskiego, była szkółka aż z 3-ma nauczycielami, do której uczęszczało 53 dzieci. 2 razy na miesiąc przyjeżdżał z Symbirska ksiądz, który mógł odprawiać nawet śpiewaną mszę św., bo mieliśmy małe organki i chór dzieci; wtedy to najczęściej myślą przenosiłem się do konwiktowej kaplicy i błagałem Boga, by mi jaknajprędzej pozwolić raczył powrócić do ojczyzny. W Samarze i Symbirsku kolonje polskie są dość duże; — życie polskie wre, skupiając się koło kościoła i miejscowego domu Polskiego, a w Samarze cudowny nowy kościół polski w stylu gotyckim jest prawdziwą ozdobą miasta, a widać go już z daleka z parostatku, gdy się Wołgą podjeżdża do Samary. I w tych miastach są szkoły dla dzieci wygnańców,

przężenie zakradło się po rewolucji nawet do szkół wojskowych... Ja piastowałem w szkole urząd t. zw. „orużejnika“, t. j. zawiadywałem zbrojownią w naszej rocie, a także byłem przez kolegów wybrany na t. zw. artielszczyka, t. j. takiego, który wybiera obmundurowanie, krawców, szewców i daje im materjał, wogóle zajmuje się obmundurowaniem swych kolegów. Epidemja politykowania i wiecowania nie minęła i naszej szkoły, jak nie minęła wogóle wszelkich instytucyj, począwszy od gimnazjów, wyższych szkół, organizacyj robotniczych i wojskowych, a skończywszy na demokratycznej organizacji praczek i roznosicieli wieczorowych dzienników. I myśmy więc, jak i praczki, służące, roznosiciele i inni demokratyczni obywatele — urządzali wiece, wnosili rezolucje, protesty, wysyłali przeróżnych delegatów do demokratycznych krawców, szewców, żołnierzy — wogóle zajmowaliśmy się wszystkiem, tylko jaknajmniej nauką. Skończyłem wreszcie po 4 miesiącach szkołę, dostałem na koszt rządowy 3 ubrania, 2 pary długich butów, czapkę, bieliznę, kufer, przybory toaletowe, zegarek, kompas, rewolwer, szablę, lornetkę i maskę gazową, i pożegnawszy się niezbyt czule z murami szkoły, — wyjechałem aż hen... nab Wołgę, do Samary, a potem jeszcze dalej, w stepy, do tatarsko-rosyjskiej mieściny Melekesu, dla ochrony składu spirytusu.

Z pobytu nad „matuszką Wołgą“ mam najprzyjemniejsze wspomnienia: jeździłem po największej rzece Europejskiej na najbardziej luksusowych statkach parowych, z którymi tylko amerykańskie na Misisipi równać się mogą, — oglądałem cudowne widoki t. zw. Żygólej (pasmo gór na lewym brzegu rzeki na północ od Samary) poznawałem ciekawe życie rosyjsko-tatarsko-czuwaszskich „zachoustij“, jednem słowem miałem i estetycznych i pouczających wrażeń podostatkiem.

Teraz kilka słów o organizacji polaków w głębi Rosyi. Otóż w takim małym Melekesie, (6 do 8 tys. mieszkańców) był „polski dom“, gdzie zbierała się co sobotę i niedzielę dość liczna stosunkowo polska kolonja, tamże była mała kapliczka z ołtarzem, zawsze przybranym świeżymi kwiatami i biało-amarantowemi wstęgami — nawet mała polska bibljoteczka, skąd wypożyczano dzieciom i dorosłym książki polskie. Ale głównem dziełem naszego Prezesa, Pana Ruszczewskiego, była szkólka aż z 3-ma nauczycielami, do której uczęszczało 53 dzieci. 2 razy na miesiąc przyjeżdżał z Symbirska ksiądz, który mógł odprawiać nawet śpiewaną mszę św., bo mieliśmy małe organki i chór dzieci; wtedy to najczęściej myślą przenosiłem się do konwiktowej kaplicy i błagałem Boga, by mi jaknajprędzej pozwolić raczył powrócić do ojczyzny. W Samarze i Symbirsku kolonje polskie są dość duże; — życie polskie wre, skupiając się koło kościoła i miejscowego domu Polskiego, a w Samarze cudowny nowy kościół polski w stylu gotyckim jest prawdziwą ozdobą miasta, a widać go już z daleka z parostatku, gdy się Wołgą podjeżdża do Samary. I w tych miastach są szkoły dla dzieci wygnańców,

które nawet w dalekiej Rosji znalazły tu naukę i opiekę. Szczególnie wielkie zasługi położył na tem polu w Samarze X. proboszcz tamtejszy, gorliwy patrjota i polak. Będąc w Samarze cenzorem, czytałem dużo listów jeńców austryjackich, polaków, do domu, a prawie w każdym liście wzmianka, że to tu, to tam jest kolonja polska, przyjeżdża od czasu do czasu ksiądz, a jeżeli jest choć kilkoro dzieci, to jest i szkoła polska. Pocieszający to bardzo objaw, że Polacy łączą się teraz razem i organizują tak, że organizacja ta wzbudzała podziw nietylko u moskali ale u francuzów i Anglików, którzy Rosję znają.

Na zakończenie opiszę jeszcze fragment z mej podróży w czasie wojny bolszewików z ukraińską republiką z Melekesu do Kijowa. Otóż przedewszystkiem niech sobie W. O. wyobrazi taką postać: Twarz opalona, brudna, obrośnięta centymetrową, czarną szczeciną włosów, na rozczochranej głowie pognieciona i przeraźliwie zasmolona barankowa papacha, dalej żołdacki, niemniej od papachy wybrudzony i wygnieciony szynel z chomontowatym kołnierzem, długiemi, na wyrost, rękawami, wreszcie na nogach mile woniejące dziegciem łokciowe sołdackie buciska (w pułku nazywano je „futerałami“) a będzie miał W. O. wierny portret byłego swego ucznia z Chyrowa. Musiałem się w ten sposób przebrać, bo już wtedy „towarzysze“ zdegradowali swych oficerów, zerwali im epolety i znęcali się nad nimi fizycznie i moralnie, każąc im np. zamiatać w koszarach pod murami, wynosić śmiecie, czyścić konie, i stajnie, mówili im z szyderstwem „ty“ i często nie dawali im nawet jeść mówiąc, że się „nażarli“ dość za czasów caratu. Przy sobie jednak miałem jeszcze oficerskie dokumenty i świadectwo, że jadę do 1-go korpusu Musnickiego do Mińska.

Pierwszą część drogi, tj. Woroneża, przejechałem względnie nieźle, o ile słowem „nieźle“ można określać takie sytuacje jak spanie na wpół stojąco w natłoczonych towarzyszami poczekalniach i bufetach stacyjnych, dźwiganie bez pomocy tragarza ciężkiego kufra, pościeli oraz koszyczka z prowiantami, wyczekiwanie na pociąg po 48 g. i więcej, wreszcie wchodzenie do wagonu drogami zgoła nieprzewidzianemi przez bufory, okna i t. p. otwory. Szczególnie zaryło mi się w pamięci takie polowanie na miejsce w wagonie na stacji Inzie, sławnej dziś z walk bolszewików z Czecho-Słowakami. Pamiętam, jak na godzinę przed nadejściem pociągu peron zaczął napełniać się szarymi szynelami towarzyszy, którzy stłoczyli się po chwili w jeden nieprzerwany mur wzdłuż plantu, a raczej brzegu peronu, zatarasowując literalnie wszelki dostęp do przodu. Wreszcie nadchodzi pociąg, naturalnie z 2 godzinnem opóźnieniem, a już na buforach, platformach, u okien, drzwi, u zasów przy towarowych wagonach wisi czarne mrowie ludzkie, z powykrzywianemi od wysiłku twarzami, spoceni, brudni, przeklinający tych, co się rzucili na nich z peronu, by zdobyć sobie miejsce choć na dachu. Zawiązuje się walka — istna scena z piekła Dantego... ludzie biją się pięściami,

które nawet w dalekiej Rosji znalazły tu naukę i opiekę. Szczególnie wielkie zasługi położył na tem polu w Samarze X. proboszcz tamtejszy, gorliwy patrjota i polak. Będąc w Samarze cenzorem, czytałem dużo listów jeńców austryjackich, polaków, do domu, a prawie w każdym liście wzmianka, że to tu, to tam jest kolonja polska, przyjeżdża od czasu do czasu ksiądz, a jeżeli jest choć kilkoro dzieci, to jest i szkoła polska. Pocieszający to bardzo objaw, że Polacy łączą się teraz razem i organizują tak, że organizacja ta wzbudzała podziw nietylko u moskali ale u francuzów i Anglików, którzy Rosję znają.

Na zakończenie opiszę jeszcze fragment z mej podróży w czasie wojny bolszewików z ukraińską republiką z Melekesu do Kijowa. Otóż przedewszystkiem niech sobie W. O. wyobrazi taką postać: Twarz opalona, brudna, obrośnięta centymetrową, czarną szczeciną włosów, na rozczochranej głowie pognieciona i przeraźliwie zasmolona barankowa papacha, dalej żołdacki, niemniej od papachy wybrudzony i wygnieciony szynel z chomontowatym kołnierzem, długiemi, na wyrost, rękawami, wreszcie na nogach mile woniejące dziegciem łokciowe sołdackie buciska (w pułku nazywano je „futerałami") a będzie miał W. O. wierny portret byłego swego ucznia z Chyrowa. Musiałem się w ten sposób przebrać, bo już wtedy „towarzysze" zdegradowali swych oficerów, zerwali im epolety i znęcali się nad nimi fizycznie i moralnie, każąc im np. zamiatać w koszarach pod murami, wynosić śmiecie, czyścić konie, i stajnie, mówili im z szyderstwem „ty" i często nie dawali im nawet jeść mówiąc, że się „nażarli" dość za czasów caratu. Przy sobie jednak miałem jeszcze oficerskie dokumenty i świadectwo, że jadę do 1-go korpusu Musnickiego do Mińska.

Pierwszą część drogi, tj. Woroneża, przejechałem względnie nieźle, o ile słowem „nieźle" można określać takie sytuacje jak spanie na wpół stojąco w natłoczonych towarzyszami poczekalniach i bufetach stacyjnych, dźwiganie bez pomocy tragarza ciężkiego kufra, pościeli oraz koszyczka z prowiantami, wyczekiwanie na pociąg po 48 g. i więcej, wreszcie wchodzenie do wagonu drogami zgoła nieprzewidzianemi przez bufory, okna i t. p. otwory. Szczególnie zaryło mi się w pamięci takie polowanie na miejsce w wagonie na stacji Inzie, sławnej dziś z walk bolszewików z Czecho-Słowakami. Pamiętam, jak na godzinę przed nadejściem pociągu peron zaczął napełniać się szarymi szynelami towarzyszy, którzy stłoczyli się po chwili w jeden nieprzerwany mur wzdłuż plantu, a raczej brzegu peronu, zatarasowując literalnie wszelki dostęp do przodu. Wreszcie nadchodzi pociąg, naturalnie z 2 godzinnem opóźnieniem, a już na buforach, platformach, u okien, drzwi, u zasów przy towarowych wagonach wisi czarne mrowie ludzkie, z powykrzywianemi od wysiłku twarzami, spoceni, brudni, przeklinający tych, co się rzucili na nich z peronu, by zdobyć sobie miejsce choć na dachu. Zawiązuje się walka — istna scena z piekła Dantego... ludzie biją się pięściami,

nogami, zębami, czem się da!... wreszcie część zdobyła sobie kilka miejsc na dachu, na platformie, a reszta lata jak obłąkana wzdłuż pociągu, szukając choć centymetra miejsca na schodku lub buforze!

Ten, co tego nie widział na własne oczy, nie wyobrazi sobie nigdy tych strasznych scen. Pamiętam, że przepuściłem 3 takie pociągi, zanim dostałem się siłą przez okno do przedziału, gdzie, zbity poprzednio przez broniących go od środka, upadłem na jakiegoś towarzysza, leżącego między ławkami na ziemi, w otoczeniu butów, rzadkiego błotka, siemieczkowych łupin i żołnierskich tobołków.

Te same sceny naturalnie, i te same ekwilibrystyczne ćwiczenia powtarzały się na każdej węzłowej stacyi przy wsiadaniu i wysiadaniu z pociągu.

W Kursku nasz pociąg ostrzeliwali z kulomiotu, bo myśleli, że to jadą kozacy z Rostowa, by się bić z bolszewikami; w tem zamieszaniu skradziono mi mój kufer z całym moim majątkiem w postaci ubrań, bielizny i t. d.

Z Konotopu pociąg dalej nie szedł, bo pod Kijowem wrzała straszna bitwa; uciekinierzy z miasta opowiadali, że Kijów jest ostrzeliwany z ciężkiej artylerji i już leży w gruzach, już się pali, podpalony przez uchodzących ukraińców. W Konotopie musiałem pozbyć się swych dokumentów, bo dowiedzieliśmy się, że w Bachmaczu rozstrzeliwują polskich oficerów; naturalnie, że już o wstąpieniu do Muśnickiego mowy być nie mogło.

Pojechałem więc, po 3 dniowym pobycie w Konotopie, nie mając już pieniędzy ani rzeczy, — drogą okrężną na Czerkasy i Cwietkowo, gdzie drugi raz nas ostrzeliwano na stacji Czerkasy i gdzie wogóle była poważna bitwa między bolszewikami a kozakami. Całą noc przeleżeliśmy na podłodze w bufecie na stacji, zasłoniwszy się kuframi, koszami, ławkami i czem się miało pod ręką, a tuż o 10 kroków od nas na peronie trzaskały całą noc 2 kulomioty, wybuchały bomby i słychać było ciągłe salwy karabinowe i strzały rewolwerowe.

Wreszcie dostaliśmy się, „po długich i ciężkich cierpieniach“ do Fastowa, a stamtąd już piechotą do zbombardowanego Kijowa, gdzie grasowały już bandyckie szajki zwycięzkiego pogromcy Ukraińców — Murawjewa.

W Kijowie przesiedzieliśmy do 28 kwietnia, poczem całą partją wyruszyliśmy na Żmerynkę, Tarnopol, Lwów i Lublin do Nałęczowa.

Teraz co do Kolegów, których w ciągu tych 3 lat tułaczki widywałem w Rosyi. W r. 1916, będąc w Piotrogrodzie, spotkałem w polskiej kuchni studenckiej byłego Chyrowiaka Kol. K. Jelskiego — służył wtedy jako ochotnik w parku lotniczym. Wspominaliśmy razem Chyrów, przyczem Jelski wypytywał się o księży i wogóle wspominał Zakład bardzo serdecznie.

W tejże stołówce spotkałem parę tygodni potem Piotra Buchwalda,

nogami, zębami, czem się da!... wreszcie część zdobyła sobie kilka miejsc na dachu, na platformie, a reszta lata jak obłąkana wzdłuż pociągu, szukając choć centymetra miejsca na schodku lub buforze!

Ten, co tego nie widział na własne oczy, nie wyobrazi sobie nigdy tych strasznych scen. Pamiętam, że przepuściłem 3 takie pociągi, zanim dostałem się siłą przez okno do przedziału, gdzie, zbity poprzednio przez broniących go od środka, upadłem na jakiegoś towarzysza, leżącego między ławkami na ziemi, w otoczeniu butów, rzadkiego błotka, siemieczkowych łupin i żołnierskich tobołków.

Te same sceny naturalnie, i te same ekwilibrystyczne ćwiczenia powtarzały się na każdej węzłowej stacyi przy wsiadaniu i wysiadaniu z pociągu.

W Kursku nasz pociąg ostrzeliwali z kulomiotu, bo myśleli, że to jadą kozacy z Rostowa, by się bić z bolszewikami; w tem zamieszaniu skradziono mi mój kufer z całym moim majątkiem w postaci ubrań, bielizny i t. d.

Z Konotopu pociąg dalej nie szedł, bo pod Kijowem wrzała straszna bitwa; uciekinierzy z miasta opowiadali, że Kijów jest ostrzeliwany z ciężkiej artylerji i już leży w gruzach, już się pali, podpalony przez uchodzących ukraińców. W Konotopie musiałem pozbyć się swych dokumentów, bo dowiedzieliśmy się, że w Bachmaczu rozstrzeliwują polskich oficerów; naturalnie, że już o wstąpieniu do Muśnickiego mowy być nie mogło.

Pojechałem więc, po 3 dniowym pobycie w Konotopie, nie mając już pieniędzy ani rzeczy, — drogą okrężną na Czerkasy i Cwietkowo, gdzie drugi raz nas ostrzeliwano na stacji Czerkasy i gdzie wogóle była poważna bitwa między bolszewikami a kozakami. Całą noc przeleżeliśmy na podłodze w bufecie na stacji, zasłoniwszy się kuframi, koszami, ławkami i czem się miało pod ręką, a tuż o 10 kroków od nas na peronie trzaskały całą noc 2 kulomioty, wybuchały bomby i słychać było ciągłe salwy karabinowe i strzały rewolwerowe.

Wreszcie dostaliśmy się, „po długich i ciężkich cierpieniach“ do Fastowa, a stamtąd już piechotą do zbombardowanego Kijowa, gdzie grasowały już bandyckie szajki zwycięzkiego pogromcy Ukraińców — Murawjewa.

W Kijowie przesiedzieliśmy do 28 kwietnia, poczem całą partją wyruszyliśmy na Żmerynkę, Tarnopol, Lwów i Lublin do Nałęczowa.

Teraz co do Kolegów, których w ciągu tych 3 lat tułaczki widywałem w Rosyi. W r. 1916, będąc w Piotrogrodzie, spotkałem w polskiej kuchni studenckiej byłego Chyrowiaka Kol. K. Jelskiego — służył wtedy jako ochotnik w parku lotniczym. Wspominaliśmy razem Chyrów, przyczem Jelski wypytywał się o księży i wogóle wspominał Zakład bardzo serdecznie.

W tejże stołówce spotkałem parę tygodni potem Piotra Buchwalda,

który służył wtedy w Pol. Kom. Obywat. Zdaje się, że zdał maturę w Warszawie, co się zaś teraz z nim dzieje — niewiem.

W 1917 roku widywałem w Kijowie kol. Stephana, Rozwadowskiego, Ad. Sołtana, Choynowskiego i Szafnickiego. Ten ostatni miał tyle przygód, że możnaby było o nich książkę napisać. Był więzionym pod zarzutem szpiegostwa (znaleziono przy nim świad. chyrowskie) w Rosji, miał być wywiezionym na Syberję, lecz w biegu pociągu wyskoczył; ukrywał się długo, pracując jako prosty robotnik u chłopów w Tambowskiej czy Tulskiej gub., potem służył na froncie w oddziele saperów, wreszcie drapnąwszy stamtąd, uczył się w wielkiej biedzie materjalnej w Kijowie. Dzielny chłopak! Ostatni raz widziałem go w Kijowie; mówił mi, że się przedziera przez front do Polski... W Kijowie byłem na ślicznem kazaniu X. Sopucha na 3. maja.

Wreszcie w r. 1918 w maju, spotkałem w Żmerynce kol. Ciastonia, który nas odprowadzał aż do Podwołoczysk, a przedwczoraj widziałem w Lublinie najmłodszego Kopeckiego, tego z 5-tej klasy, który służy obecnie w Wąwolnicy, wczoraj był u mnie w Nałęczowie.

Tadeusz Filipowicz.

Modlin, 15. VI. 1919.

Jutro rok temu upłynie, jak się dostałem do niewoli włoskiej nad Piawą. Najpierw odesłano nas do obozu pod Ferrarą, a po miesiącu pod Neapol do obozu samych Polaków w S. Maria. Okolica była malaryczna niezdrowa, ale obóz jeszcze lepszy od wielu innych. Było nas tam wtedy jeńców około 1000. Już w 17 roku były próby tworzenia we Włoszech armii polskiej, bo Włosi chcieli, by Polacy walczyli na ich froncie, ale Polacy nie chcieli się na to zgodzić. Wyjeżdżali ochotnicy, ale ich było nie wielu. Wreszcie postanowił komitet w Rzymie przygotować poprostu wojsko, któreby połączyło się z armią we Francji, dlatego stworzono obóz polski i tam założono sekcję „Sokoła". Do tej sekcji należeli przeważnie sami jednoroczni, oraz bardziej inteligentniejsi, ale z ludu nikt się nie zgłaszał. W końcu przybyła do nas misja francusko-polska i zaczęłą się organizacja armii. Najwięcej szkodzili nam Żydzi i feldfeble i gdzie mogli tylko podburzali, aby nie wstępować. Nawet jeszcze w grudniu już po upadku Austrji, gdy już we Włoszech utworzono 4 pułki, oni się jeszcze opierali. D. 13 listopada otrzymaliśmy wolność oraz każdy z zaciągających się otrzymał po 100 franków. Z wszystkich dawnych jednorocznych utworzono osobną kompanję, która wyjechała, a ja z nią 25 grudnia do Francji. Jechaliśmy przez Rzym, Liworno, Genuę wzdłuż całej Riwiery, Toulon, Marsylię, a potem w górę — Avignon, Lion aż pod Brest. Tu urządzono dla nas szkołę. Trwała ona aż do kwietnia. Ja zostałem nadal w tej szkole instruktorem. Do Polski wyjechaliśmy w wielką sobotę d. 19 kwietnia. Jecha-

który służył wtedy w Pol. Kom. Obywat. Zdaje się, że zdał maturę w Warszawie, co się zaś teraz z nim dzieje — niewiem.

W 1917 roku widywałem w Kijowie kol. Stephana, Rozwadowskiego, Ad. Sołtana, Choynowskiego i Szafnickiego. Ten ostatni miał tyle przygód, że możnaby było o nich książkę napisać. Był więzionym pod zarzutem szpiegostwa (znaleziono przy nim świad. chyrowskie) w Rosji, miał być wywiezionym na Syberję, lecz w biegu pociągu wyskoczył; ukrywał się długo, pracując jako prosty robotnik u chłopów w Tambowskiej czy Tulskiej gub., potem służył na froncie w oddziele saperów, wreszcie drapnąwszy stamtąd, uczył się w wielkiej biedzie materjalnej w Kijowie. Dzielny chłopak! Ostatni raz widziałem go w Kijowie; mówił mi, że się przedziera przez front do Polski... W Kijowie byłem na ślicznem kazaniu X. Sopucha na 3. maja.

Wreszcie w r. 1918 w maju, spotkałem w Żmerynce kol. Ciastonia, który nas odprowadzał aż do Podwołoczysk, a przedwczoraj widziałem w Lublinie najmłodszego Kopeckiego, tego z 5-tej klasy, który służy obecnie w Wąwolnicy, wczoraj był u mnie w Nałęczowie.

Tadeusz Filipowicz.

Modlin, 15. VI. 1919.

Jutro rok temu upłynie, jak się dostałem do niewoli włoskiej nad Piawą. Najpierw odesłano nas do obozu pod Ferrarą, a po miesiącu pod Neapol do obozu samych Polaków w S. Maria. Okolica była malaryczna niezdrowa, ale obóz jeszcze lepszy od wielu innych. Było nas tam wtedy jeńców około 1000. Już w 17 roku były próby tworzenia we Włoszech armii polskiej, bo Włosi chcieli, by Polacy walczyli na ich froncie, ale Polacy nie chcieli się na to zgodzić. Wyjeżdżali ochotnicy, ale ich było nie wielu. Wreszcie postanowił komitet w Rzymie przygotować poprostu wojsko, któreby połączyło się z armią we Francji, dlatego stworzono obóz polski i tam założono sekcję „Sokoła". Do tej sekcji należeli przeważnie sami jednoroczni, oraz bardziej inteligentniejsi, ale z ludu nikt się nie zgłaszał. W końcu przybyła do nas misja francusko-polska i zaczęłą się organizacja armii. Najwięcej szkodzili nam Żydzi i feldfeble i gdzie mogli tylko podburzali, aby nie wstępować. Nawet jeszcze w grudniu już po upadku Austrji, gdy już we Włoszech utworzono 4 pułki, oni się jeszcze opierali. D. 13 listopada otrzymaliśmy wolność oraz każdy z zaciągających się otrzymał po 100 franków. Z wszystkich dawnych jednorocznych utworzono osobną kompanję, która wyjechała, a ja z nią 25 grudnia do Francji. Jechaliśmy przez Rzym, Liworno, Genuę wzdłuż całej Riwiery, Toulon, Marsylię, a potem w górę — Avignon, Lion aż pod Brest. Tu urządzono dla nas szkołę. Trwała ona aż do kwietnia. Ja zostałem nadal w tej szkole instruktorem. Do Polski wyjechaliśmy w wielką sobotę d. 19 kwietnia. Jecha-

liśmy przez Niemcy aż do Modlina. Co tu robimy, opowie pewno Osostowicz, bo on wyjeżdża na urlop i do Chyrowa ma wstąpić. Ja niestety jako młodszy jeszcze muszę na urlop dłużej czekać.

Tu w Modlinie prócz Osostowicza spotykam jeszcze z Chyrowiaków Gołębskiego, Filipowicza, Bronikowskiego i Linka.

Antoni Opolski, podp. 5 p.

Mając wreszcie sposobność po tak długiej przerwie napisania już nie kartki tylko polowej lecz listu, zabieram się do niego, aby skreślić moje losy od początku wojny. Wyjechałem z Krakowa na tydzień przed wypowiedzeniem wojny do Zaladzia, gdzie gospodarowałem do stycznia 1915, poczem wyjechałem na praktykę rolniczą do mego wuja pod Mińskiem. Witold Choynowski wraz z Bronkiem byli też u nas od początku wojny, gdy Niemcy weszli do Królestwa. W czerwcu miano brać tak zwane niebieskie bilety. Nie miałem ochoty iść na prostego żołnierza do piechoty, wobec tego pojechałem do Moskwy do szkoły szoferskiej, gdzie też niebawem przybył Witold i Maciej Grodziński, już zmarły. Skończyliśmy kursa i powróciliśmy do Zaladzia. O parę mil była fabryka wozów, ewakuowana z Królestwa, która pracowała dla wojska, tem samem więc uwalniała od czynnej służby. Ponieważ nuturalnie nie mieliśmy ochoty walczyć za „matuszkę Rossiję“, więc wstąpiliśmy do tej fabryki. W czasie jesiennej rejterady moskiewskiej razem z przeniesioną fabryką pojechaliśmy do Orła. Tam siedzieliśmy cztery miesiące. Jednak policja zaczęła się nami zbyt zajmować z powodu niedokładności w naszem uwolnieniu z wojska, więc wróciliśmy do Mińska. Tu dostałem miejsce w oddziale inżynieryjnym, a Witold w organizacji opiekującej się ludnością, która ucierpiała wskutek wojny.

Byłem w trzech oddziałach po kolei po parę miesięcy, gdyż za każdym razem pokłóciłem się z naczalstwem i musiałem się przenosić do innego oddziału, lub iść do czynnej służby na froncie. Byłem wtenczas na północnym froncie często na linji bojowej, albo i na tyłach armji. W końcu lata 1916 z małym trzaskiem wyleciałem z trzeciego oddziału i przeniosłem się do Galicji do oddziału inżynieryjnego złożonego wyłącznie z Polaków, porządnych ludzi. Do tego oddziału sprowadziłem i Witolda. Razem prowadziliśmy dział finansowy. Roboty mieliśmy szaloną ilość. Witold załatwiał wszystkie sprawy finansowe na miejscu, a ja po świecie; dzień i noc jeździłem automobilami, wozami lub konno. Całą drogę od Buczacza, przez Niżniów, Tyśmienicę, Markowce, Otynię do Nadwórnej zjeździłem nie wiadomo ile razy. Tak było do lata 1917, do czasu cofania się Moskali z Galicji.

Zaczął się nowy, niemożliwy do opisania okres. Trudno uwierzyć, co to jest za bydło, przepraszam za wyrażenie, ten „swobodnyj grażdanin“ wolny obywatel. Takiego popłochu nie widziano od początku świata. Nie tylko obozy, automobile, kawalerja i t. d. mijały nas w sza-

liśmy przez Niemcy aż do Modlina. Co tu robimy, opowie pewno Osostowicz, bo on wyjeżdża na urlop i do Chyrowa ma wstąpić. Ja niestety jako młodszy jeszcze muszę na urlop dłużej czekać.

Tu w Modlinie prócz Osostowicza spotykam jeszcze z Chyrowiaków Gołębskiego, Filipowicza, Bronikowskiego i Linka.

Antoni Opolski, podp. 5 p.

Mając wreszcie sposobność po tak długiej przerwie napisania już nie kartki tylko polowej lecz listu, zabieram się do niego, aby skreślić moje losy od początku wojny. Wyjechałem z Krakowa na tydzień przed wypowiedzeniem wojny do Zaladzia, gdzie gospodarowałem do stycznia 1915, poczem wyjechałem na praktykę rolniczą do mego wuja pod Mińskiem. Witold Choynowski wraz z Bronkiem byli też u nas od początku wojny, gdy Niemcy weszli do Królestwa. W czerwcu miano brać tak zwane niebieskie bilety. Nie miałem ochoty iść na prostego żołnierza do piechoty, wobec tego pojechałem do Moskwy do szkoły szoferskiej, gdzie też niebawem przybył Witold i Maciej Grodziński, już zmarły. Skończyliśmy kursa i powróciliśmy do Zaladzia. O parę mil była fabryka wozów, ewakuowana z Królestwa, która pracowała dla wojska, tem samem więc uwalniała od czynnej służby. Ponieważ nuturalnie nie mieliśmy ochoty walczyć za „matuszkę Rossiję“, więc wstąpiliśmy do tej fabryki. W czasie jesiennej rejterady moskiewskiej razem z przeniesioną fabryką pojechaliśmy do Orła. Tam siedzieliśmy cztery miesiące. Jednak policja zaczęła się nami zbyt zajmować z powodu niedokładności w naszem uwolnieniu z wojska, więc wróciliśmy do Mińska. Tu dostałem miejsce w oddziale inżynieryjnym, a Witold w organizacji opiekującej się ludnością, która ucierpiała wskutek wojny.

Byłem w trzech oddziałach po kolei po parę miesięcy, gdyż za każdym razem pokłóciłem się z naczalstwem i musiałem się przenosić do innego oddziału, lub iść do czynnej służby na froncie. Byłem wtenczas na północnym froncie często na linji bojowej, albo i na tyłach armji. W końcu lata 1916 z małym trzaskiem wyleciałem z trzeciego oddziału i przeniosłem się do Galicji do oddziału inżynieryjnego złożonego wyłącznie z Polaków, porządnych ludzi. Do tego oddziału sprowadziłem i Witolda. Razem prowadziliśmy dział finansowy. Roboty mieliśmy szaloną ilość. Witold załatwiał wszystkie sprawy finansowe na miejscu, a ja po świecie; dzień i noc jeździłem automobilami, wozami lub konno. Całą drogę od Buczacza, przez Niżniów, Tyśmienicę, Markowce, Otynię do Nadwórnej zjeździłem nie wiadomo ile razy. Tak było do lata 1917, do czasu cofania się Moskali z Galicji.

Zaczął się nowy, niemożliwy do opisania okres. Trudno uwierzyć, co to jest za bydło, przepraszam za wyrażenie, ten „swobodnyj graždanin“ wolny obywatel. Takiego popłochu nie widziano od początku świata. Nie tylko obozy, automobile, kawalerja i t. d. mijały nas w sza-

lonym pędzie, ale nawet piechota, która bez oficerów szła, robiła po 50 wiorst dziennie. Myśmy musieli robić poprostu nadludzkie wysiłki, aby opanować popłoch w naszym oddziale, co się z trudem udało, ale z początku musieliśmy z Witoldem iść pieszo przy wozie z kasą i dokumentami na ogromne sumy, gdyż inaczej wszystkoby to przepadło. Doszliśmy na Podole i tam staliśmy koło Jarmoliniec do jesieni.

W tym czasie zaczął się formować polski korpus. Koledzy Polacy wysłali mnie do Mińska w celu zbadania tej sprawy. Skonstatowałem fakt, że było obowiązkiem każdego Polaka wstąpić do tego wojska, wobec czego wpisałem siebie, Witolda i jeszcze kilku kolegów do 3 p. ułanów. Wróciłem na Podole dla zlikwidowania interesów, poczem pojechaliśmy do Zaladzia po konie dla nas obu. Powrót do pułku był ciężki; rozbestwione chłopstwo chwytało tych wszystkich, co się przedzierali do polskiego wojska, mordowało w okrutny sposób i t. d. Myśmy jechali we 4 mając do zrobienia przeszło 200 wiorst w czasie ostrej zimy. Naturalnie byliśmy poprzebierani za „czubaryków", rozmawialiśmy ze sobą tylko po rosyjsku, klęliśmy Polaków i używaliśmy innych podobnych środków, aby się przedostać cało do pułku. Pomimo to raz uszliśmy ledwo z życiem, gdyż kilkudziesięciu krasnogwardiejców, zaczęło nas gonić, ale na szczęście zmylili ślad. Wogóle dużośmy wtenczas mieli przygód; jak tylko przyjechaliśmy do pułku, zaczęła się walka z następującymi od wschodu bolszewikami. Ciężka to była walka, bo nie tylko walczyliśmy z nieprzyjacielem, który atakował z przodu, ale musieliśmy zawsze być na baczności, bo każdy chłop był naszym wrogiem, każda baba nasby z przyjemnością zarżnęła, a w dodatku w naszych szeregach były ciągłe zdrady, gdyż bolszewizm był z początku i u nas bardzo rozwinięty. Miałem np. taki wypadek: dostałem rozkaz, aby z trzema żołnierzami zostać na miejscu po cofnięciu się szwadronu do czasu, aż gołem okiem będę widział następujących bolszewików, potem miałem dopędzać szwadron, a po drodze przebić się przez wieś, o ileby nie chcieli nas przepuścić. Po chwili zostałem sam, gdyż trzej towarzysze woleli przenieść się gdzieindziej. Całe szczęście, że przez wieś mogłem przejechać spokojnie, co rzadko pojedyńczemu jeźdźcowi się udawało. Wogóle to była walka bez pardonu. Raz np. odbiliśmy ciała trzech naszych kolegów, którzy pojechali na podjazd za Dniepr. Złapali ich chłopi i w ten sposób się zabawiali: wyłupili im oczy, wycięli języki, wypuścili wnętrzności, a potem na wpól żywych przywiązali do sań i tak długo ciągnęli po wsi, aż skonali. Mniej więcej taki był los każdego wziętego przez bolszewików do niewoli. Nasze karne ekspedycje po takich wypadkach przypominały trochę średnie wieki, ale to trudno, inaczej być nie mogło.

W końcu maja nastąpiła demobilizacja naszego Korpusu. Była to dla mnie jedna z najcięższych chwil w życiu. Miała nasza dywizja kawaleryjska iść na Murmań, ale ostatecznie skończyło się na niczem.

lonym pędzie, ale nawet piechota, która bez oficerów szła, robiła po 50 wiorst dziennie. Myśmy musieli robić poprostu nadludzkie wysiłki, aby opanować popłoch w naszym oddziale, co się z trudem udało, ale z początku musieliśmy z Witoldem iść pieszo przy wozie z kasą i dokumentami na ogromne sumy, gdyż inaczej wszystkoby to przepadło. Doszliśmy na Podole i tam staliśmy koło Jarmoliniec do jesieni.

W tym czasie zaczął się formować polski korpus. Koledzy Polacy wysłali mnie do Mińska w celu zbadania tej sprawy. Skonstatowałem fakt, że było obowiązkiem każdego Polaka wstąpić do tego wojska, wobec czego wpisałem siebie, Witolda i jeszcze kilku kolegów do 3 p. ułanów. Wróciłem na Podole dla zlikwidowania interesów, poczem pojechaliśmy do Zaladzia po konie dla nas obu. Powrót do pułku był ciężki; rozbestwione chłopstwo chwytało tych wszystkich, co się przedzierali do polskiego wojska, mordowało w okrutny sposób i t. d. Myśmy jechali we 4 mając do zrobienia przeszło 200 wiorst w czasie ostrej zimy. Naturalnie byliśmy poprzebierani za „czubaryków", rozmawialiśmy ze sobą tylko po rosyjsku, klęliśmy Polaków i używaliśmy innych podobnych środków, aby się przedostać cało do pułku. Pomimo to raz uszliśmy ledwo z życiem, gdyż kilkudziesięciu krasnogwardiejców, zaczęło nas gonić, ale na szczęście zmylili ślad. Wogóle dużośmy wtenczas mieli przygód; jak tylko przyjechaliśmy do pułku, zaczęła się walka z następującymi od wschodu bolszewikami. Ciężka to była walka, bo nie tylko walczyliśmy z nieprzyjacielem, który atakował z przodu, ale musieliśmy zawsze być na baczności, bo każdy chłop był naszym wrogiem, każda baba nasby z przyjemnością zarżnęła, a w dodatku w naszych szeregach były ciągłe zdrady, gdyż bolszewizm był z początku i u nas bardzo rozwinięty. Miałem np. taki wypadek: dostałem rozkaz, aby z trzema żołnierzami zostać na miejscu po cofnięciu się szwadronu do czasu, aż gołem okiem będę widział następujących bolszewików, potem miałem dopędzać szwadron, a po drodze przebić się przez wieś, o ileby nie chcieli nas przepuścić. Po chwili zostałem sam, gdyż trzej towarzysze woleli przenieść się gdzieindziej. Całe szczęście, że przez wieś mogłem przejechać spokojnie, co rzadko pojedyńczemu jeźdźcowi się udawało. Wogóle to była walka bez pardonu. Raz np. odbiliśmy ciała trzech naszych kolegów, którzy pojechali na podjazd za Dniepr. Złapali ich chłopi i w ten sposób się zabawiali: wyłupili im oczy, wycięli języki, wypuścili wnętrzności, a potem na wpół żywych przywiązali do sań i tak długo ciągnęli po wsi, aż skonali. Mniej więcej taki był los każdego wziętego przez bolszewików do niewoli. Nasze karne ekspedycje po takich wypadkach przypominały trochę średnie wieki, ale to trudno, inaczej być nie mogło.

W końcu maja nastąpiła demobilizacja naszego Korpusu. Była to dla mnie jedna z najcięższych chwil w życiu. Miała nasza dywizja kawaleryjska iść na Murmań, ale ostatecznie skończyło się na niczem.

W każdym razie Niemcom nie daruję tego, póki żyje. Wróciłem do Zaladzia z Witoldem, który zabawił u mnie kilka tygodni. Gospodarowałem kilka miesięcy już na dobre, aż tu raptem nowa bieda. Niemcy się wycofują, a mówiono, że Polacy i Anglicy przyjdą za kilka tygodni. Takie przynajmniej wówczas było ogólne u nas mniemanie. Wobec tego postanowiliśmy się przez ten czas bronić sami, a Niemcy obiecali nam dać broń. Ja latałem jak szalony na wszystkie strony w dzień i w nocy, aby zorganizować tę samoobronę. I w ostatniej chwili okazuje się, że Niemcy broń oddają nie nam Polakom, ale chłopom bolszewikom. Ponieważ wszystkich mężczyzn bolszewicy organizują, mobilizują, więc wszyscy musieli wyjechać na zachód, a ja tem bardziej, gdyż na służących w polskim korpusie był wydany wyrok śmierci, a prócz tego miałem złą markę za formowanie samoobrony. Matka moja w żaden sposób nie chciała wyjeżdżać z Zaladzia, obiecała mi tylko, że w krytycznym wypadku wyjedzie do Słucka. Ja wziąłem kilka koni i wyjechaliśmy do Witolda. Zostawiłem całe gospodarstwo, nawet zboża nie sprzedawałem, aby zostało dla tego oczekiwanego polskiego wojska. Jechałem w Łomżyńskie do Witolda przeszło dwa tygodnie i to w grudniu w czasie silnych mrozów. Jechałem z kilkoma sąsiadami, którzy taksamo jak i ja mieli zamiar wstąpić do wojska, mieliśmy więc ukrytą broń. Przy wielu trudnościach i ostrożnościach przewiezliśmy ją przez bolszewików i przez Niemców, aż dopiero nasi rodacy w nieprzyzwoity sposób nas z niej ograbili. To było przykre wrażenie wstępne, ale po niej nastąpiły inne coraz gorsze.

Po przyjeździe do Słucza pp. Choynowskich znalazłem u Witolda wszystkie zeszyty wojenne Kwartalnika; a co to była za radość dla mnie, to tego opisać nie umiem.

Niedaleko stąd stał korpus Białoruski, ale mu nie pozwolono na razie nic robić. Zapisałem się do 10 p. ułanów i czekam, aż zacznie działać, to z nim wyruszę.

21. II. Jestem już w pułku na froncie; nasze podjazdy dochodzą do Słonina. Chamstwo bolszewickie wszędzie ucieka.

W kwietniu byłem na urlopie w Słuczu, gdyż ze zdrowiem mojem było licho. D. 6. maja wracam na front, gdyż mam się trochę lepiej. Jestem bardzo zaniepokojony, gdyż z naszych stron bolszewicy wciąż wywożą zakładników.

6. VI. Piszę z pod Nowogródka, stoimy nad Niemnem i czekamy, co na szerokim świecie będzie, a tu wiadomości z bolszewickich stron coraz gorsze. Wojska nasze są w odległości trzydziestu kilku wiorst od mego Zaladzia. Myślę teraz tylko o ofenzywie na wschód, ale jeśli z Niemcami będzie wojna, to tu pewno nic nie będzie. Dla mnie byłoby to okropne.

17. VII. Stoimy koło Nalibok, a ja będąc w pierwszej linji mam ustawicznie ciężką bardzo służbę. Widziałem człowieka, który wrócił

W każdym razie Niemcom nie daruję tego, póki żyje. Wróciłem do Zaladzia z Witoldem, który zabawił u mnie kilka tygodni. Gospodarowałem kilka miesięcy już na dobre, aż tu raptem nowa bieda. Niemcy się wycofują, a mówiono, że Polacy i Anglicy przyjdą za kilka tygodni. Takie przynajmniej wówczas było ogólne u nas mniemanie. Wobec tego postanowiliśmy się przez ten czas bronić sami, a Niemcy obiecali nam dać broń. Ja latałem jak szalony na wszystkie strony w dzień i w nocy, aby zorganizować tę samoobronę. I w ostatniej chwili okazuje się, że Niemcy broń oddają nie nam Polakom, ale chłopom bolszewikom. Ponieważ wszystkich mężczyzn bolszewicy organizują, mobilizują, więc wszyscy musieli wyjechać na zachód, a ja tem bardziej, gdyż na służących w polskim korpusie był wydany wyrok śmierci, a prócz tego miałem złą markę za formowanie samoobrony. Matka moja w żaden sposób nie chciała wyjeżdżać z Zaladzia, obiecała mi tylko, że w krytycznym wypadku wyjedzie do Słucka. Ja wziąłem kilka koni i wyjechaliśmy do Witolda. Zostawiłem całe gospodarstwo, nawet zboża nie sprzedawałem, aby zostało dla tego oczekiwanego polskiego wojska. Jechałem w Łomżyńskie do Witolda przeszło dwa tygodnie i to w grudniu w czasie silnych mrozów. Jechałem z kilkoma sąsiadami, którzy taksamo jak i ja mieli zamiar wstąpić do wojska, mieliśmy więc ukrytą broń. Przy wielu trudnościach i ostrożnościach przewiezliśmy ją przez bolszewików i przez Niemców, aż dopiero nasi rodacy w nieprzyzwoity sposób nas z niej ograbili. To było przykre wrażenie wstępne, ale po niej nastąpiły inne coraz gorsze.

Po przyjeździe do Słucza pp. Choynowskich znalazłem u Witolda wszystkie zeszyty wojenne Kwartalnika; a co to była za radość dla mnie, to tego opisać nie umiem.

Niedaleko stąd stał korpus Białoruski, ale mu nie pozwolono na razie nic robić. Zapisałem się do 10 p. ułanów i czekam, aż zacznie działać, to z nim wyruszę.

21. II. Jestem już w pułku na froncie; nasze podjazdy dochodzą do Słonina. Chamstwo bolszewickie wszędzie ucieka.

W kwietniu byłem na urlopie w Słuczu, gdyż ze zdrowiem mojem było licho. D. 6. maja wracam na front, gdyż mam się trochę lepiej. Jestem bardzo zaniepokojony, gdyż z naszych stron bolszewicy wciąż wywożą zakładników.

6. VI. Piszę z pod Nowogródka, stoimy nad Niemnem i czekamy, co na szerokim świecie będzie, a tu wiadomości z bolszewickich stron coraz gorsze. Wojska nasze są w odległości trzydziestu kilku wiorst od mego Zaladzia. Myślę teraz tylko o ofenzywie na wschód, ale jeśli z Niemcami będzie wojna, to tu pewno nic nie będzie. Dla mnie byłoby to okropne.

17. VII. Stoimy koło Nalibok, a ja będąc w pierwszej linji mam ustawicznie ciężką bardzo służbę. Widziałem człowieka, który wrócił

niedawno z moich stron i opowiadał, że tam bolszewicy majątki ograbili zupełnie i mnóstwo osób także i z mojej rodziny wywieźli w głąb Rosji.

Ciesząc się z uwolnienia Chyrowa, zasyłam Kochanym Ojcom serdeczne życzenia powodzenia przy odbudowie i prowadzeniu dalszem naszego drogiego Konwiktu.

Zygmunt Domański.

Warszawa, 4. VI. 1919.

Nie wiem, czy mię tam w Chyrowie uważacie za Chyrowiaka, gdyż z powodów odemnie nie zależnych tylko dwa lata byłem w Konwikcie, ale zobaczywszy w Warszawie u kol. K. Kwartalnik Chyrowski, z wielkiem zainteresowaniem go przeczytałem, a dowiedziawszy się, że mogę, zaraz się do Związku postanowiłem zapisać. Ja siebie uważam za Chyrowiaka, a to z tego powodu, iż pragnę i staram się żyć po katolicku, pamiętając na zasady i nauki, jakich słuchałem w czasie rekolekcji, udzielanych nam przez ś. p. O. Hrubanta. Proszę mi wierzyć, że te prawdy wśród licznych życiowych przejść i wojennej zawieruchy były mi drogowskazami, a całą filozofję życia umiem sobie streścić bardzo prosto, a mianowicie w tych pięciu słowach: „Ojcze nasz, Zdrowaś, Wierzę i Dziesięcioro“. Nic nowego prawdopodobnie nie napisałem, ale zdaje mi się, że to mi daje prawo, abyście mię do Związku przyjęli. Piszę to X. Redaktorowi, aby się przedstawić, bo jako jeden z najstarszych Chyrowiaków jestem Wam tam już obecnie nie znany, Wy zaś zapisując do Związku Chyrowiaków, musicie wiedzieć, kogo przyjmujecie.

Choć byłem krótko uczniem chyrowskim, jednak dzięki moim wychowawcom wyniosłem z Chyrowa wiele bardzo i pragnąłbym to samo wpoić w moje dzieci, których wychowanie jest niezwykle trudne w obecnych czasach. Tego też bardzo żałuję, że będąc tak krótko w Konwikcie nie zdołałem zadzierżgnąć silniejszych węzłów koleżeńskich z moimi ówczesnymi kolegami. Tylko młodość zdolna jest zaszczepić w duszę szlachetną bezinteresowną przyjaźń, jaką później już bardzo trudno nawet wśród rodziny lub sąsiadów znaleźć. Nie przeczę, że każdy człowiek jest egoistą, ale stopnie tego samolubstwa są tak liczne, że Związek Chyrowiaków, wielkieby mógł mieć zasługi, choć ukryte i nieznane światu, gdyby pielęgnując naszą przyjazń, osłabiał w nas to samolubstwo i to właśnie mnie do Związku pociąga. Już to samo, że ja się interesuję losem, dolą i niedolą wielu innych mych kolegów jest krokiem naprzód w zwalczaniu egoizmu.

Ta Biesiada Przyjacielska, mojem zdaniem, ma bardzo wielką wartość i sądzę, że byłoby to z wielkiem pożytkim dla szerszego ogółu, gdyby ją zebrawszy ze wszystkich zeszytów, razem wydać w osobnej książce. Bardzo się cieszę, że w Warszawie zakładają Sodalicję, gdyż może ona zdoła podnieść poziom religijnego uświadomienia wśród inteligentnych mężczyzn. Zwracam też uwagę Waszą na świetnie redago-

niedawno z moich stron i opowiadał, że tam bolszewicy majątki ograbili zupełnie i mnóstwo osób także i z mojej rodziny wywieźli w głąb Rosji.

Ciesząc się z uwolnienia Chyrowa, zasyłam Kochanym Ojcom serdeczne życzenia powodzenia przy odbudowie i prowadzeniu dalszem naszego drogiego Konwiktu.

Zygmunt Domański.

Warszawa, 4. VI. 1919.

Nie wiem, czy mię tam w Chyrowie uważacie za Chyrowiaka, gdyż z powodów odemnie nie zależnych tylko dwa lata byłem w Konwikcie, ale zobaczywszy w Warszawie u kol. K. Kwartalnik Chyrowski, z wielkiem zainteresowaniem go przeczytałem, a dowiedziawszy się, że mogę, zaraz się do Związku postanowiłem zapisać. Ja siebie uważam za Chyrowiaka, a to z tego powodu, iż pragnę i staram się żyć po katolicku, pamiętając na zasady i nauki, jakich słuchałem w czasie rekolekcji, udzielanych nam przez ś. p. O. Hrubanta. Proszę mi wierzyć, że te prawdy wśród licznych życiowych przejść i wojennej zawieruchy były mi drogowskazami, a całą filozofję życia umiem sobie streścić bardzo prosto, a mianowicie w tych pięciu słowach: „Ojcze nasz, Zdrowaś, Wierzę i Dziesięcioro“. Nic nowego prawdopodobnie nie napisałem, ale zdaje mi się, że to mi daje prawo, abyście mię do Związku przyjęli. Piszę to X. Redaktorowi, aby się przedstawić, bo jako jeden z najstarszych Chyrowiaków jestem Wam tam już obecnie nie znany, Wy zaś zapisując do Związku Chyrowiaków, musicie wiedzieć, kogo przyjmujecie.

Choć byłem krótko uczniem chyrowskim, jednak dzięki moim wychowawcom wyniosłem z Chyrowa wiele bardzo i pragnąłbym to samo wpoić w moje dzieci, których wychowanie jest niezwykle trudne w obecnych czasach. Tego też bardzo żałuję, że będąc tak krótko w Konwikcie nie zdołałem zadzierżgnąć silniejszych węzłów koleżeńskich z moimi ówczesnymi kolegami. Tylko młodość zdolna jest zaszczepić w duszę szlachetną bezinteresowną przyjaźń, jaką później już bardzo trudno nawet wśród rodziny lub sąsiadów znaleźć. Nie przeczę, że każdy człowiek jest egoistą, ale stopnie tego samolubstwa są tak liczne, że Związek Chyrowiaków, wielkieby mógł mieć zasługi, choć ukryte i nieznane światu, gdyby pielęgnując naszą przyjaźń, osłabiał w nas to samolubstwo i to właśnie mnie do Związku pociąga. Już to samo, że ja się interesuję losem, dolą i niedolą wielu innych mych kolegów jest krokiem naprzód w zwalczaniu egoizmu.

Ta Biesiada Przyjacielska, mojem zdaniem, ma bardzo wielką wartość i sądzę, że byłoby to z wielkiem pożytkim dla szerszego ogółu, gdyby ją zebrawszy ze wszystkich zeszytów, razem wydać w osobnej książce. Bardzo się cieszę, że w Warszawie zakładają Sodalicję, gdyż może ona zdoła podnieść poziom religijnego uświadomienia wśród inteligentnych mężczyzn. Zwracam też uwagę Waszą na świetnie redago-

wany tygodnik, świeżo założony w Warszawie pod tytułem „Sprawa“. Wiem, że we Lwowie i Krakowie jest wielu ludzi wysoko wykształconych i profesorów uniwersytetu głęboko wierzących i gorliwych praktykujących katolików, ale u nas inaczej... Może przewyższamy was w Galicji handlem, przemysłem, rzutkością i obrotnością w sprawach finansowych, ale pod względem wykształcenia stoimy daleko niżej. Ufam więc, że obecnie to zbliżenie się i pomięszanie rodaków i wspólna wymiana naszych dóbr przyniesie nam wszystkim wielkie korzyści.

N. N.

...Przez całe te 5 lat t. j. okres mego milczenia setki razy sercem całem wybiegałem ku Wam, jednak tak się złożyły warunki, że przez długi czas nie było sposobu dać znać życia o sobie. Od pierwszego dnia mobilizacji 1914 r. powołany do armji rosyjskiej byłem, jako szeregowiec naturalnie, i walczyłem na warszawskim froncie aż do 3 stycznia 1915 r., kiedy to dostałem się do pruskiej niewoli. W czasie przemarszu już jako jeniec, widziałem się z Romkiem Abrahamem, który ułatwił mi wtedy dużo rzeczy, a przedewszystkiem pokrzepił na duchu. Później dokładniej to opiszę, jak również całą moją niewolę i spostrzeżenia tam poczynione. Nadmienię tu tylko, że różnie mi tam było, byłem i pod wozem i na wozie. Chcieli mi początkowo Niemcy obciąć obie nogi z powodu, że miałem odmrożone obie stopy, ale P. Bóg łaskaw, obeszło się bez tego. Potem pracowałem jako tłumacz w obozie i w różnych kancelarjach, nareszcie wyjechałem do znajomych pp. Ponińskich z Kościelca w Poznańskiem, którzy ręczyli za mnie i wyrobili pozwolenie na wyjazd z obozu. Z rozkazu wyższej władzy za noszenie cywilnego ubrania znowu byłem cofnięty do obozu w Pile, lecz po pół roku wyjechałem na roboty najpierw do kolonisty Niemca, potem do gospodarza Polaka, wreszcie do właściciela majątku Polaka. We wszystkich tych wypadkach pracowałem jako prosty robotnik t. j. orałem, siałem, kosiłem i t. d. ostatnio zaś byłem jako fornal. Szef mój jednak ów obywatel poznał wkrótce, że muszę być czemś lepszym pod względem wykształcenia od moich kolegów jeńców; wyznałem mu, że skończyłem wyższe studya rolnicze, więc zrobił mię u siebie pomocnikiem administratora, wyrobił u władz pozwolenie na cywilne ubranie i t. d. tak, że mogłem nawet swobodnie jeździć kolejami.

Z wybuchem rewolucji w Niemczech zlikwidowałem moje interesa z moim pracodawcą i zjawiłem się w Warszawie, gdzie zapisałem się natychmiast do I. pułku ułanów Krechowieckich i odbyłem razem z nim wszystkie pochody i kampanie aż do połowy czerwca. Byłem pod Gródkiem Jagiellońskim od stycznia do kwietnia. Dwa nasze szwadrony stały pod Nowem Miastem, a nawet jak się dowiaduję z Kwartalnika stali jakiś czas kwaterą w Konwikcie, — że też mnie tam niebyło. W połowie czerwca zachorowałem bardzo ciężko na tyfus plamisty;

wany tygodnik, świeżo założony w Warszawie pod tytułem „Sprawa“. Wiem, że we Lwowie i Krakowie jest wielu ludzi wysoko wykształconych i profesorów uniwersytetu głęboko wierzących i gorliwych praktykujących katolików, ale u nas inaczej... Może przewyższamy was w Galicji handlem, przemysłem, rzutkością i obrotnością w sprawach finansowych, ale pod względem wykształcenia stoimy daleko niżej. Ufam więc, że obecnie to zbliżenie się i pomięszanie rodaków i wspólna wymiana naszych dóbr przyniesie nam wszystkim wielkie korzyści.

N. N.

...Przez całe te 5 lat t. j. okres mego milczenia setki razy sercem całem wybiegałem ku Wam, jednak tak się złożyły warunki, że przez długi czas nie było sposobu dać znać życia o sobie. Od pierwszego dnia mobilizacji 1914 r. powołany do armji rosyjskiej byłem, jako szeregowiec naturalnie, i walczyłem na warszawskim froncie aż do 3 stycznia 1915 r., kiedy to dostałem się do pruskiej niewoli. W czasie przemarszu już jako jeniec, widziałem się z Romkiem Abrahamem, który ułatwił mi wtedy dużo rzeczy, a przedewszystkiem pokrzepił na duchu. Później dokładniej to opiszę, jak również całą moją niewolę i spostrzeżenia tam poczynione. Nadmienię tu tylko, że różnie mi tam było, byłem i pod wozem i na wozie. Chcieli mi początkowo Niemcy obciąć obie nogi z powodu, że miałem odmrożone obie stopy, ale P. Bóg łaskaw, obeszło się bez tego. Potem pracowałem jako tłumacz w obozie i w różnych kancelarjach, nareszcie wyjechałem do znajomych pp. Potnińskich z Kościelca w Poznańskiem, którzy ręczyli za mnie i wyrobili pozwolenie na wyjazd z obozu. Z rozkazu wyższej władzy za noszenie cywilnego ubrania znowu byłem cofnięty do obozu w Pile, lecz po pół roku wyjechałem na roboty najpierw do kolonisty Niemca, potem do gospodarza Polaka, wreszcie do właściciela majątku Polaka. We wszystkich tych wypadkach pracowałem jako prosty robotnik t. j. orałem, siałem, kosiłem i t. d. ostatnio zaś byłem jako fornal. Szef mój jednak ów obywatel poznał wkrótce, że muszę być czemś lepszym pod względem wykształcenia od moich kolegów jeńców; wyznałem mu, że skończyłem wyższe studya rolnicze, więc zrobił mię u siebie pomocnikiem administratora, wyrobił u władz pozwolenie na cywilne ubranie i t. d. tak, że mogłem nawet swobodnie jeździć kolejami.

Z wybuchem rewolucji w Niemczech zlikwidowałem moje interesa z moim pracodawcą i zjawiłem się w Warszawie, gdzie zapisałem się natychmiast do I. pułku ułanów Krechowieckich i odbyłem razem z nim wszystkie pochody i kampanie aż do połowy czerwca. Byłem pod Gródkiem Jagiellońskim od stycznia do kwietnia. Dwa nasze szwadrony stały pod Nowem Miastem, a nawet jak się dowiaduję z Kwartalnika stali jakiś czas kwaterą w Konwikcie, — że też mnie tam niebyło. W połowie czerwca zachorowałem bardzo ciężko na tyfus plamisty;

byłem już na śmierć zaopatrzony, no ale jakoś przy Boskiej pomocy nie dałem się. Jako chory dwa razy przejeżdżałem przez Chyrów, z Przemyśla do Sambora i z powrotem i widziałem Konwikt z okien wagonu.

Obecnie jako rekonwalescent jestem na urlopie w majątku u brata, ale wkrótce ruszam znowu na front, tym razem na Litwę kochaną, gdzieś aż pod Mołodeczną. Od września więc mój adres 1. p. ułanów Krechowieckich I. szwadron. Członkiem Sodalicji nigdy być nie przestałem i jej medal stale noszę. W Wârszawie do Związku się zapisuję. Wszystkich Księży i Kolegów najserdeczniej pozdrawiam.

Wacław Tęczyński.

Tarnów, 22. VI. 1919.

Wczoraj wieczorem dopadłem dwóch otatnich numerów Kwartalnika Chyrowskiego, które W. Ojciec Ludkowi przysłał i naturalnie przeczytałem je od deski do deski — znalazłem również wzmiankę o tem, że przedarłem się z Ukrainy i wstąpiłem do wojska.

Dlaczego uciekłem z Ukrainy — mówiłem W. Ojcu w Krakowie w marcu: Życie pod rządami bolszewików, a potem Ukraińców doszło do kompletnego absurdum — człowiek wegietował z dnia na dzień, z godziny na godzinę — dziękując Bogu wieczorem, że przeżył jeszcze a rano, że pozwolonem mu było przespać pełną noc. O żadnej pracy myśleć nie było można, dochodziło się do takiego stopnia zdenerwowania, że o czytaniu nawet książki myśleć nie mogłem i jednem słowem wyzuty ze wszystkiego tłukłem się jak w klatce.

Wtedy jedyną pociechą dla mnie były reflexsje zastanawianie się nad sobą, nad przyszłością i obowiązkami swoimi. W końcu doszedłem do przekonania, że obowiązkiem moim jest wstąpić do wojska i przyjść tutaj na Ukrainę z powrotem dla wyzwolenia wszystkich moich najdroższych z pod okrutnego jarzma Ukraińców i spodziewanych wtedy bolszewików.

Z tem postanowieniem, pożegnawszy wszystkich, ruszyłem z Winnicy 24. I. drogą na Kijów—Kowel do Warszawy. W Kijowie zastałem panikę i ucieczkę wszystkich instytucyj urzędu ukraińskiego i wielką ucieczkę osób prywatnych z inteligencji. Z trudem, po wielu przykrościach i tylko dzięki memu bolszewickiemu przebraniu, udało mi się po trzech dniach wyjechać — ale całą drogę nie byłem pewny, czy się nie znajdę pod kołami pociągu, lub czy grasujące bandy kozaków ukraińskich nie zechcą ściąć mi głowy. W Hołobach znęcania się i urągowisko Niemców. W Kowlu przesiedziałem 3 dni pod groźbą nadciągających band ukraińskich, którym wycofujący się Niemcy chcieli oddać cały zajmowany odcinek — wreszcie oswobodzenie dzięki atakowi naszych oddziałów i wyjazd do Warszawy; łącznie kosztowała mnie podróż 10 dni: nic dziwnego, że przyjechałem do Warszawy kompletnie chory.

W Warszawie straciłem dobre trzy tygodnie na odnalezienie

byłem już na śmierć zaopatrzony, no ale jakoś przy Boskiej pomocy nie dałem się. Jako chory dwa razy przejeżdżałem przez Chyrów, z Przemyśla do Sambora i z powrotem i widziałem Konwikt z okien wagonu.

Obecnie jako rekonwalescent jestem na urlopie w majątku u brata, ale wkrótce ruszam znowu na front, tym razem na Litwę kochaną, gdzieś aż pod Mołodeczną. Od września więc mój adres 1. p. ułanów Krechowieckich I. szwadron. Członkiem Sodalicji nigdy być nie przestałem i jej medal stale noszę. W Wârszawie do Związku się zapisuję. Wszystkich Księży i Kolegów najserdeczniej pozdrawiam.

Wacław Tęczyński.

Tarnów, 22. VI. 1919.

Wczoraj wieczorem dopadłem dwóch otatnich numerów Kwartalnika Chyrowskiego, które W. Ojciec Ludkowi przysłał i naturalnie przeczytałem je od deski do deski — znalazłem również wzmiankę o tem, że przedarłem się z Ukrainy i wstąpiłem do wojska.

Dlaczego uciekłem z Ukrainy — mówiłem W. Ojcu w Krakowie w marcu: Życie pod rządami bolszewików, a potem Ukraińców doszło do kompletnego absurdum — człowiek wegietował z dnia na dzień, z godziny na godzinę — dziękując Bogu wieczorem, że przeżył jeszcze a rano, że pozwolonem mu było przespać pełną noc. O żadnej pracy myśleć nie było można, dochodziło się do takiego stopnia zdenerwowania, że o czytaniu nawet książki myśleć nie mogłem i jednem słowem wyzuty ze wszystkiego tłukłem się jak w klatce.

Wtedy jedyną pociechą dla mnie były reflexsje zastanawianie się nad sobą, nad przyszłością i obowiązkami swoimi. W końcu doszedłem do przekonania, że obowiązkiem moim jest wstąpić do wojska i przyjść tutaj na Ukrainę z powrotem dla wyzwolenia wszystkich moich najdroższych z pod okrutnego jarzma Ukraińców i spodziewanych wtedy bolszewików.

Z tem postanowieniem, pożegnawszy wszystkich, ruszyłem z Winnicy 24. I. drogą na Kijów—Kowel do Warszawy. W Kijowie zastałem panikę i ucieczkę wszystkich instytucyj urzędu ukraińskiego i wielką ucieczkę osób prywatnych z inteligencji. Z trudem, po wielu przykrościach i tylko dzięki memu bolszewickiemu przebraniu, udało mi się po trzech dniach wyjechać — ale całą drogę nie byłem pewny, czy się nie znajdę pod kołami pociągu, lub czy grasujące bandy kozaków ukraińskich nie zechcą ściąć mi głowy. W Hołobach znęcania się i urągowisko Niemców. W Kowlu przesiedziałem 3 dni pod groźbą nadciągających band ukraińskich, którym wycofujący się Niemcy chcieli oddać cały zajmowany odcinek — wreszcie oswobodzenie dzięki atakowi naszych oddziałów i wyjazd do Warszawy; łącznie kosztowała mnie podróż 10 dni: nic dziwnego, że przyjechałem do Warszawy kompletnie chory.

W Warszawie straciłem dobre trzy tygodnie na odnalezienie

i dopytanie się o pułk, do którego chciałem się zapisać. Wreszcie w końcu lutego w Wilanowie pod Warszawą zapisałem się do 1-go szwadronu 12-go podolskiego pułku ułanów, gdzie dotychczas służę ze względu na wzrost zaliczony zostałem do 1-go plutonu i rzeczywiście okazałem się najwyższym w szwadronie, więc stale figurowałem na skrajnem skrzydle.

Od 7-go marca wolno i monotonnie płynęło dla mnie życie w koszarach, podzielone ściśle na godziny ćwiczeń konnych, pieszych, gimnastykę, czytanie teorji, ćwiczeń lancą, szablą i karabinami; najcięższem było dla mnie to, że nie mogłem prowadzić pracy umysłowej, bo o wszelkiego rodzaju czytaniu tak ze względów zmęczenia, jak również ze względów hałaśliwego życia koszarowego wśród kolegów mowy być nie mogło. Po kilku więc próbach odwiozłem wszelkie książki i zeszyty z notatkami do Warszawy, a wolne od zajęć i odpoczynku chwile spędzałem bądź na pisaniu obfitych listów do swoich, które przy każdej nadarzającej się okazji wysyłałem, bądź na rozmyślaniach, bądź wreszcie na rozmowach z kilku kolegami, z którymi mogłem dojść do ładu.

A mam takich kolegów tylko trzech: Jana Zamoyskiego, młodszego brata byłych na krótko Chyrowiaków i kolegów moich Franciszka i jego brata z Podzamcza, Władysława Lubomirskiego z Kruszyny i Aleksandra Zybarg-Platera z Litwy. Proponowano mi wstąpienie do szkoły podchorążych, gdziebym mógł po 8 miesiącach dosięgnąć stopnia podpor. przy jednoczesnem zobowiązaniu się do 5-cio letniej dalszej służby, ale odmówiłem; były również próby zachwiania mnie w postanowieniu, proponowano mi parę odpowiedzialnych stanowisk w pułku, ale usuwających mnie z linji bojowej, odsunąłem wszystkie propozycje, zacisnąłem zęby i trwałem dalej: idea, dla której wstąpiłem, podtrzymywała mnie, dodawała siły i otuchy — postanowiłem służyć jako prosty żołnierz a rang dosługiwać się w polu. Zresztą myśl, że służę w podolskim pułku, dodawała mi wciąż nadziei, że pułk mój ruszy na Podole i że wtedy spełnię postanowienie swoje, niejako ślubowanie moje w chwili wymarszu piechotą z Winnicy.

Dowiedziałem się przytem od oficerów moich, że pułk mój jest przetransformowany z byłego 7-go pułku ułańskiego, wchodzącego niegdyś w skład III-ciego korpusu wojsk polskich generała Michaelisa i walczącego w okolicach Winnicy pod Niemirowem, Kanawą i Dwonicką, że otrzymał nazwę „12-go podolskiego pułku" na pamiątkę właśnie walk tych podolskich i na pamiątkę 12-go pułku ułańskiego, jakie Podole wystawiło w czasie walk napoleońskich i księstwa warszawskiego.

I rzeczywiście oficerowie wszyscy walczyli na Podolu, poczem po rozbrojeniu kryli się w Winnicy i pojedynczo przedzierali się do Warszawy, a żołnierzy zaś w I-szym szwadronie jest około 30-tu, w II-gim około 60-ciu z tych, którzy walczyli na Podolu, reszta żołnierzy i oficerów, jak się później dowiedziałem, zemknęła z Ukrainy do Odesy

i dopytanie się o pułk, do którego chciałem się zapisać. Wreszcie w końcu lutego w Wilanowie pod Warszawą zapisałem się do 1-go szwadronu 12-go podolskiego pułku ułanów, gdzie dotychczas służę ze względu na wzrost zaliczony zostałem do 1-go plutonu i rzeczywiście okazałem się najwyższym w szwadronie, więc stale figurowałem na skrajnem skrzydle.

Od 7-go marca wolno i monotonnie płynęło dla mnie życie w koszarach, podzielone ściśle na godziny ćwiczeń konnych, pieszych, gimnastykę, czytanie teorji, ćwiczeń lancą, szablą i karabinami; najcięższem było dla mnie to, że nie mogłem prowadzić pracy umysłowej, bo o wszelkiego rodzaju czytaniu tak ze względów zmęczenia, jak również ze względów hałaśliwego życia koszarowego wśród kolegów mowy być nie mogło. Po kilku więc próbach odwiozłem wszelkie książki i zeszyty z notatkami do Warszawy, a wolne od zajęć i odpoczynku chwile spędzałem bądź na pisaniu obfitych listów do swoich, które przy każdej nadarzającej się okazji wysyłałem, bądź na rozmyślaniach, bądź wreszcie na rozmowach z kilku kolegami, z którymi mogłem dojść do ładu.

A mam takich kolegów tylko trzech: Jana Zamoyskiego, młodszego brata byłych na krótko Chyrowiaków i kolegów moich Franciszka i jego brata z Podzamcza, Władysława Lubomirskiego z Kruszyny i Aleksandra Zybarg-Platera z Litwy. Proponowano mi wstąpienie do szkoły podchorążych, gdziebym mógł po 8 miesiącach dosięgnąć stopnia podpor. przy jednoczesnem zobowiązaniu się do 5-cio letniej dalszej służby, ale odmówiłem; były również próby zachwiania mnie w postanowieniu, proponowano mi parę odpowiedzialnych stanowisk w pułku, ale usuwających mnie z linji bojowej, odsunąłem wszystkie propozycje, zacisnąłem zęby i trwałem dalej: idea, dla której wstąpiłem, podtrzymywała mnie, dodawała siły i otuchy — postanowiłem służyć jako prosty żołnierz a rang dosługiwać się w polu. Zresztą myśl, że służę w podolskim pułku, dodawała mi wciąż nadziei, że pułk mój ruszy na Podole i że wtedy spełnię postanowienie swoje, niejako ślubowanie moje w chwili wymarszu piechotą z Winnicy.

Dowiedziałem się przytem od oficerów moich, że pułk mój jest przetransformowany z byłego 7-go pułku ułańskiego, wchodzącego niegdyś w skład III-ciego korpusu wojsk polskich generała Michaelisa i walczącego w okolicach Winnicy pod Niemirowem, Kanawą i Dwonicką, że otrzymał nazwę „12-go podolskiego pułku" na pamiątkę właśnie walk tych podolskich i na pamiątkę 12 go pułku ułańskiego, jakie Podole wystawiło w czasie walk napoleońskich i księstwa warszawskiego.

I rzeczywiście oficerowie wszyscy walczyli na Podolu, poczem po rozbrojeniu kryli się w Winnicy i pojedynczo przedzierali się do Warszawy, a żołnierzy zaś w I-szym szwadronie jest około 30-tu, w II-gim około 60-ciu z tych, którzy walczyli na Podolu, reszta żołnierzy i oficerów, jak się później dowiedziałem, zemknęła z Ukrainy do Odesy

i utworzyła 2 następne szwadrony, które weszły w skład dywizji generała Żeligowskiego.

W połowie kwietnia zaczęto przebąkiwać o wysłaniu nas to do Zamościa dla dopełniania kadrów i jako rezerwa wojsk frontowych, to wprost na front jako wojska linjowe, przytem wymieniono front wołyński. Nie będę opisywał, jakie uczucie radości mną poczęło miotać: front wołyński oznaczałby marsz w stronę Kijowa, co byłoby wypełnieniem moich życzeń i marzeń. Ale do ostatniej chwili kierunek jazdy był niewiadomy.

Tymczasem oddziały nasze (narazie 2 szwadrony) wzięły udział w Warszawie w pochodzie 3-o Maja, naturalnie entuzjastyczne witanie przez ludność miasta: nazywano nas hussarją, kirasjerami itp. D. 6-go maja mieliśmy podniosłą uroczystość poświęcenia darowanego nam sztandaru pułkowego w obecności naszego świeżo mianowanego pułkownika Tokarzewskiego i ministra wojny generała Leśniewskiego, który do nas krótko, po żołniersku przemawiał; również ładną i podniosłą przemowę miał przybyły do Wilanowa ksiądz dokonujący aktu poświęcenia.

Wreszcie 9-go ruszyliśmy z Wilanowa do Warszawy, gdzieśmy wsiedli do wagonów, ozdabiając każdy lancą z chorągiewką naszego pułku trójkolorową: amarantowo-granatową z wązkim lampasem białym w pośrodku. 10-go poobiedzie ruszyliśmy wciąż niepewni, dokąd jedziemy; skierowali nas na Kraków—Przemyśl; tutaj pozostaliśmy pół dnia, poczem na noc ruszyliśmy do Dobromila, gdzieśmy o 3-ciej w nocy 13-go maja wyładowali się, witani entuzjastycznie przez polską ludność. Przydzielono nas do III-ciej dywizji generała Zielińskiego ruszyliśmy do wioski Pietnicy, gdzieśmy zaraz następnego poranka mieli pierwszy chrzest ogniowy.

Zastaliśmy na górze Rozenberg 2 placówki naszej piechoty ludzi 15-tu; reszta stała pod Chyrowem i Dobromilem, gdzie również umieścił się sztab dywizji. W nocy na 14-ty maja Ukraińcy przerzucili z pod Wołczy i Mościsk duże siły na Dobromil i Chyrów, rozpoczynają nad ranem atak — myśmy w sile 160 ludzi bojowych, świeżych zupełnie bez kulomiotów trafili na oddział 1000 Ukraińców z 8-miu kulomiotami, przytem w paskudnej byliśmy pozycji — w dole we wrogiej nam wsi, podczas gdy oni schodzili z lesistej góry; pomimo tej przewagi liczebnej i pozycyjnej, pomimo ich kulomiotów i pancerki, działającej na linji Dobromil—Chyrów ruszyliśmy do ataku: II-gi szwadron w liczbie 80 ludzi bojowych i z I-go szwadronu 2 plutony w liczbie 50 ludzi pieszo w tyralierkę; IV-ty pluton pozostał we wsi dla strzeżenia taborów i dobytku i utrzymania porządku ze strony wrogich nam chłopów, a mój I-szy pluton w 25 ludzi w konnym szyku osłaniał prawy nasz flank od strony cmentarza chyrowskiego; pomimo tak małej liczby naszych, atak nasz przeprowadzony z furją i odwagą, jaką tylko polski żołnierz się odznacza, zbił Ukraińców i powstrzymał ich od Dobromila, nie pozwa-

i utworzyła 2 następne szwadrony, które weszły w skład dywizji generała Żeligowskiego.

W połowie kwietnia zaczęto przebąkiwać o wysłaniu nas to do Zamościa dla dopełniania kadrów i jako rezerwa wojsk frontowych, to wprost na front jako wojska linjowe, przytem wymieniono front wołyński. Nie będę opisywał, jakie uczucie radości mną poczęło miotać: front wołyński oznaczałby marsz w stronę Kijowa, co byłoby wypełnieniem moich życzeń i marzeń. Ale do ostatniej chwili kierunek jazdy był niewiadomy.

Tymczasem oddziały nasze (narazie 2 szwadrony) wzięły udział w Warszawie w pochodzie 3-o Maja, naturalnie entuzjastyczne witanie przez ludność miasta: nazywano nas hussarją, kirasjerami itp. D. 6-go maja mieliśmy podniosłą uroczystość poświęcenia darowanego nam sztandaru pułkowego w obecności naszego świeżo mianowanego pułkownika Tokarzewskiego i ministra wojny generała Leśniewskiego, który do nas krótko, po żołniersku przemawiał; również ładną i podniosłą przemowę miał przybyły do Wilanowa ksiądz dokonujący aktu poświęcenia.

Wreszcie 9-go ruszyliśmy z Wilanowa do Warszawy, gdzieśmy wsiedli do wagonów, ozdabiając każdy lancą z chorągiewką naszego pułku trójkolorową: amarantowo-granatową z wązkim lampasem białym w pośrodku. 10-go poobiedzie ruszyliśmy wciąż niepewni, dokąd jedziemy; skierowali nas na Kraków—Przemyśl; tutaj pozostaliśmy pół dnia, poczem na noc ruszyliśmy do Dobromila, gdzieśmy o 3-ciej w nocy 13-go maja wyładowali się, witani entuzjastycznie przez polską ludność. Przydzielono nas do III-ciej dywizji generała Zielińskiego ruszyliśmy do wioski Pietnicy, gdzieśmy zaraz następnego poranka mieli pierwszy chrzest ogniowy.

Zastaliśmy na górze Rozenberg 2 placówki naszej piechoty ludzi 15-tu; reszta stała pod Chyrowem i Dobromilem, gdzie również umieścił się sztab dywizji. W nocy na 14-ty maja Ukraińcy przerzucili z pod Wołczy i Mościsk duże siły na Dobromil i Chyrów, rozpoczynają nad ranem atak — myśmy w sile 160 ludzi bojowych, świeżych zupełnie bez kulomiotów trafili na oddział 1000 Ukraińców z 8-miu kulomiotami, przytem w paskudnej byliśmy pozycji — w dole we wrogiej nam wsi, podczas gdy oni schodzili z lesistej góry; pomimo tej przewagi liczebnej i pozycyjnej, pomimo ich kulomiotów i pancerki, działającej na linji Dobromil—Chyrów ruszyliśmy do ataku: II-gi szwadron w liczbie 80 ludzi bojowych i z I-go szwadronu 2 plutony w liczbie 50 ludzi pieszo w tyralierkę; IV-ty pluton pozostał we wsi dla strzeżenia taborów i dobytku i utrzymania porządku ze strony wrogich nam chłopów, a mój I-szy pluton w 25 ludzi w konnym szyku osłaniał prawy nasz flank od strony cmentarza chyrowskiego; pomimo tak małej liczby naszych, atak nasz przeprowadzony z furją i odwagą, jaką tylko polski żołnierz się odznacza, zbił Ukraińców i powstrzymał ich od Dobromila, nie pozwa-

lając im okrążyć Chyrowa; od góry Herburta piechota z kulomiotami mogła dopiero w południe nadciągnąć i nas zluzować. A położenie wtedy było wprost groźne: pod Dobromilem Ukraińcy zerwali tor kolejowy, by nie dopuścić naszej pancerki; na cmentarzu chyrowskim sytuacja wprost rozpaczliwa; piechota nasza pod naporem przeważających sił cofnęła się za las sosnowy w stronę Starzawy, generał Zieliński osobiście dowodzący zamknął się w kaplicy cmentarnej i pod huraganowym ogniem artylerji, kulomiotów i pancerki Ukraińskiej blizkim był wzięcia do niewoli; o 20 kroków od niego toczyła się zażarta walka; dość powiedzieć, że Ukraińcy zeszli z cmentarza i podchodzili w opłotki Chyrowa od strony szkoły. Wtedy atak na bagnety skombinowanej artylerji naszej (bo i działa już były zamilkły) i piechoty z jednej strony, z drugiej powstrzymanie przez nasze 2 szwadrony oddziału Ukraińców, przeznaczonego do oskrzydlania Chyrowa, przełamał impet wroga; zaczęli się łamać i cofać — za naszą obronę otrzymaliśmy serdeczne podziękowanie generała Zielińskiego.

W stratach mieliśmy 6-ciu szeregowców i 1 podporucznika rannych, nadto kika koni lekko rannych; rannych konwojowałem do Dobromila. Schowałem sobie na pamiątkę 2 kulki ukraińskie, które ugrzęzły w stodole, obok której stała uwiązana klacz moja przy czyszczeniu a potem przy siodłaniu.

Zaraz stamtąd ruszyliśmy pod Chyrów, gdzieśmy w lasku, przytykającym do cmentarza stanęli w rezerwie — ciężka artylerja nasza strzelała nam nad głową w stronę Grodowic i Starosolskiej Góry a każdy strzał elektryzował konie nasze. Nie mało mieliśmy kłopotu, gdy z jednej strony artylerja ukraińska, z drugiej pancerka ukraińska doskrobały się naszej ciężkiej artylerji i poczęły prażyć — zaczęła wtedy ołowiana manna sypać się i na nas obficie, wycofaliśmy konie w jary, gdzie będąc jeszcze konwiktorem z trudem skakałem, ale nigdy nie przypuszczałem, że będę tamże konia prowadził — zmęczyłem się silnie przy prowadzeniu konia — a gdyśmy już wieczorem po odparciu ataków ukraińskich powrócili na dawne miejsce, zastaliśmy kilkanaście granatów i mnóstwo odłamków; ładniebyśmy wyglądali, gdybyśmy stali na miejscu.

Paru moich kolegów chciało kupić w miasteczku papierosów, ale szybko powrócili, bo o spacerze na mieście mowy nie było, granaty padały jeden przy drugim, dopiero wieczorem koło 9-tej, kiedy wszystko się skończyło, ruszyliśmy na noc do miasteczka; rozlokowano nas zaraz za szkołą w chatkach miejskich. Myślałem, że nazajutrz rano będę mógł wpaść do Zakładu, przywitać się z obecnymi Ojcami, oglądnąć Zakład i poczynione szkody, ale gdzietam: o 4-tej zbudzono 6-ciu z mojego plutonu i mnie między nimi a o $4^1/_2$ pod komendą porucznika ruszyliśmy na wywiad w stronę Starej-Soli. Zaraz za Bąkowicami na górze podjechaliśmy pod same placówki ukraińskie, gdzie nas znowu przywitano gradem kul, szczęściem bezskutecznie, bo Ukraińcy podle bardzo

lając im okrążyć Chyrowa; od góry Herburta piechota z kulomiotami mogła dopiero w południe nadciągnąć i nas zluzować. A położenie wtedy było wprost gróżne: pod Dobromilem Ukraińcy zerwali tor kolejowy, by nie dopuścić naszej pancerki; na cmentarzu chyrowskim sytuacja wprost rozpaczliwa; piechota nasza pod naporem przeważających sił cofnęła się za las sosnowy w stronę Starzawy, generał Zieliński osobiście dowodzący zamknął się w kaplicy cmentarnej i pod huraganowym ogniem artylerji, kulomiotów i pancerki Ukraińskiej blizkim był wzięcia do niewoli; o 20 kroków od niego toczyła się zażarta walka; dość powiedzieć, że Ukraińcy zeszli z cmentarza i podchodzili w opłotki Chyrowa od strony szkoły. Wtedy atak na bagnety skombinowanej artylerji naszej (bo i działa już były zamilkły) i piechoty z jednej strony, z drugiej powstrzymanie przez nasze 2 szwadrony oddziału Ukraińców, przeznaczonego do oskrzydlania Chyrowa, przełamał impet wroga; zaczęli się łamać i cofać — za naszą obronę otrzymaliśmy serdeczne podziękowanie generała Zielińskiego.

W stratach mieliśmy 6-ciu szeregowców i 1 podporucznika rannych, nadto kika koni lekko rannych; rannych konwojowałem do Dobromila. Schowałem sobie na pamiątkę 2 kulki ukraińskie, które ugrzęzły w stodole, obok której stała uwiązana klacz moja przy czyszczeniu a potem przy siodłaniu.

Zaraz stamtąd ruszyliśmy pod Chyrów, gdzieśmy w lasku, przytykającym do cmentarza stanęli w rezerwie — ciężka artylerja nasza strzelała nam nad głową w stronę Grodowic i Starosolskiej Góry a każdy strzał elektryzował konie nasze. Nie mało mieliśmy kłopotu, gdy z jednej strony artylerja ukraińska, z drugiej pancerka ukraińska doskrobały się naszej ciężkiej artylerji i poczęły prażyć — zaczęła wtedy ołowiana manna sypać się i na nas obficie, wycofaliśmy konie w jary, gdzie będąc jeszcze konwiktorem z trudem skakałem, ale nigdy nie przypuszczałem, że będę tamże konia prowadził — zmęczyłem się silnie przy prowadzeniu konia — a gdyśmy już wieczorem po odparciu ataków ukraińskich powrócili na dawne miejsce, zastaliśmy kilkanaście granatów i mnóstwo odłamków; ładniebyśmy wyglądali, gdybyśmy stali na miejscu.

Paru moich kolegów chciało kupić w miasteczku papierosów, ale szybko powrócili, bo o spacerze na mieście mowy nie było, granaty padały jeden przy drugim, dopiero wieczorem koło 9-tej, kiedy wszystko się skończyło, ruszyliśmy na noc do miasteczka; rozlokowano nas zaraz za szkołą w chatkach miejskich. Myślałem, że nazajutrz rano będę mógł wpaść do Zakładu, przywitać się z obecnymi Ojcami, oglądnąć Zakład i poczynione szkody, ale gdzietam: o 4-tej zbudzono 6-ciu z mojego plutonu i mnie między nimi a o $4^1/_2$ pod komendą porucznika ruszyliśmy na wywiad w stronę Starej-Soli. Zaraz za Bąkowicami na górze podjechaliśmy pod same placówki ukraińskie, gdzie nas znowu przywitano gradem kul, szczęściem bezskutecznie, bo Ukraińcy podle bardzo

strzelają, stamtąd ja, jako znający okolicę, poprowadziłem z porucznikiem patrol w bok przez Polanę popod suszycką górę w około starosolskiej dotarliśmy rozmaitemi krętemi ścieżynkami i zagajnikami pod samą prawie Starą-Sól, a więc w bok i w tył wroga, tak że cofające się z Suszycy i Śliwnicy oddziały ukraińskie przeszły po naszych śladach; był to dość ryzykowny, odważny wywiad; gdyśmy powrócili, wojska nasze stały już w Tarnawce, a artylerja kończyła koncert z Ukraińcami. Zaraz potem ruszyliśmy na Starą-Sól i Stary-Sambor, tak że Zakład widziałem z daleka przejeżdżając przez most na Bąkowicach i potem objeżdżając lasami i wąwozami; wychylała się wieża; widziałem również folwark na Polanie — przypominały się konwiktowe lata, wycieczki, majówki a przytem szalony zapał i otucha mnie ogarnęła. Powiedziałem sobie: jeżeli ofenzywa zaczyna się od Chyrowa, jeżeli służba moja żołnierska zaczyna się w tych okolicach, gdzie jako malec i dorastający młodzieniec bąki zbijałem, zbierałem grzyby, ogniska paliłem, a wreszcie nogę złamałem, to dobrze, to znaczy cała ofenzywa się powiedzie i ja będę żyw, zdrów i cało z niej wyjdę. I tak jeżdżąc na czubku patroli, modliłem się i oddałem się w opiekę św. Józefowi i Matce Najświętszej, prosząc o siłę i zdrowie dla przejścia całej ofenzywy i dojścia przez Galicję wschodnią do swoich stron rodzinnych na Podolu rosyjskiem.

Za Starą-Solą Ukraińcy mały już stawiali opór, tylko pod Starym Samborem patrol nasza, gdzie i ja byłem, niespodzianie wpadła na ogień pancerki ukraińskiej i w odległości 200 kroków od niej w odkrytem polu musieliśmy cwałować do szwadronu, który stał we wsi, by go ostrzedz przed pancerką i nadciągającym pułkiem piechoty z kulomiotami; byłem 4-ty z rzędu, który wyrywałem galopa z pod ognia pancerki, kule gwizdały gęsto i mnie i koniowi koło ucha, ale nieszkodliwie; wtedy straciliśmy jednego, który był zsiadł z konia i koń wyrwał mu się, nie dając na siebie wsiąść; wpadł w ręce Ukraińców, ale zaraz nazajutrz w Samborze powrócił do nas żyw i zdrów tylko obdarty. Wtedy cały szwadron nasz wycofał się o 7 km. wtył, do wioski, gdzieśmy przenocowali, a nazajutrz powróciliśmy i poszliśmy dalej. Piechota zaś nasza rozbiła ukraiński pułk, który nie dał nam spokojnie spać; zmęczyliśmy się wtedy serdecznie, bośmy w nocy 7 km. prowadzili konie w cuglach po najokropniejszych górach i wertepach.

Później przeszliśmy na Borysław—Truskawiec—Stryj—Bolechów—Wygodę—Dolinę do Nadwórnej i Delatyna, pluton mój parę razy był wysyłany wprzód i odznaczył się głównie koło Bolechowa, tam Ukraińcy zerwali mosty i bardzo pilnie bronili przepraw i brodów, któreśmy próbowali forsować, gdy się nam to nie udało, cofnęliśmy się nieco w góry i szczytami i wertepami obeszliśmy ich wokoło, pociągając za sobą piechotę; na noc zaszliśmy ich z nienacka w Wygodzie (40 wiorst od Bolechowa), gdzie cichym atakiem na białą broń o 2-ej wybiliśmy i przepędzili zdobywając mosty i przeprawy; na wieść o tem cofnęli się

strzelają, stamtąd ja, jako znający okolicę, poprowadziłem z porucznikiem patrol w bok przez Polanę popod suszycką górę w około starosolskiej dotarliśmy rozmaitemi krętemi ścieżynkami i zagajnikami pod samą prawie Starą-Sól, a więc w bok i w tył wroga, tak że cofające się z Suszycy i Śliwnicy oddziały ukraińskie przeszły po naszych śladach; był to dość ryzykowny, odważny wywiad; gdyśmy powrócili, wojska nasze stały już w Tarnawce, a artylerja kończyła koncert z Ukraińcami. Zaraz potem ruszyliśmy na Starą-Sól i Stary-Sambor, tak że Zakład widziałem z daleka przejeżdżając przez most na Bąkowicach i potem objeżdżając lasami i wąwozami; wychylała się wieża; widziałem również folwark na Polanie — przypominały się konwiktowe lata, wycieczki, majówki a przytem szalony zapał i otucha mnie ogarnęła. Powiedziałem sobie: jeżeli ofenzywa zaczyna się od Chyrowa, jeżeli służba moja żołnierska zaczyna się w tych okolicach, gdzie jako malec i dorastający młodzieniec bąki zbijałem, zbierałem grzyby, ogniska paliłem, a wreszcie nogę złamałem, to dobrze, to znaczy cała ofenzywa się powiedzie i ja będę żyw, zdrów i cało z niej wyjdę. I tak jeżdżąc na czubku patroli, modliłem się i oddałem się w opiekę św. Józefowi i Matce Najświętszej, prosząc o siłę i zdrowie dla przejścia całej ofenzywy i dojścia przez Galicję wschodnią do swoich stron rodzinnych na Podolu rosyjskiem.

Za Starą-Solą Ukraińcy mały już stawiali opór, tylko pod Starym Samborem patrol nasza, gdzie i ja byłem, niespodzianie wpadła na ogień pancerki ukraińskiej i w odległości 200 kroków od niej w odkrytem polu musieliśmy cwałować do szwadronu, który stał we wsi, by go ostrzedz przed pancerką i nadciągającym pułkiem piechoty z kulomiotami; byłem 4-ty z rzędu, który wyrywałem galopa z pod ognia pancerki, kule gwizdały gęsto i mnie i koniowi koło ucha, ale nieszkodliwie; wtedy straciliśmy jednego, który był zsiadł z konia i koń wyrwał mu się, nie dając na siebie wsiąść; wpadł w ręce Ukraińców, ale zaraz nazajutrz w Samborze powrócił do nas żyw i zdrów tylko obdarty. Wtedy cały szwadron nasz wycofał się o 7 km. wtył, do wioski, gdzieśmy przenocowali, a nazajutrz powróciliśmy i poszliśmy dalej. Piechota zaś nasza rozbiła ukraiński pułk, który nie dał nam spokojnie spać; zmęczyliśmy się wtedy serdecznie, bośmy w nocy 7 km. prowadzili konie w cuglach po najokropniejszych górach i wertepach.

Później przeszliśmy na Borysław—Truskawiec—Stryj—Bolechów—Wygodę—Dolinę do Nadwórnej i Delatyna, pluton mój parę razy był wysyłany wprzód i odznaczył się głównie koło Bolechowa, tam Ukraińcy zerwali mosty i bardzo pilnie bronili przepraw i brodów, któreśmy próbowali forsować, gdy się nam to nie udało, cofnęliśmy się nieco w góry i szczytami i wertepami obeszliśmy ich wokoło, pociągając za sobą piechotę; na noc zaszliśmy ich z nienacka w Wygodzie (40 wiorst od Bolechowa), gdzie cichym atakiem na białą broń o 2-ej wybiliśmy i przepędzili zdobywając mosty i przeprawy; na wieść o tem cofnęli się

z pod Bolechowa, a nasze szwadrony i główne siły dywizji przeszły nazajutrz wprost z Bolechowa do Doliny, (15 wiorst) zajętej przez mój pluton ślicznym okolnym atakiem. Ukraińcy w przeważającej sile umknęli w panicznym strachu, tam uwolniliśmy z 200 jeńców-polaków w opłakanym wprost stanie. W szpicach na wywiadach parę razy byłem na samym przedzie, również w pochodzie do Bolechowa, do Wygody i Doliny. Nie będę opisywał, jak nas ludność polska przyjmowała, bo to zbyt dużo miejsca zajmie, a list mój i tak przydługi jest, wspomnę tylko, że jak mogli najserdeczniej, witano nas jak zbawców, obsypywano kwiatami, a miejscami spotykały nas kobiety i mężczyźni w spazmach i atakach histerycznych, czepiając się szyi końskich, strzemion i kolan, widziałem w Dolinie kobiety płaczące z radości i omdlewające ze wzruszenia i ataków nerwowych. W Nadwórnej spotkaliśmy Rumunów, którzy ku szczęściu ludności polskiej zajęli 12 powiatów (bez Stanisławowa) na parę dni przed naszem przyjściem osłaniając je w ten sposób od rzezi i grabieży. Wyznaczono pluton mój do Delatyna, wzamian Rumuni zostawili 2 kompanie piechoty w Nadwórnej przy naszej dywizji, po drodze i w Delatynie spotykały nas oddziały rumuńskie, obsypywały kwiatami i witały z entuzjazmem i honorami. Okrzykom „Vive la Pologne“ na które myśmy odpowiadali „Niech żyje Rumunia“ końca nie było. Wogóle cały nasz pochód przez Galicję Wschodnią był jakby pochodem triumfalnym, myśmy przynosili ludności polskiej wyzwolenie z pod okrutnego obucha zdziczałych Ukraińców, toteż teroryzowana ludność polska, wyzuta niemal ze wszystkiego, przyjmowała nas jak zbawców - oswobodzicieli czem mogła: kwiatami i sercem otwartem, szczerem i uradowanem. Byłem dumny i szczęśliwy, że brałem udział w tem. Z Delatyna zaraz cofnęli nas (po ugodzie z Rumunami) do Stanisławowa, stamtąd przez Kałusz—Dolinę do Stryja, skąd pociągiem przez Lwów do Krasnego, tam mieliśmy parę dni odpocząć i ruszyć pod Radziwiłłów. I znowu moje marzenie się ziszcza, jeżeli nastąpi ofenzywa, to kierunek jej jest łatwym do odgadnięcia, a wtedy przywitam wszystkich moich najdroższych, obym jednak zapóźno tam nie przyjechał; ostatnie wiadomości są wprost okropne, krew ścina się w żyłach, mózg czaszkę rozsadza: krewni moi dalecy Henryk i Witold Sobańscy zamordowani a p. Hieronim Sobański okrutnie zbity, prawdopodobnie również zamordowany. Mordy i rzezie, gwałty, rabunki i bezprawia, a przytem nędza i głód, oto co dolatuje mnie z Ukrainy. Ruś gwałtu krzyczy, woła o pomoc i ratunek, a przyznaję niestety, że społeczeństwo nasze w Królestwie niedość rozumie i pojmuje grozę położenia; trzeba krzyczeć i otwierać im oczy. Gdyby nie inicjatorska ofenzywa gen. Iwaszkiewicza Galicja Wschodnia do tej pory jęczałaby pod niewolą Ukraińców. Jeżeli teraz takiej samej ofenzywy nie podejmie nikt na Ukrainę, to rząd nasz długie miesiące będzie jeszcze czekał, a my potem zastaniemy tam zgliszcza i trupy, jako ślady, że polskość tutaj istniała, ale Polaków już nie zastaniemy.

z pod Bolechowa, a nasze szwadrony i główne siły dywizji przeszły nazajutrz wprost z Bolechowa do Doliny, (15 wiorst) zajętej przez mój pluton ślicznym okolnym atakiem. Ukraińcy w przeważającej sile umknęli w panicznym strachu, tam uwolniliśmy z 200 jeńców-polaków w opłakanym wprost stanie. W szpicach na wywiadach parę razy byłem na samym przedzie, również w pochodzie do Bolechowa, do Wygody i Doliny. Nie będę opisywał, jak nas ludność polska przyjmowała, bo to zbyt dużo miejsca zajmie, a list mój i tak przydługi jest, wspomnę tylko, że jak mogli najserdeczniej, witano nas jak zbawców, obsypywano kwiatami, a miejscami spotykały nas kobiety i mężczyźni w spazmach i atakach histerycznych, czepiając się szyi końskich, strzemion i kolan, widziałem w Dolinie kobiety płaczące z radości i omdlewające ze wzruszenia i ataków nerwowych. W Nadwórnej spotkaliśmy Rumunów, którzy ku szczęściu ludności polskiej zajęli 12 powiatów (bez Stanisławowa) na parę dni przed naszem przyjściem osłaniając je w ten sposób od rzezi i grabieży. Wyznaczono pluton mój do Delatyna, wzamian Rumuni zostawili 2 kompanie piechoty w Nadwórnej przy naszej dywizji, po drodze i w Delatynie spotykały nas oddziały rumuńskie, obsypywały kwiatami i witały z entuzjazmem i honorami. Okrzykom „Vive la Pologne“ na które myśmy odpowiadali „Niech żyje Rumunia“ końca nie było. Wogóle cały nasz pochód przez Galicję Wschodnią był jakby pochodem triumfalnym, myśmy przynosili ludności polskiej wyzwolenie z pod okrutnego obucha zdziczałych Ukraińców, toteż teroryzowana ludność polska, wyzuta niemal ze wszystkiego, przyjmowała nas jak zbawców - oswobodzicieli czem mogła: kwiatami i sercem otwartem, szczerem i uradowanem. Byłem dumny i szczęśliwy, że brałem udział w tem. Z Delatyna zaraz cofnęli nas (po ugodzie z Rumunami) do Stanisławowa, stamtąd przez Kałusz—Dolinę do Stryja, skąd pociągiem przez Lwów do Krasnego, tam mieliśmy parę dni odpocząć i ruszyć pod Radziwiłłów. I znowu moje marzenie się ziszcza, jeżeli nastąpi ofenzywa, to kierunek jej jest łatwym do odgadnięcia, a wtedy przywitam wszystkich moich najdroższych, obym jednak zapóźno tam nie przyjechał; ostatnie wiadomości są wprost okropne, krew ścina się w żyłach, mózg czaszkę rozsadza: krewni moi dalecy Henryk i Witold Sobańscy zamordowani a p. Hieronim Sobański okrutnie zbity, prawdopodobnie również zamordowany. Mordy i rzezie, gwałty, rabunki i bezprawia, a przytem nędza i głód, oto co dolatuje mnie z Ukrainy. Ruś gwałtu krzyczy, woła o pomoc i ratunek, a przyznaję niestety, że społeczeństwo nasze w Królestwie niedość rozumie i pojmuje grozę położenia; trzeba krzyczeć i otwierać im oczy. Gdyby nie inicjatorska ofenzywa gen. Iwaszkiewicza Galicja Wschodnia do tej pory jęczałaby pod niewolą Ukraińców. Jeżeli teraz takiej samej ofenzywy nie podejmie nikt na Ukrainę, to rząd nasz długie miesiące będzie jeszcze czekał, a my potem zastaniemy tam zgliszcza i trupy, jako ślady, że polskość tutaj istniała, ale Polaków już nie zastaniemy.

Z Krasnego 9-go wyjechałem do Warszawy, częścią w służbowych sprawach, częścią na urlop i dla odpoczynku i umundurowania się. Jadąc i wracając, wstąpiłem do Ludka, który zajęty jest bardzo i przeniósł się z Tarnowa do Brzeska na posadę referenta rolniczego, a do Tarnowa już tylko dojeżdża dla wykończenia pozostałych tutaj spraw.

Dziś wieczorem wyjeżdżam do Lwowa, skąd szukać będę mego szwadronu, bo jeśli pozostał przy III-ej dywizji, to według ostatnich gazet znajduje się nie koło Brodów i Radziwiłłowa, ale pod Tarnopolem i Brzeżanami.

Pochód przez Galicję trwał trzy tygodnie, zobaczymy, co tezaz będziemy robić.

Co do Chyrowiaków: słyszał zapewne W. Ojciec, że Staś Sołtan zginął przy zdobywaniu Białegostoku, zginął mężnie w boju.

W Warszawie spotkałem Jelskiego, służy w 10 ułańskim pułku i świeżo przyjechał był z litewskiego frontu.

W Stryju spotkałem się z Alfredem Birkenmayerem, ale miałem zaledwie parę chwil dla zamiany kilku zdań, przywitania się i pożegnania.

Nie podaję na razie adresu, bo niewiem jeszcze, jak i do której dywizji będziemy przydzieleni.

Wiem z gazetki, jak strasznie Konwikt ucierpiał od działań wojennych, życzę więc serdecznie jaknajrychlejszej naprawy szkód i powrotu do dawnych sił, oby Ojcowie Wielebni we wrześniu mogli Zakład w pełni otworzyć i wychowywać nadal grono półtysięczne naszych młodych polskich dusz i serc, któreby pod światłem Waszem kierownictwem wyrosły na wzór i podporę dla całego gmachu narodu polskiego.

Szczęść Boże Wam w pracy i przedsięwzięciach Waszych, Drodzy i Wielebni Ojcowie.

Polecam się łaskawym i skutecznym modłom Wielebnych Ojców, bo Opieki Matki Najświętszej i Świętego Józefa teraz szczególnie mnie potrzeba.

Zygmunt Sobański.

Z Krasnego 9-go wyjechałem do Warszawy, częścią w służbowych sprawach, częścią na urlop i dla odpoczynku i umundurowania się. Jadąc i wracając, wstąpiłem do Ludka, który zajęty jest bardzo i przeniósł się z Tarnowa do Brzeska na posadę referenta rolniczego, a do Tarnowa już tylko dojeżdża dla wykończenia pozostałych tutaj spraw.

Dziś wieczorem wyjeżdżam do Lwowa, skąd szukać będę mego szwadronu, bo jeśli pozostał przy III-ej dywizji, to według ostatnich gazet znajduje się nie koło Brodów i Radziwiłłowa, ale pod Tarnopolem i Brzeżanami.

Pochód przez Galicję trwał trzy tygodnie, zobaczymy, co tezaz będziemy robić.

Co do Chyrowiaków: słyszał zapewne W. Ojciec, że Staś Sołtan zginął przy zdobywaniu Białegostoku, zginął mężnie w boju.

W Warszawie spotkałem Jelskiego, służy w 10 ułańskim pułku i świeżo przyjechał był z litewskiego frontu.

W Stryju spotkałem się z Alfredem Birkenmayerem, ale miałem zaledwie parę chwil dla zamiany kilku zdań, przywitania się i pożegnania.

Nie podaję na razie adresu, bo niewiem jeszcze, jak i do której dywizji będziemy przydzieleni.

Wiem z gazetki, jak strasznie Konwikt ucierpiał od działań wojennych, życzę więc serdecznie jaknajrychlejszej naprawy szkód i powrotu do dawnych sił, oby Ojcowie Wielebni we wrześniu mogli Zakład w pełni otworzyć i wychowywać nadal grono półtysięczne naszych młodych polskich dusz i serc, któreby pod światłem Waszem kierownictwem wyrosły na wzór i podporę dla całego gmachu narodu polskiego.

Szczęść Boże Wam w pracy i przedsięwzięciach Waszych, Drodzy i Wielebni Ojcowie.

Polecam się łaskawym i skutecznym modłom Wielebnych Ojców, bo Opieki Matki Najświętszej i Świętego Józefa teraz szczególnie mnie potrzeba.

Zygmunt Sobański.

Z WSPOMNIEŃ KOŁOMYJSKICH.

„Albowiem Bóg jest, który sprawuje w was i chcieć i wykonać wedle dobrej woli. A wszystko czyńcie krom szemrania i wahania, abyście byli bez przygany i szczerzy synowie Boży".
(Św. Paweł: Do Fil. II. 13, 14, 15.)

Zaprawdę trzeba było przypomnieć sobie powyższe słowa Apostoła narodów, kiedy 20-go listopada 1918 r. wkroczyli do naszego kolegjum żołnierze ruscy w pełnem uzbrojeniu a nawet z granatami ręcznemi i zażądali: „20 jezuitów i rektora" do komendy miasta. Kiedy trudno było uczynić zadość ich niczem nieuzasadnionemu a podejrzanemu żądaniu, poczęli oficerowie sami zabierać z pokoi, spotkanych na korytarzu, wyciągać uczących z klas i gromadzić na korytarzu pod zegarem do pełnej liczby 21. Pytania wszelkie uspokajano słowami, że to tylko „do komendy miasta" — więc każdy ubrał się tak, jak się wychodzi na przechadzkę w zimie. Po 4-tej wyprowadzono nas z kolegjum i gęsiego pod strażą prowadzono przez Bąkowice do drogi starosolskiej, bo „w mieście mogłaby być zdrada". Po drodze widzieliśmy, jak Zakład otoczony był wojskiem — a z przed oczu usunął się nam karabin maszynowy, skierowany na kaplicę. Myśleliśmy, że popędzą nas piechotą do Sambora, ale skierowano nas do miasta, do toru kolejowego i ustawiono przed stacją obok szyn. Przed nami stał pociąg z dwóch wagonów.

Po chwili kazano nam wsiadać do pierwszego wagonu; teraz posypały się protesty zwłaszcza energiczne OO. Nuckowskiego i Sasa, ale oficer konwojujący w odpowiedzi wskazał wagon, a tylko O. Rektorowi pozwolił pójść na stację do komendy, gdzie powiedziano mu, że to wyższy rozkaz, że potrzebne rzeczy wyślą a konwiktorów rozpuszczą. Posiadaliśmy, jak było można, oficer nas porachował i po 5-tej wagony ruszyły na Sambor, strzeżone przez uzbrojonych żołnierzy. Teraz dopiero mogliśmy snuć smutne refleksje. Wszyscy na wywiezienie nieprzygotowani, niektórzy w lekkich płaszczach, w podartych butach, wszyscy bez rzeczy najniezbędniejszych do codziennego użytku, bez gotówki, — bez brewiarzy — jadą niby na Sambor. W polu robiło się coraz zimniej, wiatr wiał przez wybite szyby, poczęliśmy się coraz szczelniej otulać w ubrania, ogrzewać samymi sobą; dane nam przez oficera świeczki oświeciły tylko zsiniałe twarze. W Samborze oświadczono nam, że jedziemy dalej do Drohobycza. W Drohobyczu dano nam oficerską kolację w poczekalni opróżnionej przez oficera. Gdy smy się ogrzali, zaprowadzono nas do pociągu osobowego i powieziono do Stryja. Tam przyjechaliśmy po północy zziębnięci; umieszczono nas w re-

Z WSPOMNIEŃ KOŁOMYJSKICH.

„Albowiem Bóg jest, który sprawuje w was i chcieć i wykonać wedle dobrej woli. A wszystko czyńcie krom szemrania i wahania, abyście byli bez przygany i szczerzy synowie Boży".
(Św. Paweł: Do Fil. II. 13, 14, 15.)

Zaprawdę trzeba było przypomnieć sobie powyższe słowa Apostoła narodów, kiedy 20-go listopada 1918 r. wkroczyli do naszego kolegjum żołnierze ruscy w pełnem uzbrojeniu a nawet z granatami ręcznemi i zażądali: „20 jezuitów i rektora" do komendy miasta. Kiedy trudno było uczynić zadość ich niczem nieuzasadnionemu a podejrzanemu żądaniu, poczęli oficerowie sami zabierać z pokoi, spotkanych na korytarzu, wyciągać uczących z klas i gromadzić na korytarzu pod zegarem do pełnej liczby 21. Pytania wszelkie uspokajano słowami, że to tylko „do komendy miasta" — więc każdy ubrał się tak, jak się wychodzi na przechadzkę w zimie. Po 4-tej wyprowadzono nas z kolegjum i gęsiego pod strażą prowadzono przez Bąkowice do drogi starosolskiej, bo „w mieście mogłaby być zdrada". Po drodze widzieliśmy, jak Zakład otoczony był wojskiem — a z przed oczu usunął się nam karabin maszynowy, skierowany na kaplicę. Myśleliśmy, że popędzą nas piechotą do Sambora, ale skierowano nas do miasta, do toru kolejowego i ustawiono przed stacją obok szyn. Przed nami stał pociąg z dwóch wagonów.

Po chwili kazano nam wsiadać do pierwszego wagonu; teraz posypały się protesty zwłaszcza energiczne OO. Nuckowskiego i Sasa, ale oficer konwojujący w odpowiedzi wskazał wagon, a tylko O. Rektorowi pozwolił pójść na stację do komendy, gdzie powiedziano mu, że to wyższy rozkaz, że potrzebne rzeczy wyślą a konwiktorów rozpuszczą. Posiadaliśmy, jak było można, oficer nas porachował i po 5-tej wagony ruszyły na Sambor, strzeżone przez uzbrojonych żołnierzy. Teraz dopiero mogliśmy snuć smutne refleksje. Wszyscy na wywiezienie nieprzygotowani, niektórzy w lekkich płaszczach, w podartych butach, wszyscy bez rzeczy najniezbędniejszych do codziennego użytku, bez gotówki, — bez brewiarzy — jadą niby na Sambor. W polu robiło się coraz zimniej, wiatr wiał przez wybite szyby, poczęliśmy się coraz szczelniej otulać w ubrania, ogrzewać samymi sobą; dane nam przez oficera świeczki oświeciły tylko zsiniałe twarze. W Samborze oświadczono nam, że jedziemy dalej do Drohobycza. W Drohobyczu dano nam oficerską kolację w poczekalni opróżnionej przez oficera. Gdy śmy się ogrzali, zaprowadzono nas do pociągu osobowego i powieziono do Stryja. Tam przyjechaliśmy po północy zziębnięci; umieszczono nas w re-

stauracji, gdzie p. Boruch chciał ugościć nas kolacją, ale przyjęliśmy tylko herbatę. Po 2-giej w nocy wyprowadzono nas przed stację i po komendzie: „dwa a dwa w poriadku marsz“ — wiedziono przez miasto do gmachu więzienia obwodowego; tu nas nie przyjęto dla braku pomieszczenia i rozkazu; podobnie nie wiedziano o nas nic w komendzie miasta i nie przyjęto. Z powrotem znaleźliśmy się przed bramą więzienia, gdzie po dłuższych pertraktacjach dozorca przyjął „zziębniętych księży“ na resztę nocy i umieścił na drugiem piętrze, gdzie przedtem była żydowska szkoła; wniesiono ławki, zamknięto drzwi a pod niemi ustawiono straż. Rano wziął nas do sąsiedniego wojskowego więzienia dozorca Łoza, a ponieważ nie miał żadnego rozkazu i nie wiedział, cośmy za jedni, więc zastosował do nas przepisy: odebrał laski i wprowadził do niewielkiego pokoiku.

Po chwili Łoza przyniósł nam po ćwiartce chleba a w wiaderku trochę kawy, do której kilka zakurzonych „szalek“. Lura czarna nie do picia — chleb z mieszaninami. Po 8-mej wszedł audytor Hudnikiewicz — uznał nas za zakładników a po biadaniach na stosunki rusko-polskie, przyobiecał zrobić, co będzie można, uspokoił co do życia — pozwolił na służbę Bożą w kaplicy więziennej. Poszliśmy tam wszyscy, wysłuchaliśmy mszy św. OO. Hoppego i Rejowicza, którzy byli naczczo, a powróciliśmy już do „żydowskiej szkoły“, gdzie zapalono. Wkrótce zjawił się tam ks. kan. Cisło, proboszcz — pocieszył, że już Polacy o nas wiedzą i zaopiekują się; z ofiarną pomocą przyjść był gotowy p. Hubczyc „zawzięty mazur“, którego przodkowie nie szczędzili krwi i mienia dla ojczyzny. Koło 1-szej Panie z komitetu przyniosły nam obiad i podwieczorek; odwiedzili nas ks. kan. Cisło, pp. Hubczyc i prof. Filar — każdy z darami — a ks. Proboszcz nadto ofiarował nam trzy dukaty, ale nie w złocie, tylko w słowach, by nas „Deus perducat, adducat et reducat“; pocieszono nas, że jak tylko komenda pozwoli, to Polacy na noc rozbiorą nas do domów swych, bo nazajutrz mamy jechać do Stanisławowa. Komenda pozwoliła pod warunkiem, że ks. Proboszcz zaręczy, iż nie uciekniemy i rano stawimy się na stacji. Przed 7-mą poszliśmy na plebanję, skąd rozebrano nas do domów. Rano nazajutrz żegnani przez znajomych wsiedliśmy do pociągu stanisławowskiego. Eskortujący nas chorąży i żandarmi musieli kolbami opróżnić wagon z żołnierzy. Wśród mroźnej pogody zajechaliśmy do Stanisławowa; po 12-tej dano nam obiad w restauracji kolejowej; wkrótce przyszedł O. Sup. Piechocki i przyobiecał wszelką możliwą pomoc. O 1-ej wyjechaliśmy do Kołomyji; ta miała być kresem naszej podróży, bo chorąży otrzymał rozkaz odstawienia nas „do Kołomyji, do klasztoru jezuitów“. O 3-ej popołudniu przyjechaliśmy do stolicy Pokucia; szliśmy przez miasto, zwracając uwa-

stauracji, gdzie p. Boruch chciał ugościć nas kolacją, ale przyjęliśmy tylko herbatę. Po 2-giej w nocy wyprowadzono nas przed stację i po komendzie: „dwa a dwa w poriadku marsz" — wiedziono przez miasto do gmachu więzienia obwodowego; tu nas nie przyjęto dla braku pomieszczenia i rozkazu; podobnie nie wiedziano o nas nic w komendzie miasta i nie przyjęto. Z powrotem znaleźliśmy się przed bramą więzienia, gdzie po dłuższych pertraktacjach dozorca przyjął „zziębniętych księży" na resztę nocy i umieścił na drugiem piętrze, gdzie przedtem była żydowska szkoła; wniesiono ławki, zamknięto drzwi a pod niemi ustawiono straż. Rano wziął nas do sąsiedniego wojskowego więzienia dozorca Łoza, a ponieważ nie miał żadnego rozkazu i nie wiedział, cośmy za jedni, więc zastosował do nas przepisy: odebrał laski i wprowadził do niewielkiego pokoiku.

Po chwili Łoza przyniósł nam po ćwiartce chleba a w wiaderku trochę kawy, do której kilka zakurzonych „szalek". Lura czarna nie do picia — chleb z mieszaninami. Po 8-mej wszedł audytor Hudnikiewicz — uznał nas za zakładników a po biadaniach na stosunki rusko-polskie, przyobiecał zrobić, co będzie można, uspokoił co do życia — pozwolił na służbę Bożą w kaplicy więziennej. Poszliśmy tam wszyscy, wysłuchaliśmy mszy św. OO. Hoppego i Rejowicza, którzy byli naczczo, a powróciliśmy już do „żydowskiej szkoły", gdzie zapalono. Wkrótce zjawił się tam ks. kan. Cisło, proboszcz — pocieszył, że już Polacy o nas wiedzą i zaopiekują się; z ofiarną pomocą przyjść był gotowy p. Hubczyc „zawzięty mazur", którego przodkowie nie szczędzili krwi i mienia dla ojczyzny. Koło 1-szej Panie z komitetu przyniosły nam obiad i podwieczorek; odwiedzili nas ks. kan. Cisło, pp. Hubczyc i prof. Filar — każdy z darami — a ks. Proboszcz nadto ofiarował nam trzy dukaty, ale nie w złocie, tylko w słowach, by nas „Deus perducat, adducat et reducat"; pocieszono nas, że jak tylko komenda pozwoli, to Polacy na noc rozbiorą nas do domów swych, bo nazajutrz mamy jechać do Stanisławowa. Komenda pozwoliła pod warunkiem, że ks. Proboszcz zaręczy, iż nie uciekniemy i rano stawimy się na stacji. Przed 7-mą poszliśmy na plebanję, skąd rozebrano nas do domów. Rano nazajutrz żegnani przez znajomych wsiedliśmy do pociągu stanisławowskiego. Eskortujący nas chorąży i żandarmi musieli kolbami opróżnić wagon z żołnierzy. Wśród mroźnej pogody zajechaliśmy do Stanisławowa; po 12-tej dano nam obiad w restauracji kolejowej; wkrótce przyszedł O. Sup. Piechocki i przyobiecał wszelką możliwą pomoc. O 1-ej wyjechaliśmy do Kołomyji; ta miała być kresem naszej podróży, bo chorąży otrzymał rozkaz odstawienia nas „do Kołomyji, do klasztoru jezuitów". O 3-ej popołudniu przyjechaliśmy do stolicy Pokucia; szliśmy przez miasto, zwracając uwa-

gę ludzi, chociaż żandarmi prosili, by iść z nimi, by nie wyglądało to na konwój. Poszliśmy do komendy okrężnej, ale z niej odesłano nas do komendy miasta. Tu umieszczono nas w pokoju żołnierskim, ogrzanym. Po chwili przyszedł O. Nawrocki, przyrzekł starania i pomoc; zjawił się też por. Bazyli Czajkowski, vice-komendant internowanych, pod którego władzą mieliśmy odtąd przestawać. Były projekty umieszczenia nas w szkole bar. Hirscha i w zakładzie SS. Urszulanek w dwóch salach. Przed temi salami ostrzegano, bo zimne, trudne do opalenia, ale p. Czajkowski rozstrzygnął, że u SS. Urszulanek będzie dla nas najodpowiedniej; kazał tam zawieźć sienniki i poduszki wiórami wypchane, a koce wojskowe do przykrycia i przed 8-mą tamże nas zaprowadził. SS. Urszulanki przyjęły nas z prawdziwie Bożą, staropolską, zakonną gościnnością. Byliśmy w domu zakonnym, mieliśmy kaplicę domową Sióstr a rezydencję i kościół naszych nieco poniżej przy tejsamej ulicy; mieszkaliśmy w dwóch salach na 2-giem piętrze — 9-ciu w jednej, 12-tu w drugiej. I poczęły snuć się dni życia naszego, jako zakładników. W życiu tem dadzą się rozróżnić trzy okresy. W pierwszym, gdy była nadzieja, że się wkrótce skończy nasze internowanie, żyliśmy niejako z dnia na dzień. 24-go listopada odwiedzili nas konwiktorzy z Zerygiewiczem na czele, jadący z Chyrowa do domów i opowiedzieli o Zakładzie; 2-go grudnia spisano nasze nazwiska i charakter — pozwolono dalej 6-ciu Ojcom odprawiać mszę św. w naszym kościele, nadal utrzymano zakaz chodzenia po mieście i na przechadzki chyba, że kto chciał chodzić po ogrodzie, bo bano się owacyj. 4-go grudnia O. Rektor zapadł na sześć dni na hiszpankę; SS. Urszulanki dały mu osobny pokój — leczył dr. Jaworski, lekarz szkolny. 8-go grudnia pozwolono O. Hoppemu, swobodnie wyjechać do Czerniowiec, z czego on nazajutrz zaraz skorzystał. 10-go grudnia odwiedził nas p. Skalski ze Słochyń, opowiadał o swem wywiezieniu, drodze i zwiedzaniu więzień.

24-go grudnia por. Czajkowski prosił o jakiegoś księdza, któryby załatwiał potrzeby duchowne internowanych w szkole Hirscha i w barakach na Kosaczowie, gdzie umieszczano setkami internowanych Polaków. Obowiązku tego podjął się O. Rejowicz. Wigilja i święta były podniosłe, choć i smutne, podniosłe dzięki SS. Urszulankom, smutne, bo niepewność losu własnego dręczyła i Chyrowa. 25-go grudnia wystawiono nam przepustki z pozwoleniem na przechadzki po $1^1/_2$ godziny dziennie, oznaczając godziny, wybrane przez nas po dwóch. Dnie schodziły nam na czytaniu książek, których dostarczała nam usłużna M. Stefania z biblioteki urszulańskiej. Odwiedzali nas znajomi jak Rejentowie Giżejowscy, księstwo Puzynowie z Gwoźdźca, księża kapelani Leńko, Sadowski, Chmurowicz. Nadsyłano nam jałmużny i w artykułach; bieliznę częścią zakupił

gę ludzi, chociaż żandarmi prosili, by iść z nimi, by nie wyglądało to na konwój. Poszliśmy do komendy okrężnej, ale z niej odesłano nas do komendy miasta. Tu umieszczono nas w pokoju żołnierskim, ogrzanym. Po chwili przyszedł O. Nawrocki, przyrzekł starania i pomoc; zjawił się też por. Bazyli Czajkowski, vice-komendant internowanych, pod którego władzą mieliśmy odtąd przestawać. Były projekty umieszczenia nas w szkole bar. Hirscha i w zakładzie SS. Urszulanek w dwóch salach. Przed temi salami ostrzegano, bo zimne, trudne do opalenia, ale p. Czajkowski rozstrzygnął, że u SS. Urszulanek będzie dla nas najodpowiedniej; kazał tam zawieźć sienniki i poduszki wiórami wypchane, a koce wojskowe do przykrycia i przed 8-mą tamże nas zaprowadził. SS. Urszulanki przyjęły nas z prawdziwie Bożą, staropolską, zakonną gościnnością. Byliśmy w domu zakonnym, mieliśmy kaplicę domową Sióstr a rezydencję i kościół naszych nieco poniżej przy tejsamej ulicy; mieszkaliśmy w dwóch salach na 2-giem piętrze — 9-ciu w jednej, 12-tu w drugiej. I poczęły snuć się dni życia naszego, jako zakładników. W życiu tem dadzą się rozróżnić trzy okresy. W pierwszym, gdy była nadzieja, że się wkrótce skończy nasze internowanie, żyliśmy niejako z dnia na dzień. 24-go listopada odwiedzili nas konwiktorzy z Zerygiewiczem na czele, jadący z Chyrowa do domów i opowiedzieli o Zakładzie; 2-go grudnia spisano nasze nazwiska i charakter — pozwolono dalej 6-ciu Ojcom odprawiać mszę św. w naszym kościele, nadal utrzymano zakaz chodzenia po mieście i na przechadzki chyba, że kto chciał chodzić po ogrodzie, bo bano się owacyj. 4-go grudnia O. Rektor zapadł na sześć dni na hiszpankę; SS. Urszulanki dały mu osobny pokój — leczył dr. Jaworski, lekarz szkolny. 8-go grudnia pozwolono O. Hoppemu, swobodnie wyjechać do Czerniowiec, z czego on nazajutrz zaraz skorzystał. 10-go grudnia odwiedził nas p. Skalski ze Słochyń, opowiadał o swem wywiezieniu, drodze i zwiedzaniu więzień.

24-go grudnia por. Czajkowski prosił o jakiegoś księdza, któryby załatwiał potrzeby duchowne internowanych w szkole Hirscha i w barakach na Kosaczowie, gdzie umieszczano setkami internowanych Polaków. Obowiązku tego podjął się O. Rejowicz. Wigilja i święta były podniosłe, choć i smutne, podniosłe dzięki SS. Urszulankom, smutne, bo niepewność losu własnego dręczyła i Chyrowa. 25-go grudnia wystawiono nam przepustki z pozwoleniem na przechadzki po 1½ godziny dziennie, oznaczając godziny, wybrane przez nas po dwóch. Dnie schodziły nam na czytaniu książek, których dostarczała nam usłużna M. Stefania z biblioteki urszulańskiej. Odwiedzali nas znajomi jak Rejentowie Giżejowscy, księstwo Puzynowie z Gwoźdźca, księża kapelani Leńko, Sadowski, Chmurowicz. Nadsyłano nam jałmużny i w artykułach; bieliznę częścią zakupił

O. Rektor, przeważną jednak część ofiarowali OO. z Kołomyji i Stanisławowa, SS. Urszulanki, Służebniczki, Szarytki, panie z miasta, a nie brakło dowodów pamięci pod tym względem i od uczennic urszulańskich. Co do żywności wojskowość przysyłała co 10 dni 50 bochenków wojskowego chleba, nieco mąki kukurydzianej, kilka cebuli, kawałek sadła, trochę mięsa np. nogę konia, nieco cukru. SS. Urszulanki żywiły nas czem mogły, naruszyły swoje zapasy, a jakie ich były pod tym względem ofiary, niech świadczy fakt, że gdy chleb wojskowy był niedobry, swego nam odstępowały, a wojskowym same się umartwiały. P. Czajkowski odwiedzał nas nieraz codziennie, liczył wszystkich, wypytywał o potrzeby. Zimno było dokuczliwe, mrozy ostre — o dostateczny opał trudno; musieliśmy cały dzień chodzić w togach. Oświetlenie gazowe najczęściej migotało słabo, drażniło oczy.

15-go stycznia odwiedziła nas misja czerwonego krzyża — a 28-go stycznia polska delegacja ze Lwowa, złożona z Pań: hr. Dzieduszyckiej, Opieńskiej i Dulębianki, z których pierwsza i ostatnia później padły ofiarą tyfusu plamistego; przywiozły nam one pocieszające wiadomości o Lwowie, jego bohaterskiej obronie i jałmużnę od Ks. Arc. Bilczewskiego. 2-go stycznia zamknięto SS. Urszulankom gimnazjum i liceum; gmach miano zabrać na szpital, a nas dać do baraków na Kosaczowie. Ale Matka Generalna Elżbieta Łubieńska wszelkich dołożyła starań, byle jezuitów z domu nie puścić. Potem pozwolono SS. Urszulankom na otwarcie kursów prywatnych po 8 uczennic w klasie, a nam zaproponowano mieszkanie na rezydencji; przenieśli się tam zaraz OO. Mączka, Rejowicz.

8-go marca wniósł O. Rektor podanie do Stanisławowa do ukraińskiego Sekretarjatu spraw zagranicznych, zaopatrzone fotografjami, które zrobił prof. Górka, opisem i rodowodem każdego, o pozwolenie na wyjazd do Krakowa przez Węgry. 10-go marca rozbito w mieście pomnik Kraszewskiego. 12 go marca p. Czajkowski zrobił nam nadzieję wypuszczenia, bo Ks. Bisk. Chomyszyn (rzeczywiście zaś Ks. Metr. Szeptycki) prosił o wypuszczenie księży ze względu na prace wielkopostne. 15-go marca władze ukraińskie kołomyjskie dały SS. Urszulankom do wyboru: albo szpital albo ruskie gimnazjum w ich zakładzie; o nas powiedziano, że wkrótce wyjedziemy. Dyrektor ruskiego gimnazjum wkrótce począł urządzać zajęte sale, skutkiem czego nasze sale okazały się potrzebnemi dla SS. Urszulanek na kursy prywatne, więc zaproponowały nam 5 pokoi i salkę na I. piętrze. Chętnie przenieśliśmy się tam 18-go marca i tem zakończyliśmy drugi okres naszej niewoli.

Opatrzność Boża nadal czuwała nad nami co do pożywienia, ubrania, obuwia. Dręczyły nas najróżnorodniejsze wiadomości o Chyrowie, że rozstrzelany, że na linii bojowej, że jedno skrzydło

O. Rektor, przeważną jednak część ofiarowali OO. z Kołomyji i Stanisławowa, SS. Urszulanki, Służebniczki, Szarytki, panie z miasta, a nie brakło dowodów pamięci pod tym względem i od uczennic urszulańskich. Co do żywności wojskowość przysyłała co 10 dni 50 bochenków wojskowego chleba, nieco mąki kukurydzianej, kilka cebuli, kawałek sadła, trochę mięsa np. nogę konia, nieco cukru. SS. Urszulanki żywiły nas czem mogły, naruszyły swoje zapasy, a jakie ich były pod tym względem ofiary, niech świadczy fakt, że gdy chleb wojskowy był niedobry, swego nam odstępowały, a wojskowym same się umartwiały. P. Czajkowski odwiedzał nas nieraz codziennie, liczył wszystkich, wypytywał o potrzeby. Zimno było dokuczliwe, mrozy ostre — o dostateczny opał trudno; musieliśmy cały dzień chodzić w togach. Oświetlenie gazowe najczęściej migotało słabo, drażniło oczy.

15-go stycznia odwiedziła nas misja czerwonego krzyża — a 28-go stycznia polska delegacja ze Lwowa, złożona z Pań: hr. Dzieduszyckiej, Opieńskiej i Dulębianki, z których pierwsza i ostatnia później padły ofiarą tyfusu plamistego; przywiozły nam one pocieszające wiadomości o Lwowie, jego bohaterskiej obronie i jałmużnę od Ks. Arc. Bilczewskiego. 2-go stycznia zamknięto SS. Urszulankom gimnazjum i liceum; gmach miano zabrać na szpital, a nas dać do baraków na Kosaczowie. Ale Matka Generalna Elżbieta Łubieńska wszelkich dołożyła starań, byle jezuitów z domu nie puścić. Potem pozwolono SS. Urszulankom na otwarcie kursów prywatnych po 8 uczennic w klasie, a nam zaproponowano mieszkanie na rezydencji; przenieśli się tam zaraz OO. Mączka, Rejowicz.

8-go marca wniósł O. Rektor podanie do Stanisławowa do ukraińskiego Sekretarjatu spraw zagranicznych, zaopatrzone fotografjami, które zrobił prof. Górka, opisem i rodowodem każdego, o pozwolenie na wyjazd do Krakowa przez Węgry. 10-go marca rozbito w mieście pomnik Kraszewskiego. 12 go marca p. Czajkowski zrobił nam nadzieję wypuszczenia, bo Ks. Bisk. Chomyszyn (rzeczywiście zaś Ks. Metr. Szeptycki) prosił o wypuszczenie księży ze względu na prace wielkopostne. 15-go marca władze ukraińskie kołomyjskie dały SS. Urszulankom do wyboru: albo szpital albo ruskie gimnazjum w ich zakładzie; o nas powiedziano, że wkrótce wyjedziemy. Dyrektor ruskiego gimnazjum wkrótce począł urządzać zajęte sale, skutkiem czego nasze sale okazały się potrzebnemi dla SS. Urszulanek na kursy prywatne, więc zaproponowały nam 5 pokoi i salkę na I. piętrze. Chętnie przenieśliśmy się tam 18-go marca i tem zakończyliśmy drugi okres naszej niewoli.

Opatrzność Boża nadal czuwała nad nami co do pożywienia, ubrania, obuwia. Dręczyły nas najróżnorodniejsze wiadomości o Chyrowie, że rozstrzelany, że na linii bojowej, że jedno skrzydło

zniszczone — o walkach pod Lwowem, próbach układów polsko-ruskich, ruchach bolszewickich i t. p.

Trzeci okres rozpoczęły imieniny O. Rektora; piękne nabożeństwo uprzyjemniły śpiewem uczennice zakładowe, a wieczorem panny z pensjonatu, wyćwiczone przez Matkę Stanisławę, ich prefektę, urządziły przedstawienie z dwiema sztuczkami. 23-go marca przyszła odmowna odpowiedź na nasze podanie o uwolnienie, natomiast pozwolono nam przenieść się do Stanisławowa w charakterze konfinowanych. Tymczasem przeszliśmy pod władzę starosty dra Stryjskiego, który 27-go marca oświadczył, że wkrótce odeśle nas wprost do Chyrowa; 29-go marca zdjął z nas internowanie a zostawił konfinowanie, dał nam swobodę, możność udzielania lekcji w mieście, chodzenia na przechadzki bez przepustek, na których 15 dni przedtem rozszerzono nam czas przechadzek na godziny 9—5 popołudniu. 30-go marca przysłał O. Sup. Piechocki zaproszenie dla dwóch ojców do Stanisławowa; 2-go kwietnia pojechali tam OO. Kowalski, Mączka. 4-go kwietnia komisja ukraińska chciała zabrać resztę zakładu urszulańskiego dla 600 dzieci ukraińskich, wiezionych z Czech przez Węgry, a nam 5 kwietnia kazano zaraz wyprowadzić się na rezydencję. Matka jednak Generalna Łubieńska i Przełożona Alojza Bizancchini stanowczo oparły się nowemu zamachowi na zakład i tak już zniszczony przez szpitale austrjackie i rosyjskie, a zajęty przez ruskie gimnazjum; pierwsza pojechała z interwencją do Stanisławowa do Sekretarjatu, skutkiem czego dzieci wprawdzie nie umieszczono, ale 9-go kwietnia przysłało starostwo surowy nakaz zamknięcia kursów, zakaz widywania się zakonnic z uczennicami, bo „narażone są na niemoralny wpływ i są wychowywane w nienawiści do ukraińskiej republiki". Tymczasem poczęły chodzić pogłoski o wypuszczeniu internowanych, których los zwłaszcza w barakach kosaczowskich był opłakany; leżeli jeden obok drugiego na gołych deskach, w brudzie, wśród robactwa; ubranie z nich oblatywało, w czasie wielkich mrozów nie spali, by nie zamarznąć, ledwo utrzymywani przy życiu mimo wysiłków komitetu Pań; marli nieraz po kilku dziennie na tyfus brzuszny, plamisty, czerwonkę, zarażali się jedni od drugich. Próby wysłania ich części rozbiły się jednak o zerwanie układów polsko-ruskich. 16-go kwietnia otrzymaliśmy przez szwajcarską misję Czerwonego Krzyża listy od naszych z Krakowa i Chyrowa, które wiadomościami swemi nas pocieszyły. Przed Wielkanocą XX. dali serje rekolekcyj i tak: O. Rejowicz dla panów. O. Kapaun pomagał przy rekolekcjach ludowych, O. Witkowski dał nauki dla uczennic z niższego gimnazjum. W wielkim tygodniu odbyły się ceremonj w kaplicy urszulańskiej. Spowiedzią internowanych zajęli się OO. Rejowicz, Kapaun, Czarnota, Witkowski, Sowa. O. Witkowski stale zajął się szpitalem jeńców. Święta

zniszczone — o walkach pod Lwowem, próbach układów polsko-ruskich, ruchach bolszewickich i t. p.

Trzeci okres rozpoczęły imieniny O. Rektora; piękne nabożeństwo uprzyjemniły śpiewem uczennice zakładowe, a wieczorem panny z pensjonatu, wyćwiczone przez Matkę Stanisławę, ich prefektę, urządziły przedstawienie z dwiema sztuczkami. 23-go marca przyszła odmowna odpowiedź na nasze podanie o uwolnienie, natomiast pozwolono nam przenieść się do Stanisławowa w charakterze konfinowanych. Tymczasem przeszliśmy pod władzę starosty dra Stryjskiego, który 27-go marca oświadczył, że wkrótce odeśle nas wprost do Chyrowa; 29-go marca zdjął z nas internowanie a zostawił konfinowanie, dał nam swobodę, możność udzielania lekcji w mieście, chodzenia na przechadzki bez przepustek, na których 15 dni przedtem rozszerzono nam czas przechadzek na godziny 9—5 popołudniu. 30-go marca przysłał O. Sup. Piechocki zaproszenie dla dwóch ojców do Stanisławowa; 2-go kwietnia pojechali tam OO. Kowalski, Mączka. 4-go kwietnia komisja ukraińska chciała zabrać resztę zakładu urszulańskiego dla 600 dzieci ukraińskich, wiezionych z Czech przez Węgry, a nam 5 kwietnia kazano zaraz wyprowadzić się na rezydencję. Matka jednak Generalna Łubieńska i Przełożona Alojza Bizancchini stanowczo oparły się nowemu zamachowi na zakład i tak już zniszczony przez szpitale austrjackie i rosyjskie, a zajęty przez ruskie gimnazjum; pierwsza pojechała z interwencją do Stanisławowa do Sekretarjatu, skutkiem czego dzieci wprawdzie nie umieszczono, ale 9-go kwietnia przysłało starostwo surowy nakaz zamknięcia kursów, zakaz widywania się zakonnic z uczennicami, bo „narażone są na niemoralny wpływ i są wychowywane w nienawiści do ukraińskiej republiki". Tymczasem poczęły chodzić pogłoski o wypuszczeniu internowanych, których los zwłaszcza w barakach kosaczowskich był opłakany; leżeli jeden obok drugiego na gołych deskach, w brudzie, wśród robactwa; ubranie z nich oblatywało, w czasie wielkich mrozów nie spali, by nie zamarznąć, ledwo utrzymywani przy życiu mimo wysiłków komitetu Pań; marli nieraz po kilku dziennie na tyfus brzuszny, plamisty, czerwonkę, zarażali się jedni od drugich. Próby wysłania ich części rozbiły się jednak o zerwanie układów polsko-ruskich. 16-go kwietnia otrzymaliśmy przez szwajcarską misję Czerwonego Krzyża listy od naszych z Krakowa i Chyrowa, które wiadomościami swemi nas pocieszyły. Przed Wielkanocą XX. dali serje rekolekcyj i tak: O. Rejowicz dla panów. O. Kapaun pomagał przy rekolekcjach ludowych, O. Witkowski dał nauki dla uczennic z niższego gimnazjum. W wielkim tygodniu odbyły się ceremonj. w kaplicy urszulańskiej. Spowiedzią internowanych zajęli się OO. Rejowicz, Kapaun, Czarnota, Witkowski, Sowa. O. Witkowski stale zajął się szpitalem jeńców. Święta

wielkanocne nadal stwierdziły opiekę Bożej Opatrzności nad nami, kiedy nadesłano nam wiele darów z miasta. 23-go kwietnia rozeszła się pogłoska o niepowodzeniach ukraińców pod Lwowem, skutkiem czego zamknięto lokale publiczne od 8-ej wiecz. do 7-ej rano; zakazano internowanym wychodzić na miasto a wskutek braku aprowizacji nakazano post w środy i soboty. Nam poczęło grozić widmo wysłania na Kosaczów lub do Żabiego; wogóle Żabie, Kossów, Dolina, Kopyczyńce, Tarnopol, Buczacz, Kijów często dawały się słyszeć jako miejsca dalszej niewoli.

2-go maja przysłał O. Sup. Piechocki znowu zaproszenia dla dwu Ojców do Stanisławowa na pracę. W tym dniu krążył nad miastem aeroplan rumuński i rozrzucał odezwy o postępach armji rumuńskiej na Węgrzech. 4-go maja odbył się wiec ruski w Kołomyji, gdzie uchwalono walkę z Polakami do ostatniej kropli krwi. 9-go maja pożegnaliśmy serdecznie Matkę Urszulę Bazali, która ochotnie i z poświęceniem usługiwała nam przez cały czas do stołu a wesołością budowała; wyjechała z Polkami do Sambora, gdzie mieli je ukraińcy przepuścić przez front. 10-go maja wyjechał O. Witkowski do Stanisławowa a władze ukraińskie przedłużyły termin podpisania deklaracji do 20-go maja. 12-go maja przyszedł list od O. Sup. Lipskiego z Czerniowiec z wiadomością, że O. Hoppe przyjedzie z drugim transportem niemieckich poddanych z Rumunji, ale nie przyjechał. Tymczasem przyszła wieść o rozpoczętej ofenzywie polskiej od Chyrowa — każdy dzień przynosił wiadomości o szybkich jej postępach — coraz to bliższe miejscowości wymieniano a 19-go maja szukano już pomieszczenia w mieście dla Sekretarjatu ze Stanisławowa; w zakładzie urszulańskim jednoroczniacy tęskno śpiewali: „Poliaki nastupajut — do boju". 22-go maja poczęło się usuwać ruskie gimnazjum z zakładu; znikły mapy ławki wyniesiono na dziedziniec, w salach miał być szpital; ruch kolejowy do Stanisławowa wstrzymano, a w mieście rozlepiono ukaz komendanta okrężnego Prymaka, grożący karą śmierci np. za wszelki opór władzy, przystawanie gromadne na ulicy, gromadzenie się po domach. 23-go maja przyszła znowu komisja do zakładu i chciała go zabrać na szpital ruski, dla wewnętrznie chorych; o nas powiedziała, że „kto wie, co z nami będzie". Rzeczywiście kto wie, coby z nami było, bo ukraińcy, jak mówiono, mieli wywieźć na wschód wszystkich księży z Kołomyji prócz jubilata ks. Prałata Pawłowskiego, ale Opatrzność Boża pokrzyżowała ich zamiary i zesłała dzień wyzwolenia 24-go maja.

Już w nocy z dnia 23-go na 24-go ciągnęły po mieście treny i wojska od Stanisławowa. Rano około 5-ej godziny ukazał się nad miastem aeroplan rumuński, który rozrzucił odezwy, że armja rumuńska musi zająć kolej: Śniatyn—Kołomyja—Delatyn—Marmarosz

wielkanocne nadal stwierdziły opiekę Bożej Opatrzności nad nami, kiedy nadesłano nam wiele darów z miasta. 23-go kwietnia rozeszła się pogłoska o niepowodzeniach ukraińców pod Lwowem, skutkiem czego zamknięto lokale publiczne od 8-ej wiecz. do 7-ej rano; zakazano internowanym wychodzić na miasto a wskutek braku aprowizacji nakazano post w środy i soboty. Nam poczęło grozić widmo wysłania na Kosaczów lub do Żabiego; wogóle Żabie, Kossów, Dolina, Kopyczyńce, Tarnopol, Buczacz, Kijów często dawały się słyszeć jako miejsca dalszej niewoli.

2-go maja przysłał O. Sup. Piechocki znowu zaproszenia dla dwu Ojców do Stanisławowa na pracę. W tym dniu krążył nad miastem aeroplan rumuński i rozrzucał odezwy o postępach armji rumuńskiej na Węgrzech. 4-go maja odbył się wiec ruski w Kołomyji, gdzie uchwalono walkę z Polakami do ostatniej kropli krwi. 9-go maja pożegnaliśmy serdecznie Matkę Urszulę Bazali, która ochotnie i z poświęceniem usługiwała nam przez cały czas do stołu a wesołością budowała; wyjechała z Polkami do Sambora, gdzie mieli je ukraińcy przepuścić przez front. 10-go maja wyjechał O. Witkowski do Stanisławowa a władze ukraińskie przedłużyły termin podpisania deklaracji do 20-go maja. 12-go maja przyszedł list od O. Sup. Lipskiego z Czerniowiec z wiadomością, że O. Hoppe przyjedzie z drugim transportem niemieckich poddanych z Rumunji, ale nie przyjechał. Tymczasem przyszła wieść o rozpoczętej ofenzywie polskiej od Chyrowa — każdy dzień przynosił wiadomości o szybkich jej postępach — coraz to bliższe miejscowości wymieniano a 19-go maja szukano już pomieszczenia w mieście dla Sekretarjatu ze Stanisławowa; w zakładzie urszulańskim jednoroczniacy tęskno śpiewali: „Poliaki nastupajut — do boju". 22-go maja poczęło się usuwać ruskie gimnazjum z zakładu; znikły mapy ławki wyniesiono na dziedziniec, w salach miał być szpital; ruch kolejowy do Stanisławowa wstrzymano, a w mieście rozlepiono ukaz komendanta okrężnego Prymaka, grożący karą śmierci np. za wszelki opór władzy, przystawanie gromadne na ulicy, gromadzenie się po domach. 23-go maja przyszła znowu komisja do zakładu i chciała go zabrać na szpital ruski, dla wewnętrznie chorych; o nas powiedziała, że „kto wie, co z nami będzie". Rzeczywiście kto wie, coby z nami było, bo ukraińcy, jak mówiono, mieli wywieźć na wschód wszystkich księży z Kołomyji prócz jubilata ks. Prałata Pawłowskiego, ale Opatrzność Boża pokrzyżowała ich zamiary i zesłała dzień wyzwolenia 24-go maja.

Już w nocy z dnia 23-go na 24-go ciągnęły po mieście treny i wojska od Stanisławowa. Rano około 5-ej godziny ukazał się nad miastem aeroplan rumuński, który rozrzucił odezwy, że armja rumuńska musi zająć kolej: Śniatyn—Kołomyja—Delatyn—Marmarosz

Sziget, że wszelkie narodowości będą miały zapewniony rozwój pod względem religijnym, narodowym i społecznym a ład i porządek będzie zaprowadzony. Popod oknami naszemi poczęło ciągnąć wojsko ukraińskie, treny; koło 10-ej rozległy się strzały w południowo-wschodniej stronie miasta, powstała panika między ukraińcami, kazali zamykać okna, poczęli uciekać. Przez ogród np. SS. Służebniczek i Urszulanek uciekał oddział żołnierzy przez dziurę w parkanie, przez którą nie mógł się zmieścić koń oficerski, więc został; po ulicach stały karabiny maszynowe, ale nie grzechotały, bo silniejszą była pobudka: „wtikajte". O 11-tej miasto było w rękach Polaków, którzy za sprawą prof. Śliwy uprzedzili Rumunów, przestraszyli strzałami Rusinów i wprawili w popłoch. P. Czajkowski, aprowizator miasta chciał uciec, ale przytrzymano go i internowano, zbiegł jednak nazajutrz; skutkiem tego p. Prymaka osadzono w więzieniu. Polacy zorganizowali milicję miejską, objęli urzędy, rozesłali patrole w okolice miasta; wypuszczeni z baraków Kosaczowiacy budzili powszechną litość i wywoływali oburzenie swą chudością, zieloną cerą, podobieństwem do chodzących trupów. Tymczasem jednak ani Polacy od Stanisławowa ani Rumuni od Zabłotowa nie nadchodzili; noce z 24-go na 25-y i z 25-go na 26-y maja były krytyczne. Dopiero 26-go maja nad ranem przyszli Rumuni; zrazu ich nie poznano, wywiązała się utarczka, szczęściem bez szkody w ludziach. Wprowadzeni do miasta oświadczyli, że przychodzą zrobić porządek z bolszewikami w porozumieniu z rządem polskim i ententą, objęli żandarmerję a milicję polską po kilku dniach rozzbroili; schwytanych rabusiów pieczętowali na ręce i zapowiadali, że po powtórnem schwytaniu pójdą bez sądu na śmierć. Jednem z pierwszych żądań Polaków było odesłanie internowanych do Polski, co Rumuni przyrzekli. 29-go maja urządził O. Rektor uroczyste nabożeństwo dziękczynne za wyzwolenie i o szczęśliwy powrót do Chyrowa. Tego dnia odszedł pierwszy pociąg z internowanymi legjonistami do Stanisławowa, który mieli już zająć Polacy. Pierwszy większy pociąg z internowanymi zdolnymi do podróży miał pójść w sobotę 30-go maja — na liście umieszczono i nas. Teraz nadzieje wyjazdu stały się rzeczywistemi. Poczęliśmy odnosić książki, pożyczone nam przedmioty, żegnać życzliwych. 30-go maja wieczorem na pożegnalnej kolacji O. Rektor dziękował za życzliwe, prawdziwie zakonne przyjęcie, opiekę, przytułek taki, żeśmy mogli i prowadzić regularne życie zakonne a młodsi mogli dalej prowadzić swe studja. Tak zakończyliśmy ostatni okres naszego pobytu w Kołomyji, 189-ty dzień poza Chyrowem. Praca naszych Ojców w tym czasie dalej się rozszerzała — ojcowie uczyli na kursach uczennic urszulańskich i tak O. Rektor matematyki i fizyki, O. Nuckowski przy końcu nie miał już godzin wolnych, tak był rozrywany, O. Sas uczył historji.

Sziget, że wszelkie narodowości będą miały zapewniony rozwój pod względem religijnym, narodowym i społecznym a ład i porządek będzie zaprowadzony. Popod oknami naszemi poczęło ciągnąć wojsko ukraińskie, treny; koło 10-ej rozległy się strzały w południowo-wschodniej stronie miasta, powstała panika między ukraińcami, kazali zamykać okna, poczęli uciekać. Przez ogród np. SS. Służebniczek i Urszulanek uciekał oddział żołnierzy przez dziurę w parkanie, przez którą nie mógł się zmieścić koń oficerski, więc został; po ulicach stały karabiny maszynowe, ale nie grzechotały, bo silniejszą była pobudka: „wtikajte". O 11-tej miasto było w rękach Polaków, którzy za sprawą prof. Śliwy uprzedzili Rumunów, przestraszyli strzałami Rusinów i wprawili w popłoch. P. Czajkowski, aprowizator miasta chciał uciec, ale przytrzymano go i internowano, zbiegł jednak nazajutrz; skutkiem tego p. Prymaka osadzono w więzieniu. Polacy zorganizowali milicję miejską, objęli urzędy, rozesłali patrole w okolice miasta; wypuszczeni z baraków Kosaczowiacy budzili powszechną litość i wywoływali oburzenie swą chudością, zieloną cerą, podobieństwem do chodzących trupów. Tymczasem jednak ani Polacy od Stanisławowa ani Rumuni od Zabłotowa nie nadchodzili; noce z 24-go na 25-y i z 25-go na 26-y maja były krytyczne. Dopiero 26-go maja nad ranem przyszli Rumuni; zrazu ich nie poznano, wywiązała się utarczka, szczęściem bez szkody w ludziach. Wprowadzeni do miasta oświadczyli, że przychodzą zrobić porządek z bolszewikami w porozumieniu z rządem polskim i ententą, objęli żandarmerję a milicję polską po kilku dniach rozzbroili; schwytanych rabusiów pieczętowali na ręce i zapowiadali, że po powtórnem schwytaniu pójdą bez sądu na śmierć. Jednem z pierwszych żądań Polaków było odesłanie internowanych do Polski, co Rumuni przyrzekli. 29-go maja urządził O. Rektor uroczyste nabożeństwo dziękczynne za wyzwolenie i o szczęśliwy powrót do Chyrowa. Tego dnia odszedł pierwszy pociąg z internowanymi legjonistami do Stanisławowa, który mieli już zająć Polacy. Pierwszy większy pociąg z internowanymi zdolnymi do podróży miał pójść w sobotę 30-go maja — na liście umieszczono i nas. Teraz nadzieje wyjazdu stały się rzeczywistemi. Poczęliśmy odnosić książki, pożyczone nam przedmioty, żegnać życzliwych. 30-go maja wieczorem na pożegnalnej kolacji O. Rektor dziękował za życzliwe, prawdziwie zakonne przyjęcie, opiekę, przytułek taki, żeśmy mogli i prowadzić regularne życie zakonne a młodsi mogli dalej prowadzić swe studja. Tak zakończyliśmy ostatni okres naszego pobytu w Kołomyji, 189-ty dzień poza Chyrowem. Praca naszych Ojców w tym czasie dalej się rozszerzała — ojcowie uczyli na kursach uczennic urszulańskich i tak O. Rektor matematyki i fizyki, O. Nuckowski przy końcu nie miał już godzin wolnych, tak był rozrywany, O. Sas uczył historji.

O. Pykosz łaciny — O. Kapaun łaciny — O. Czarnota również tego przedmiotu — wszyscy w poszczególnych klasach. OO. Rejowicz i Kapaun wygłosili część kazań majowych w naszym kościele; O. Kapaun zajmował się również obsługą szpitala dla jeńców po O. Witkowskim.

31 maja był to dzień założycielki SS. Urszulanek św. Anieli; uroczystą mszę św. odprawił O. Nuckowski z asystą. Po spakowaniu rzeczy zobaczyliśmy, że wracać musieliśmy, z pakietami, których przyjeżdżając nie mieliśmy. Po pożegnalnym obiedzie, pożegnaniu z SS. Urszulankami i naszymi OO. po 1-ej w południe ruszyliśmy na dworzec, gdzie już stał pociąg na przeszło 500 internowanych. Otrzymaliśmy osobny wagon, przestronno nam było; żegnali nas: p. Giżejowska nasza szczególniejsza wspomożycielka z synem, ks. kan. Wójcik, p. Jaworska i uczennice kursów. Po mowach komitetu polskiego, podnoszących bohaterstwo Kosaczowiaków — po 6-ej ruszył pociąg, żegnany okrzykami stojących wzdłuż toru Polaków, uwożąc 650 internowanych na zachód. Z okien wagonu oglądnęliśmy baraki Kosaczowa czarne, ponure, posępne, które mogły być dla wielu z nas przyczyną śmierci. Wieczorem maszyna opalana drzewem dowlokła nas do Otynji, gdzie przesiedliśmy się na pociąg polski, który przywiózł nas do Stanisławowa około 11-ej w nocy, lał deszcz. Na stacji powiedziano nam, że na Stryj pociągi pójdą może i za dwa tygodnie, bo mosty zerwane, a na Lwów idą regularnie z Halicza; z Jezupola do Halicza trzeba iść piechotą. Wśród deszczu poszliśmy do naszych na rezydencję, gdzie gościnnie nas przyjęto. Nazajutrz wzięliśmy udział w uroczystem nabożeństwie dziękczynnem za uwolnienie miasta, które odprawił O. Stopa z asystą naszych, a kazanie okolicznościowe wygłosił O. Sup. Piechocki. Byli obecni dwaj generałowie polscy, główny Aleksandrowicz, oddział żołnierzy polskich i mnóstwo publiczności. W mieście pełno było wojska polskiego — żołnierze przeważnie młodzi, dzielni, w dziarskiej postawie, wesołych minach, z zapałem w oczach. Pokazały się i armaty lżejsze i cięższe, dalekonośne, składane. Nazajutrz rano pojechaliśmy do Jezupola, stąd piechotą ruszyliśmy do Dniestru, przeprawiliśmy się przez most kolejowy, w środku załamany, a potem czekało nas 14 km. do Halicza. Po drodze spotkaliśmy konwiktora Jeske-Choińskiego, który pod Lwowem dostał się do niewoli; schorowany wracał do Warszawy. Ciepło nam było — mówiono, że to tylko 7—8 km. a tymczasem było ich 14; nic też dziwnego, że niektórzy ledwo doszli, a wszyscy zadowoleni z końca. Przed czwartą popołudniu wsiedliśmy do wagonu z szybami, z siedzeniami I-ej klasy; na stacji oglądaliśmy wsławiony bohaterskiemi wypadami pociąg pancerny „Smok“, rzeczywiście jak smok grożący armatniemi lufami, z przyjemnością zobaczyliśmy wagony z orłem

O. Pykosz łaciny — O. Kapaun łaciny — O. Czarnota również tego przedmiotu — wszyscy w poszczególnych klasach. OO. Rejowicz i Kapaun wygłosili część kazań majowych w naszym kościele; O. Kapaun zajmował się również obsługą szpitala dla jeńców po O. Witkowskim.

31 maja był to dzień założycielki SS. Urszulanek św. Anieli; uroczystą mszę św. odprawił O. Nuckowski z asystą. Po spakowaniu rzeczy zobaczyliśmy, że wracać musieliśmy, z pakietami, których przyjeżdżając nie mieliśmy. Po pożegnalnym obiedzie, pożegnaniu z SS. Urszulankami i naszymi OO. po 1-ej w południe ruszyliśmy na dworzec, gdzie już stał pociąg na przeszło 500 internowanych. Otrzymaliśmy osobny wagon, przestronno nam było; żegnali nas: p. Giżejowska nasza szczególniejsza wspomożycielka z synem, ks. kan. Wójcik, p. Jaworska i uczennice kursów. Po mowach komitetu polskiego, podnoszących bohaterstwo Kosaczowiaków — po 6-ej ruszył pociąg, żegnany okrzykami stojących wzdłuż toru Polaków, uwożąc 650 internowanych na zachód. Z okien wagonu oglądnęliśmy baraki Kosaczowa czarne, ponure, posępne, które mogły być dla wielu z nas przyczyną śmierci. Wieczorem maszyna opalana drzewem dowlokła nas do Otynji, gdzie przesiedliśmy się na pociąg polski, który przywiózł nas do Stanisławowa około 11-ej w nocy, lał deszcz. Na stacji powiedziano nam, że na Stryj pociągi pójdą może i za dwa tygodnie, bo mosty zerwane, a na Lwów idą regularnie z Halicza; z Jezupola do Halicza trzeba iść piechotą. Wśród deszczu poszliśmy do naszych na rezydencję, gdzie gościnnie nas przyjęto. Nazajutrz wzięliśmy udział w uroczystem nabożeństwie dziękczynnem za uwolnienie miasta, które odprawił O. Stopa z asystą naszych, a kazanie okolicznościowe wygłosił O. Sup. Piechocki. Byli obecni dwaj generałowie polscy, główny Aleksandrowicz, oddział żołnierzy polskich i mnóstwo publiczności. W mieście pełno było wojska polskiego — żołnierze przeważnie młodzi, dzielni, w dziarskiej postawie, wesołych minach, z zapałem w oczach. Pokazały się i armaty lżejsze i cięższe, dalekonośne, składane. Nazajutrz rano pojechaliśmy do Jezupola, stąd piechotą ruszyliśmy do Dniestru, przeprawiliśmy się przez most kolejowy, w środku załamany, a potem czekało nas 14 km. do Halicza. Po drodze spotkaliśmy konwiktora Jeske-Choińskiego, który pod Lwowem dostał się do niewoli; schorowany wracał do Warszawy. Ciepło nam było — mówiono, że to tylko 7—8 km. a tymczasem było ich 14; nic też dziwnego, że niektórzy ledwo doszli, a wszyscy zadowoleni z końca. Przed czwartą popołudniu wsiedliśmy do wagonu z szybami, z siedzeniami I-ej klasy; na stacji oglądaliśmy wsławiony bohaterskiemi wypadami pociąg pancerny „Smok“, rzeczywiście jak smok grożący armatniemi lufami, z przyjemnością zobaczyliśmy wagony z orłem

polskim i literami P. K. P. O 4·15 ruszyliśmy na Lwów; pociąg jadący normalnie przywiózł nas do Lwowa o 10·15 w nocy; ponieważ do Przemyśla można było jechać dopiero o 7·45 rano, przeto poszliśmy na nocleg do Domu rekolekcyjnego. Dnia 3-go czerwca rano udaliśmy się wśród deszczu na dworzec; przyjechał O. Sup. Sopuch, uspokoił co do Konwiktu, że go da się odnowić; o 8·30 odjechaliśmy do Przemyśla; tu na stacji spotkaliśmy P. Tchorznickiego z Nadyb. Komendant dworca, Jul. Styfi telefonicznie zawiadomił Chyrów o naszym przyjeździe, gdzie przybyliśmy na kolację.

Tak minął 195-ty dzień naszej nieobecności w Chyrowie i wspomnienia dni tych mogą tylko budzić podziękę dla Opatrzności Bożej słowami św. Pawła (II. Kor. I. 3. 10): „Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec miłosierdzia a Bóg wszystkiej pociechy... który z tak wielkich niebezpieczeństw wyrwał nas i wyrywa, w którym nadzieję mamy, iż też jeszcze wyrwie".

Ks. Bł. Blajer T. J.



polskim i literami P. K. P. O 4·15 ruszyliśmy na Lwów; pociąg jadący normalnie przywiózł nas do Lwowa o 10·15 w nocy; ponieważ do Przemyśla można było jechać dopiero o 7·45 rano, przeto poszliśmy na nocleg do Domu rekolekcyjnego. Dnia 3-go czerwca rano udaliśmy się wśród deszczu na dworzec; przyjechał O. Sup. Sopuch, uspokoił co do Konwiktu, że go da się odnowić; o 8·30 odjechaliśmy do Przemyśla; tu na stacji spotkaliśmy P. Tchorznickiego z Nadyb. Komendant dworca, Jul. Styfi telefonicznie zawiadomił Chyrów o naszym przyjeździe, gdzie przybyliśmy na kolację.

Tak minął 195-ty dzień naszej nieobecności w Chyrowie i wspomnienia dni tych mogą tylko budzić podziękę dla Opatrzności Bożej słowami św. Pawła (II. Kor. I. 3. 10): „Błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ojciec miłosierdzia a Bóg wszystkiej pociechy... który z tak wielkich niebezpieczeństw wyrwał nas i wyrywa, w którym nadzieję mamy, iż też jeszcze wyrwie“.

Ks. Bł. Blajer T. J.



PAMIĘCI ZMARŁYCH.

Z wielkim bólem serca bierzemy pióro do ręki, aby przypomnieć Kolegom zmarłych przyjaciół i towarzyszy od ławy szkolnej, z pod sztandaru Maryi, czy Związku Chyrowiaków. A lista powołanych przez Boga na Jego sąd w ciągu ostatniego roku w stosunku do lat poprzednich bardzo długa; jednych epidemja, innych przemęczenie wojenne, a innych kula lub bagnet wroga przyprawiły o śmierć i wyrwały z łona drogiej rodziny, z pola pracy w chwili zmartwychwstania Ojczyzny, a wszystkich w kwiecie wieku, w pełni sił i nadziei.

Choć jeszcze nie o wszystkich zebraliśmy szczegóły, tyczące się ostatnich chwil ich życia i okoliczności śmierci, zwłaszcza poległych na wojnie, jednak miłość nakazuje nie odkładać, lecz prędzej te smutne wieści podać, aby Koledzy w modlitwach swych przed Bogiem o nich pamiętali.

Poległym i zmarłym Kolegom za ich ofiarną i wierną służbę Bogu i Ojczyźnie cześć! Niech przez miłosierdzie Boże odpoczywają w pokoju wiecznym.

Ś. p. **Antoni Wiwulski.**

W czerwcu 1910 r., w 68. zeszycie naszego pisemka z okazji odkrycia grunwaldzkiego pomnika w Krakowie, umieściliśmy o naszym Koledze artyście-rzeźbiarzu Antonim Wiwulskim obszerniejszy artykuł, gdzie były podane dokładniejsze daty i szczegóły z jego życia tak w Chyrowie, jak w Wiedniu i w Paryżu. Umieściliśmy też wiadomości, tyczące się rozwoju jego artystycznych zdolności, poznania się z Paderewskim, oraz budowy kościoła N. Serca P. Jezusa, jako o drugiem jego największem dziele.

W styczniu bieżącego roku wszystkie niemal dzienniki polskie zamieściły pośmiertne wspomnienia, że w Wilnie d. 10. stycznia zmarł jako żołnierz w obronie Wilna wielkich zdolności artysta — o czem obszerniej pisał w „Kurjerze Warszawskim" p. Piątkowski. Związek Chyrowiaków d. 7. lutego urządził w Krakowie, któremu w udziale przypadło chlubić się jego dziełem, nabożeństwo żałobne za śp. naszego drogiego i gorliwego Sodalisa Marji. Za duszę swego kochanego Kolegi Mszę św. odprawił X. M. Kuznowicz, a mowę żałobną wygłosił X. Prowincjał Haduch.

Obecnie pozostaje nam jeszcze dodać garść szczegółów z ostatnich lat oraz chwil życia ś. p. Antoniego.

PAMIĘCI ZMARŁYCH.

Z wielkim bólem serca bierzemy pióro do ręki, aby przypomnieć Kolegom zmarłych przyjaciół i towarzyszy od ławy szkolnej, z pod sztandaru Maryi, czy Związku Chyrowiaków. A lista powołanych przez Boga na Jego sąd w ciągu ostatniego roku w stosunku do lat poprzednich bardzo długa; jednych epidemja, innych przemęczenie wojenne, a innych kula lub bagnet wroga przyprawiły o śmierć i wyrwały z łona drogiej rodziny, z pola pracy w chwili zmartwychwstania Ojczyzny, a wszystkich w kwiecie wieku, w pełni sił i nadziei.

Choć jeszcze nie o wszystkich zebraliśmy szczegóły, tyczące się ostatnich chwil ich życia i okoliczności śmierci, zwłaszcza poległych na wojnie, jednak miłość nakazuje nie odkładać, lecz prędzej te smutne wieści podać, aby Koledzy w modlitwach swych przed Bogiem o nich pamiętali.

Poległym i zmarłym Kolegom za ich ofiarną i wierną służbę Bogu i Ojczyźnie cześć! Niech przez miłosierdzie Boże odpoczywają w pokoju wiecznym.

Ś. p. **Antoni Wiwulski.**

W czerwcu 1910 r., w 68. zeszycie naszego pisemka z okazji odkrycia grunwaldzkiego pomnika w Krakowie, umieściliśmy o naszym Koledze artyście-rzeźbiarzu Antonim Wiwulskim obszerniejszy artykuł, gdzie były podane dokładniejsze daty i szczegóły z jego życia tak w Chyrowie, jak w Wiedniu i w Paryżu. Umieściliśmy też wiadomości, tyczące się rozwoju jego artystycznych zdolności, poznania się z Paderewskim, oraz budowy kościoła N. Serca P. Jezusa, jako o drugiem jego największem dziele.

W styczniu bieżącego roku wszystkie niemal dzienniki polskie zamieściły pośmiertne wspomnienia, że w Wilnie d. 10. stycznia zmarł jako żołnierz w obronie Wilna wielkich zdolności artysta — o czem obszerniej pisał w „Kurjerze Warszawskim“ p. Piątkowski. Związek Chyrowiaków d. 7. lutego urządził w Krakowie, któremu w udziale przypadło chlubić się jego dziełem, nabożeństwo żałobne za śp. naszego drogiego i gorliwego Sodalisa Marji. Za duszę swego kochanego Kolegi Mszę św. odprawił X. M. Kuznowicz, a mowę żałobną wygłosił X. Prowincjał Haduch.

Obecnie pozostaje nam jeszcze dodać garść szczegółów z ostatnich lat oraz chwil życia ś. p. Antoniego.

Po grunwaldzkim jubileuszu był jeszcze jakiś czas Wiwulski zajęty w Paryżu, pilnując odlewów metalowych, któremi zastąpiono gipsowe osoby grunwaldzkiego pomnika. Gipsową figurę chłopa przeznaczył dla Chyrowa; przyszła ona nawet do Konwiktu, ale pozostawała jeszcze w pace na jednem z boisk, gdy tymczasem przyszła inwazja rosyjska. Moskale wielką pakę rozbili, biorąc drzewo na opał, a statuę zupełnie pogruchotali, i w ten sposób zostaliśmy pozbawieni tak cennej pamiątki po naszym artyście. Wiwulski następnie przeniósł się do Wilna, gdzie w latach bezpośrednio przed wojną ale także i podczas był zapracowany przy budowie kościoła Serca P. Jezusa. Z naszych księży mieli sposobność odwiedzić go w Wilnie OO. Rudnicki i Rostworowski w jego pracowni tuż obok wznoszącej się wspaniałej świątyni. W ostatnich czasach mnóstwo drobnych rzeźb, a zwłaszcza biustów nabywali i wywozili oficerzy do Niemiec.

Szczegóły choroby i śmierci podajemy z listu p. M., uprzejmie nam nadesłanego:

„Gdy Antolek chorował, byliśmy od Kowna, gdzie mieszkała jego matka odcięci; w Wilnie byli bolszewicy a w Kownie Niemcy, więc wszelka komunikacja była przerwana. Przed odejściem Niemców stworzyła się w Wilnie polska samoobrona i Antolek zaraz wszedł do niej. Perswadowałam mu, że zdrowie jego jest słabe, że nie ma prawa wstępować, gdyż rozpoczął stawiać kościół, a kto go skończy? Odpowiedział mi: „Jeśli Bóg mnie uzna za godnego, to nie zginę, a jeśli znajdzie się godniejszy, to na cóż mam życie oszczędzać“. Zdrowia był słabego, a ciepłe odzienie porozdawał legionistom biedniejszym; na posterunku wskutek tego przeziębił się, dostał zapalenia płuc, dziesiątego dnia Bogu ducha oddał. Odwiedziłam go i oczy mu sama zamknęłam. — Umarł w piątek, trzy godziny był w agonji, a skonał w godzinie skonu Chrystusa. Więcej niż od roku codzień się komunikował. Na śmierć go przygotowywał X. Lubieniec. Był w agonji, gdy ksiądz zaczął odmawiać modlitwy przedśmiertne, głowy poruszyć nie mógł, ale oczy zwrócił na księdza, gdy ten wyrzekł: „Trójco Najświętsza przyjmij mą duszę“, — westchnął cicho i czysta dusza uleciała do Boga. Ksiądz płakał przygotowując go na śmierć. Otaczający tak płakali, jakby do ich rodziny najbliższej należał. U artysty takiego znaleziono w kieszeni kawałek czarnego chleba, różaniec i 20 kop. całego majątku, a w kieszonce na sercu obrazek Serca P. Jezusa. Uważają go w Wilnie za świętego. — Była to dusza jasna i czysta; wszędzie ze sobą wnosił pogodę i wesołość. Biedna matka ledwie po kilku tygodniach dowiedziała się o śmierci syna z gazet litewskich. Pochowano go w kościele Serca Jezusowego, którego skończyć Bóg mu nie pozwolił“.

W czasie świąt wielkanocnych przybyła do Krakowa młodzież gimnazjalne z Wilna a z nią prof. Cywiński, z którym miałem sposobność rozmawiać i na zapytanie o Wiwulskiego, odpowiedział mi krótko,

Po grunwaldzkim jubileuszu był jeszcze jakiś czas Wiwulski zajęty w Paryżu, pilnując odlewów metalowych, któremi zastąpiono gipsowe osoby grunwaldzkiego pomnika. Gipsową figurę chłopa przeznaczył dla Chyrowa; przyszła ona nawet do Konwiktu, ale pozostawała jeszcze w pace na jednem z boisk, gdy tymczasem przyszła inwazja rosyjska. Moskale wielką pakę rozbili, biorąc drzewo na opał. a statuę zupełnie pogruchotali, i w ten sposób zostaliśmy pozbawieni tak cennej pamiątki po naszym artyście. Wiwulski następnie przeniósł się do Wilna, gdzie w latach bezpośrednio przed wojną ale także i podczas był zapracowany przy budowie kościoła Serca P. Jezusa. Z naszych księży mieli sposobność odwiedzić go w Wilnie OO. Rudnicki i Rostworowski w jego pracowni tuż obok wznoszącej się wspaniałej świątyni. W ostatnich czasach mnóstwo drobnych rzeźb, a zwłaszcza biustów nabywali i wywozili oficerzy do Niemiec.

Szczegóły choroby i śmierci podajemy z listu p. M., uprzejmie nam nadesłanego:

„Gdy Antolek chorował, byliśmy od Kowna, gdzie mieszkała jego matka odcięci; w Wilnie byli bolszewicy a w Kownie Niemcy, więc wszelka komunikacja była przerwana. Przed odejściem Niemców stworzyła się w Wilnie polska samoobrona i Antolek zaraz wszedł do niej. Perswadowałam mu, że zdrowie jego jest słabe, że nie ma prawa wstępować, gdyż rozpoczął stawiać kościół, a kto go skończy? Odpowiedział mi: „Jeśli Bóg mnie uzna za godnego, to nie zginę, a jeśli znajdzie się godniejszy, to na cóż mam życie oszczędzać“. Zdrowia był słabego, a ciepłe odzienie porozdawał legionistom biedniejszym; na posterunku wskutek tego przeziębił się, dostał zapalenia płuc, dziesiątego dnia Bogu ducha oddał. Odwiedziłam go i oczy mu sama zamknęłam. — Umarł w piątek, trzy godziny był w agonji, a skonał w godzinie skonu Chrystusa. Więcej niż od roku codzień się komunikował. Na śmierć go przygotowywał X. Lubieniec. Był w agonji, gdy ksiądz zaczął odmawiać modlitwy przedśmiertne, głowy poruszyć nie mógł, ale oczy zwrócił na księdza, gdy ten wyrzekł: „Trójco Najświętsza przyjmij mą duszę“, — westchnął cicho i czysta dusza uleciała do Boga. Ksiądz płakał przygotowując go na śmierć. Otaczający tak płakali, jakby do ich rodziny najbliższej należał. U artysty takiego znaleziono w kieszeni kawałek czarnego chleba, różaniec i 20 kop. całego majątku, a w kieszonce na sercu obrazek Serca P. Jezusa. Uważają go w Wilnie za świętego. — Była to dusza jasna i czysta; wszędzie ze sobą wnosił pogodę i wesołość. Biedna matka ledwie po kilku tygodniach dowiedziała się o śmierci syna z gazet litewskich. Pochowano go w kościele Serca Jezusowego, którego skończyć Bóg mu nie pozwolił“.

W czasie świąt wielkanocnych przybyła do Krakowa młodzież gimnazjalne z Wilna a z nią prof. Cywiński, z którym miałem sposobność rozmawiać i na zapytanie o Wiwulskiego, odpowiedział mi krótko,

że żył i umarł jako święty, i że za takiego jest tam uważany. Pominąwszy to wyrażenie może niezbyt ścisłe, to w każdym razie jakże takie świadectwo o ś. p. Antonim musi być pocieszające wobec tak przedwczesnej śmierci.

Umieścimy w następnym zeszycie wizerunek ś. p. Wiwulskiego, wzięty z fotografji, przysłanej nam przez W. z czasu pobytu na wiedeńskiej technice: trzyma on swą pracę płaskorzeźbę p. t. I-sza Komunia św. Dwa podobne rysunki jego przechowuje nasza sala rysunkowa.

Dodajemy tu słowa p. Adama Grzymały Siedleckiego, umieszczone w 6-tym numerze „Tygodnika ilustrowanego“:

„Twórca pomnika grunwaldzkiego nie żyje... Zginął jako żołnierz polski. Bronił stolicy swojej dzielnicowej Wilna przed najściem bolszewickich hord. Na pierwszą wieść o organizowaniu się wojska polskiego, porzucił artystyczną pracę budowania kościoła. Zaciągnął się w szeregi. Z dawna trawiony chorobą piersiową, nie przetrzymał lutych mrozów, wśród których wypadła mu służba z bronią w ręku. — Po powrocie z jednej z wart na wysuniętej placówce zapadł na zapalenie płuc. Umarł.

Poszło w zaświaty znowu jedno młode życie, wydarte boleśnie z księgi twórczości polskiej. Rzeźbiarz i architekt, a w budownictwie i rzeźbie poeta, a poezję trudów swych rozumiejący, jako nieustanny dzwon chwałę imienia polskiego głoszący, zapalny, górny, szlachetny, ludzki, żywotny i tyle jeszcze sztuce ojczystej obiecujący, padł u proga powstającej Rzeczypospolitej, jej dobrowolny niewolnik, ponad sławę swoją, ponad ukochanie wizji swych, mający sobie za dług ten elementarny, najprostszy nakaz: bronić ojczyzny w chwilach niebezpieczeństwa.

Ktoby śmiał człowiekowi tej miary co Wiwulski czynić cień zarzutu, gdyby w tygodniach ostatnich, kiedy nawała nadciągała na Litwę, nie wiedział jakby o niebezpieczeństwie, gdyby sprawę obrony Wilna zostawił innym, młodszym, nie tak niezbędnym sztuce, jak on? gdyby w wichurze zdarzeń kończył dalej zbożną pracę stawiania świątyni? albo i wręcz opuścił miasto, jak to czyniło tylu innych? Nikomu w głowie nie postałoby zastanawiać się nad tem, tak zrozumiałą, tak naturalną byłoby to rzeczą. A jednak ten człowiek, stworzony do najbardziej szczytnych zadań, uważa w godzinie grozy, że ponad wszystko, co jest osobiste, staje przed Polakiem jedna tylko jedyna powinność: oddać siebie Oczyźnie.

Bolesna, nieukojona jest strata Wiwulskiego, zwłaszcza dla tych, którzy go znali bliżej i z osobowości jego niezwykłej wysnuwali nadzieję, czem jeszcze dla sztuki polskiej a może i światowej może być ten duch bujny a kwietny. Ale ponad boleść i żałość wybija się przecie jakaś radość braterska i duma, że życie to, które znało tylko piękność i idealizm, zakończyło się akordem takiego wzniosłego dźwięku.

Imię Wiwulskiego, jego twórczość, jego sny artystyczne, pomysły, plany, i zamiary — wreszcie śmierć jego rycerska — nie powinny prze-

że żył i umarł jako święty, i że za takiego jest tam uważany. Pominąwszy to wyrażenie może niezbyt ścisłe, to w każdym razie jakże takie świadectwo o ś. p. Antonim musi być pocieszające wobec tak przedwczesnej śmierci.

Umieścimy w następnym zeszycie wizerunek ś. p. Wiwulskiego, wzięty z fotografji, przysłanej nam przez W. z czasu pobytu na wiedeńskiej technice: trzyma on swą pracę płaskorzeźbę p. t. I-sza Komunia św. Dwa podobne rysunki jego przechowuje nasza sala rysunkowa.

Dodajemy tu słowa p. Adama Grzymały Siedleckiego, umieszczone w 6-tym numerze „Tygodnika ilustrowanego“:

„Twórca pomnika grunwaldzkiego nie żyje... Zginął jako żołnierz polski. Bronił stolicy swojej dzielnicowej Wilna przed najściem bolszewickich hord. Na pierwszą wieść o organizowaniu się wojska polskiego, porzucił artystyczną pracę budowania kościoła. Zaciągnął się w szeregi. Z dawna trawiony chorobą piersiową, nie przetrzymał lutych mrozów, wśród których wypadła mu służba z bronią w ręku. — Po powrocie z jednej z wart na wysuniętej placówce zapadł na zapalenie płuc. Umarł.

Poszło w zaświaty znowu jedno młode życie, wydarte boleśnie z księgi twórczości polskiej. Rzeźbiarz i architekt, a w budownictwie i rzeźbie poeta, a poezję trudów swych rozumiejący, jako nieustanny dzwon chwałę imienia polskiego głoszący, zapalny, górny, szlachetny, ludzki, żywotny i tyle jeszcze sztuce ojczystej obiecujący, padł u proga powstającej Rzeczypospolitej, jej dobrowolny niewolnik, ponad sławę swoją, ponad ukochanie wizji swych, mający sobie za dług ten elementarny, najprostszy nakaz: bronić ojczyzny w chwilach niebezpieczeństwa.

Ktoby śmiał człowiekowi tej miary co Wiwulski czynić cień zarzutu, gdyby w tygodniach ostatnich, kiedy nawała nadciągała na Litwę, nie wiedział jakby o niebezpieczeństwie, gdyby sprawę obrony Wilna zostawił innym, młodszym, nie tak niezbędnym sztuce, jak on? gdyby w wichurze zdarzeń kończył dalej zbożną pracę stawiania świątyni? albo i wręcz opuścił miasto, jak to czyniło tylu innych? Nikomu w głowie nie postałoby zastanawiać się nad tem, tak zrozumiałą, tak naturalną byłoby to rzeczą. A jednak ten człowiek, stworzony do najbardziej szczytnych zadań, uważa w godzinie grozy, że ponad wszystko, co jest osobiste, staje przed Polakiem jedna tylko jedyna powinność: oddać siebie Oczyźnie.

Bolesna, nieukojona jest strata Wiwulskiego, zwłaszcza dla tych, którzy go znali bliżej i z osobowości jego niezwykłej wysnuwali nadzieję, czem jeszcze dla sztuki polskiej a może i światowej może być ten duch bujny a kwietny. Ale ponad boleść i żałość wybija się przecie jakaś radość braterska i duma, że życie to, które znało tylko piękność i idealizm, zakończyło się akordem takiego wzniosłego dźwięku.

Imię Wiwulskiego, jego twórczość, jego sny artystyczne, pomysły, plany, i zamiary — wreszcie śmierć jego rycerska — nie powinny prze-

minąć bez echa. W życiu i śmierci jego było coś więcej, niż zwykła biografja artysty.

Jeżeli polskość na Litwie i wierność wobec Unji, streszczającą się w tej polskości, uprzytomniamy sobie jako ton kościuszkowski, ton mickiewiczowski w dziejach ducha naszego, to życie i śmierć Wiwulskiego stanęło godnie na linji tego tonu. Urodzony na Litwie z rodu drobnoszlacheckiego, w tradycji domowej znajduje od kołyski cichy, zamknięty w domostwach, a wytrwały patrjotyzm. Ileż tysięcy, ileż setek tysięcy takich domostw polskich przechowywała Litwa, pod dachami dworów, pod strzechami zaścianków, w chatach, w kamienicach miejskich, uparcie a zniczowo wierząc, że Bóg i Polska przetrwają Murawiewów. Ojczyzna szła w dusze pokoleń w piosnce, w legendzie, w tajemnym elementarzu, w głuchych szeptanych opowieściach o dziadach, zbrojnych w polską szablę; szła w umownych tajemniczych spojrzeniach, w przyciszeniach głosu, w relikwijnej powadze serc, gdy człowiek przechodzi koło miejsc uświęconych bohaterstwem i męczeństwem Litwinów, w niemem wskazywaniu sobie kamieni, które nie przestawały mówić: „tu!“, tutaj odbyła się zbrodnia ich, a świętość nasza.

Oto atmosfera, w której wyrastała dusza Wiwulskiego. Mistycyzm polskości ją karmił, a szczytny upór litewski dodawał sił. W chłopcu odezwało się wołanie artystyczne. W Wiedniu kończy politechnikę ze stopniem architekta. Wtedy wypracowywa się w nim swoiste dążenie, by architekturę uczynić czemś, coby było wyolbrzymioną rzeźbą, by każda budowla, którą artysta stawia, wyrastała z idei rzeźbiarskiej, by przeto była podniesionym do potęgi gmachu, — monumentem. Nie chcę sądzić, o ile sama idea jest słuszna, czy mylna — i nie o to na razie idzie. Chcę tylko przypomnieć, że ta idea prowadzi Wiwulskiego na drogę studjów rzeźbiarskich w Paryżu. Tu w czcigodnym domu Władysławostwa Mickiewiczów poznaje młodego artystę-zapaleńca Ignacy Paderewski, zajęty już wówczas myślą postawienia pomnika grunwaldzkiego w Krakowie. Jest rzeczą pewną, że młody twórca wżył się wszystkiemi ścięgnami duszy w zamiar *narodowy* Paderewskiego. Jeśli technice jego rzeźbiarskiej niedostawało jeszcze należytej wprawy, to przez niedociągnięcia i przywary sztuki przebiła się przecie ognistość uczucia, żar Litwina, chcącego uczcić wielkość Polski. W tem, co było celem narodowym — stanęli obok siebie zgodni duchem, sercem i patrjotyzmem: fundator z wykonawcą.

Pomnik grunwaldzki w Krakowie był pierwszym czynem Wiwulskiego. Wszyscy rozumieli, że teraz dopiero rozpocznie się jego mężnienie artystyczne, bo lata dojrzałości stały jeszcze przed nim. Nie doczekał ich. W chwilach nowego Potopu, jaki na nas idzie — a który zwycięsko przetrzymamy, dusza artysty usłyszała na nowo kołyskowe pieśni, któremi go duch polski usypiał do snów w Ojczyźnie. Zbiegły się w gorącem sercu jego wszystkie legendy, wszystkie głuche szepty po-

minąć bez echa. W życiu i śmierci jego było coś więcej, niż zwykła biografja artysty.

Jeżeli polskość na Litwie i wierność wobec Unji, streszczającą się w tej polskości, uprzytomniamy sobie jako ton kościuszkowski, ton mickiewiczowski w dziejach ducha naszego, to życie i śmierć Wiwulskiego stanęło godnie na linji tego tonu. Urodzony na Litwie z rodu drobnoszlacheckiego, w tradycji domowej znajduje od kołyski cichy, zamknięty w domostwach, a wytrwały patrjotyzm. Ileż tysięcy, ileż setek tysięcy takich domostw polskich przechowywała Litwa, pod dachami dworów, pod strzechami zaścianków, w chatach, w kamienicach miejskich, uparcie a zniczowo wierząc, że Bóg i Polska przetrwają Murawiewów. Ojczyzna szła w dusze pokoleń w piosnce, w legendzie, w tajemnym elementarzu, w głuchych szeptanych opowieściach o dziadach, zbrojnych w polską szablę; szła w umownych tajemniczych spojrzeniach, w przyciszeniach głosu, w relikwijnej powadze serc, gdy człowiek przechodzi koło miejsc uświęconych bohaterstwem i męczeństwem Litwinów, w niemem wskazywaniu sobie kamieni, które nie przestawały mówić: „tu!", tutaj odbyła się zbrodnia ich, a świętość nasza.

Oto atmosfera, w której wyrastała dusza Wiwulskiego. Mistycyzm polskości ją karmił, a szczytny upór litewski dodawał sił. W chłopcu odezwało się wołanie artystyczne. W Wiedniu kończy politechnikę ze stopniem architekta. Wtedy wypracowywa się w nim swoiste dążenie, by architekturę uczynić czemś, coby było wyolbrzymioną rzeźbą, by każda budowla, którą artysta stawia, wyrastała z idei rzeźbiarskiej, by przeto była podniesionym do potęgi gmachu, — monumentem. Nie chcę sądzić, o ile sama idea jest słuszna, czy mylna — i nie o to na razie idzie. Chcę tylko przypomnieć, że ta idea prowadzi Wiwulskiego na drogę studjów rzeźbiarskich w Paryżu. Tu w czcigodnym domu Władysławostwa Mickiewiczów poznaje młodego artystę-zapaleńca Ignacy Paderewski, zajęty już wówczas myślą postawienia pomnika grunwaldzkiego w Krakowie. Jest rzeczą pewną, że młody twórca wżył się wszystkiemi ścięgnami duszy w zamiar *narodowy* Paderewskiego. Jeśli technice jego rzeźbiarskiej niedostawało jeszcze należytej wprawy, to przez niedociągnięcia i przywary sztuki przebiła się przecie ognistość uczucia, żar Litwina, chcącego uczcić wielkość Polski. W tem, co było celem narodowym — stanęli obok siebie zgodni duchem, sercem i patrjotyzmem: fundator z wykonawcą.

Pomnik grunwaldzki w Krakowie był pierwszym czynem Wiwulskiego. Wszyscy rozumieli, że teraz dopiero rozpocznie się jego mężnienie artystyczne, bo lata dojrzałości stały jeszcze przed nim. Nie doczekał ich. W chwilach nowego Potopu, jaki na nas idzie — a który zwycięsko przetrzymamy, dusza artysty usłyszała na nowo kołyskowe pieśni, któremi go duch polski usypiał do snów w Ojczyźnie. Zbiegły się w gorącem sercu jego wszystkie legendy, wszystkie głuche szepty po-

koleń, cała tradycja mickiewiczowska i kościuszkowska, tętniąca w Litwinach — i zerwał się. Od wszystkiego na świecie stała mu się droższa sława munduru polskiej armji. Stanął i zginął — stanął i zginął, bo tak wszyscyśmy powinni. Stanął i zginął, bo polskość Litwy tego od niego zażądala. Dał życie, by bronić miasta, kraju, Ojczyzny. Dał życie, życie, by ci, którzy z ziemi jego wyjdą kiedyś, takiem samem wołaniem artysty obdarzeni, pracowali już bez sznura niewoli na szyji. Zginął, by żyć mogli ci, co po nas przyjdą. To jest pomnik, który sobie wystawił twórca grunwaldzkiego pomnika".

Ś. p. Dr. Ludwik Schaitter.

Urodził się w Krakowie w r. 1887; poświęcił się na sodalisa w Chyrowie d. 8. grudnia 1902, maturę zdał w r. 1907. Prawa ze stopniem doktora ukończył w Krakowie, poczem oddał się służbie w sądownictwie. Stosunki rodzinne wymagały, aby objął w Rzeszowie po rodzicach handel, więc tam też osiadł. Jako obywatel miasta, kupiec i assesor sądu handlowego cieszył się zasłużoną powagą i prawością charakteru. Umarł w Rzeszowie wskutek hiszpanki dnia 18. października 1918.

Ś. p. Stanisław Bromilski.

Lwowianin ur. w r. 1897, kształcił się w Chyrowie, w latach 1902—1906, w r. 1903, d. 8. grudnia został sodalisem, a nabożeństwo ku Marji cechowało dalsze jego życie. Jako kupiec we Lwowie brał czynny udział w zawodowych stowarzyszeniach. W ostatnim liście donosił, że wygląda chwili, kiedy będzie mógł swego synka odwieźć do Chyrowa. Umarł we Lwowie dnia 25 października 1918 wskutek hiszpanki.

Ś. p. Dr. Wiktor Kamieński.

Ur. w Starem Siole w r. 1893, całe gimnazjum ukończył w Chyrowie, sodalisem został w r. 1910, a maturę zdał w r. 1911. Prawa studjował we Lwowie, studja handlowe odbywał we Francji. Walczył następnie blisko dwa lata na włoskim froncie, skąd powrócił do Lwowa, gdzie niebawem wstąpił do polskiego wojska lecz na krótko, gdyż już d. 5 listopada jako podporucznik poległ śmiercią bohaterską, pochowany na cmentarzyku Techniki. Dopiero dnia 14. maja 1919 odbyło się przeniesienie zwłok do grobowca familijnego na cmentarzu Łyczakowskim. Młodszy brat Wiktora Karol, legjonista i również Chyrowiak, umarł w r. 1917.

Ś. p. Witołd Wolaniecki.

Tego samego dnia 5 listopada również w obronie Lwowa zginął

koleń, cała tradycja mickiewiczowska i kościuszkowska, tętniąca w Litwinach — i zerwał się. Od wszystkiego na świecie stała mu się droższa sława munduru polskiej armji. Stanął i zginął — stanął i zginął, bo tak wszyscyśmy powinni. Stanął i zginął, bo polskość Litwy tego od niego zażądala. Dał życie, by bronić miasta, kraju, Ojczyzny. Dał życie, życie, by ci, którzy z ziemi jego wyjdą kiedyś, takiem samem wołaniem artysty obdarzeni, pracowali już bez sznura niewoli na szyji. Zginął, by żyć mogli ci, co po nas przyjdą. To jest pomnik, który sobie wystawił twórca grunwaldzkiego pomnika".

Ś. p. Dr. Ludwik Schaitter.

Urodził się w Krakowie w r. 1887; poświęcił się na sodalisa w Chyrowie d. 8. grudnia 1902, maturę zdał w r. 1907. Prawa ze stopniem doktora ukończył w Krakowie, poczem oddał się służbie w sądownictwie. Stosunki rodzinne wymagały, aby objął w Rzeszowie po rodzicach handel, więc tam też osiadł. Jako obywatel miasta, kupiec i assesor sądu handlowego cieszył się zasłużoną powagą i prawością charakteru. Umarł w Rzeszowie wskutek hiszpanki dnia 18. października 1918.

Ś. p. Stanisław Bromilski.

Lwowianin ur. w r. 1897, kształcił się w Chyrowie, w latach 1902—1906, w r. 1903, d. 8. grudnia został sodalisem, a nabożeństwo ku Marji cechowało dalsze jego życie. Jako kupiec we Lwowie brał czynny udział w zawodowych stowarzyszeniach. W ostatnim liście donosił, że wygląda chwili, kiedy będzie mógł swego synka odwieźć do Chyrowa. Umarł we Lwowie dnia 25 października 1918 wskutek hiszpanki.

Ś. p. Dr. Wiktor Kamieński.

Ur. w Starem Siole w r. 1893, całe gimnazjum ukończył w Chyrowie, sodalisem został w r. 1910, a maturę zdał w r. 1911. Prawa studjował we Lwowie, studja handlowe odbywał we Francji. Walczył następnie blisko dwa lata na włoskim froncie, skąd powrócił do Lwowa, gdzie niebawem wstąpił do polskiego wojska lecz na krótko, gdyż już d. 5 listopada jako podporucznik poległ śmiercią bohaterską, pochowany na cmentarzyku Techniki. Dopiero dnia 14. maja 1919 odbyło się przeniesienie zwłok do grobowca familijnego na cmentarzu Łyczakowskim. Młodszy brat Wiktora Karol, legjonista i również Chyrowiak umarł w r. 1917.

Ś. p. Witołd Wolaniecki.

Tego samego dnia 5 listopada również w obronie Lwowa zginął

na stokach Cytadeli młodszy Chyrowiak i sodalis W. Wolaniecki. Lwowianin ur. w r. 1899, maturę zdał w r. 1918, poczem zapisał się na politechnikę we Lwowie, gdzie po kilku miesiącach pod jej murami został pochowany. D. 15. kwietnia 1919 ciało młodego bohatera zostało przeniesione na cmentarz Łyczakowski.

Ś. p. **Teodor Rojek T. J.**

Urodził się 10. listopada w Zbarażu 1898, nauki gimnazjalne rozpoczął w N. Sączu, gdzie też był gorliwym członkiem Sodal. M. Do nowicjatu Tow. Jez. w Starejwsi wstąpił w r. 1913. W Chyrowie rozpoczął właśnie klasę VIII, gdy w Konwikcie wybuchła hiszpanka. Sale chorymi konwiktorami były przepełnione, więc ś. p. Rojek podjął się doglądania i pielęgnowania chorych z całą ochotą i poświęceniem. Niebawem jednak sam zachorował; przez pewien czas krył się ze swoją słabością, aż wreszcie z przemęczenia zemdlał. Wywiązało się silne zapalenie płuc, które po kilku dniach spowodowało śmierć.

W chorobie wyraził się raz, że mu nieco żal umierać, gdyż pragnąłby pracować dla zmartwychwstałej Ojczyzny, ale znów krótko przed śmiercią rzekł: „nie spodziewałem się, że tak słodko i miło będzie umierać". W naukach a również do rysunków miał wybitne zdolności. Życie zakończył d. 13 listopada 1918 r. W czasie pogrzebu przy trumnie na cmentarzu pożegnał przemową zmarłego kolegę Józef Zerygiewicz.

Ś. p. **Kazimierz Tchorznicki.**

Ur. w Pohorylcach w r. 1880, syn bliskiego sąsiada Chyrowa p. Władysława z Nadyb, całe gimnazjum i maturę w r. 1899 ukończył w Chyrowie. Studja agronomiczne odbył we Wrocławiu, a po praktyce rolniczej objął rodzinne majątki w powiecie Przemyślańskim Pohorylce i Stanimierz. W r. 1915 ożenił się z p. Teresą hr. Potocką z Rymanowa. W grudniu u. r. zachorował na hiszpankę; inwazja ruska i rewizje oraz brak lekarskiej opieki wywołały zapalenie mózgu, które spowodowały śmierć d. 21. grudnia. Pochowany został w Stanimierzu. Osierocił żonę i małego synka.

Ś. p. **Lech Gluziński.**

Syn profesora uniwersytetu lwowskiego ur. w Krakowie w r. 1894, maturę zdał w Chyrowie w r. 1912. Jako słuchacz medycyny ze Lwowa często Konwikt odwiedzał i gorliwym był sodalisem Marji. Jako prezes czytelni akademickiej we Lwowie w r. 1915/6 znany był w szerszych kołach akademickich. W listopadzie u. r. stanął wraz z innymi do obrony Lwowa, gdzie jako podpor. sanitarny został odznaczony krzyżem obrony Lwowa. Wzięty do niewoli na Bednarówce o g. 12-tej w nocy

na stokach Cytadeli młodszy Chyrowiak i sodalis W. Wolaniecki. Lwowianin ur. w r. 1899, maturę zdał w r. 1918, poczem zapisał się na politechnikę we Lwowie, gdzie po kilku miesiącach pod jej murami został pochowany. D. 15. kwietnia 1919 ciało młodego bohatera zostało przeniesione na cmentarz Łyczakowski.

Ś. p. **Teodor Rojek T. J.**

Urodził się 10. listopada w Zbarażu 1898, nauki gimnazjalne rozpoczął w N. Sączu, gdzie też był gorliwym członkiem Sodal. M. Do nowicjatu Tow. Jez. w Starejwsi wstąpił w r. 1913. W Chyrowie rozpoczął właśnie klasę VIII, gdy w Konwikcie wybuchła hiszpanka. Sale chorymi konwiktorami były przepełnione, więc ś. p. Rojek podjął się doglądania i pielęgnowania chorych z całą ochotą i poświęceniem. Niebawem jednak sam zachorował; przez pewien czas krył się ze swoją słabością, aż wreszcie z przemęczenia zemdlał. Wywiązało się silne zapalenie płuc, które po kilku dniach spowodowało śmierć.

W chorobie wyraził się raz, że mu nieco żal umierać, gdyż pragnąłby pracować dla zmartwychwstałej Ojczyzny, ale znów krótko przed śmiercią rzekł: „nie spodziewałem się, że tak słodko i miło będzie umierać". W naukach a również do rysunków miał wybitne zdolności. Życie zakończył d. 13 listopada 1918 r. W czasie pogrzebu przy trumnie na cmentarzu pożegnał przemową zmarłego kolegę Józef Zerygiewicz.

Ś. p. **Kazimierz Tchorznicki.**

Ur. w Pohorylcach w r. 1880, syn bliskiego sąsiada Chyrowa p. Władysława z Nadyb, całe gimnazjum i maturę w r. 1899 ukończył w Chyrowie. Studja agronomiczne odbył we Wrocławiu, a po praktyce rolniczej objął rodzinne majątki w powiecie Przemyślańskim Pohorylce i Stanimierz. W r. 1915 ożenił się z p. Teresą hr. Potocką z Rymanowa. W grudniu u. r. zachorował na hiszpankę; inwazja ruska i rewizje oraz brak lekarskiej opieki wywołały zapalenie mózgu, które spowodowały śmierć d. 21. grudnia. Pochowany został w Stanimierzu. Osierocił żonę i małego synka.

Ś. p. **Lech Gluziński.**

Syn profesora uniwersytetu lwowskiego ur. w Krakowie w r. 1894, maturę zdał w Chyrowie w r. 1912. Jako słuchacz medycyny ze Lwowa często Konwikt odwiedzał i gorliwym był sodalisem Marji. Jako prezes czytelni akademickiej we Lwowie w r. 1915/6 znany był w szerszych kołach akademickich. W listopadzie u. r. stanął wraz z innymi do obrony Lwowa, gdzie jako podpor. sanitarny został odznaczony krzyżem obrony Lwowa. Wzięty do niewoli na Bednarówce o g. 12-tej w nocy

w d. 28. grudnia przy opatrywaniu rannych, został zamordowany wraz z 9-ma jeńcami w lesie Dawidowskim.

Tak w Konwikcie jak i na Uniwersytecie cieszył się ś. p. Kolega Lech wielką miłością swych kolegów, a jeden z nich takie w Kurjerze Lwowskim skreślił o nim wspomnienie:

Śp. Lech Gluziński zginął zamordowany przez Ukraińców w 24 roku życia. Poszedł na ochotnika na zagrożoną placówkę, choć nosił w kieszeni urlop, który otrzymał celem dokończenia rozpoczętego egzaminu lekarskiego. Wzięty do niewoli przy opatrywaniu rannych padł ofiarą nieludzkich instynktów żołdactwa hajdamackiego, a tą ofiarą krwi — tak dziś w Polsce powszednią — przypieczętował swoją służbę sprawie.

On to podjął był się ciężkiej pracy odnowienia życia młodzieży lwowskiej, kiedy po inwazji rosyjskiej na polecenie młodzieży narodowej wziął na siebie prezesurę Czytelni akademickiej. Praca jego przyniosła owoce obfite. Jak Czytelnia i Dom akademicki, skupiając całą młodzież wszechnicy w czas wojny spełniły zadanie swoje, szczególnie w okresie „pokoju Brzeskiego“, wszyscy wiemy. Równocześnie a i później, kiedy godność prezesa oddał w ręce następcy, pracował energicznie nad sprawami młodzieży lekarskiej, gdzie przyczynił się walnie do tak pożądanego połączenia „Koła medyków“ z „Bibljoteką słuchaczów medycyny“, jednocząc w ten sposób polski obóz tej młodzieży. Z ramienia i przy poparciu młodzieży narodowej zajął się ożywieniem i odbudową narodowej pracy wśród młodzieży szkół średnich i zapewne długo żyć będzie wspomnienie o nim w sercach wychowanków organizacji szkolnej w stolicy i na prowincji. W listopadzie stanął w szeregach i jako adjutant szefa sanitarnego wszedł w skład komendy naczelnej na Grunwaldzkiej. Skromny był i nie gonił za osobistemi przyjemnościami życia. Wnosił wszędzie niepożytą energię, pogodny optymizm i wiarę w powodzenie. A siły swoje wszystkie poświęcał nauce i sprawie. Postać to naprawdę przykładem świecąca dla polskiego słuchacza uniwersyteckiego — w boju i w pokoju. Kochaliśmy go. Zapamiętajmy i naśladujmy.

Pogrzeb ś. p. Lecha odbył się dopiero d. 23. czerwca na cmentarzu poległych obrońców Lwowa, a nabożeństwo w kościele OO. Jezuitów d. 24. czerwca.

Ś. p. **Tadeusz Sikociński.**

W Chyrowie się urodził 14. grudnia 1887 gdzie też ukończył całe gimnazjum i w r. 1917 zdał maturę. Najpierw służył w Legjonach, potem na włoskim froncie, a po wakacjach roku zeszłego zapisał się na medycynę we Lwowie. Od 5. listopada 1918 roku służył w 5. pułku wojska polskiego i dnia 11. stycznia 1919 r. poległ walcząc w obronie Lwowa, gdzie też został pochowany.

w d. 28. grudnia przy opatrywaniu rannych, został zamordowany wraz z 9-ma jeńcami w lesie Dawidowskim.

Tak w Konwikcie jak i na Uniwersytecie cieszył się ś. p. Kolega Lech wielką miłością swych kolegów, a jeden z nich takie w Kurjerze Lwowskim skreślił o nim wspomnienie:

Śp. Lech Gluziński zginął zamordowany przez Ukraińców w 24 roku życia. Poszedł na ochotnika na zagrożoną placówkę, choć nosił w kieszeni urlop, który otrzymał celem dokończenia rozpoczętego egzaminu lekarskiego. Wzięty do niewoli przy opatrywaniu rannych padł ofiarą nieludzkich instynktów żołdactwa hajdamackiego, a tą ofiarą krwi — tak dziś w Polsce powszednią — przypieczętował swoją służbę sprawie.

On to podjął był się ciężkiej pracy odnowienia życia młodzieży lwowskiej, kiedy po inwazji rosyjskiej na polecenie młodzieży narodowej wziął na siebie prezesurę Czytelni akademickiej. Praca jego przyniosła owoce obfite. Jak Czytelnia i Dom akademicki, skupiając całą młodzież wszechnicy w czas wojny spełniły zadanie swoje, szczególnie w okresie „pokoju Brzeskiego“, wszyscy wiemy. Równocześnie a i później, kiedy godność prezesa oddał w ręce następcy, pracował energicznie nad sprawami młodzieży lekarskiej, gdzie przyczynił się walnie do tak pożądanego połączenia „Koła medyków“ z „Bibljoteką słuchaczów medycyny“, jednocząc w ten sposób polski obóz tej młodzieży. Z ramienia i przy poparciu młodzieży narodowej zajął się ożywieniem i odbudową narodowej pracy wśród młodzieży szkół średnich i zapewne długo żyć będzie wspomnienie o nim w sercach wychowanków organizacji szkolnej w stolicy i na prowincji. W listopadzie stanął w szeregach i jako adjutant szefa sanitarnego wszedł w skład komendy naczelnej na Grunwaldzkiej. Skromny był i nie gonił za osobistemi przyjemnościami życia. Wnosił wszędzie niepożytą energię, pogodny optymizm i wiarę w powodzenie. A siły swoje wszystkie poświęcał nauce i sprawie. Postać to naprawdę przykładem świecąca dla polskiego słuchacza uniwersyteckiego — w boju i w pokoju. Kochaliśmy go. Zapamiętajmy i naśladujmy.

Pogrzeb ś. p. Lecha odbył się dopiero d. 23. czerwca na cmentarzu poległych obrońców Lwowa, a nabożeństwo w kościele OO. Jezuitów d. 24. czerwca.

Ś. p. **Tadeusz Sikociński.**

W Chyrowie się urodził 14. grudnia 1887 gdzie też ukończył całe gimnazjum i w r. 1917 zdał maturę. Najpierw służył w Legjonach, potem na włoskim froncie, a po wakacjach roku zeszłego zapisał się na medycynę we Lwowie. Od 5. listopada 1918 roku służył w 5. pułku wojska polskiego i dnia 11. stycznia 1919 r. poległ walcząc w obronie Lwowa, gdzie też został pochowany.

Jako uczeń gimnazjalny odznaczał się pilnością i statecznością, a kolegom swym eksternistom przyświecał zawsze dobrym przykładem i sumiennością.

Ś. p. Kazimierz Czerniawski.

Ur. w r. 1895 w Warszawie, 7 klas ukończył w Chyrowie, a maturę wskutek inwazji rosyjskiej zdał w Warszawie. Studjował medycynę we Lwowie. Wskutek inwazji ruskiej zaciągnął się do obrońców Lwowa a w lutym b. r. padł pod Gródkiem Jagiellońskim.

Ś. p. Kazimierz Sawicki.

Ur. w r. 1898 w Uhnowie; w Chyrowie został sodalisem w r. 1913. Klasę 6 tą ukończył w r. 1914, a w następnym wstąpił do Legionów, skąd po dwu latach walki na froncie, został wcielony do wojska austrjackiego i wysłany nad Piawę. Wypadki listopadowe zastały go we Lwowie, gdzie wstąpił do 3 pułku strzelców. Na froncie lwowskim nabawił się choroby płucnej, która wreszcie położyła kres młodemu życiu w marcu bieżącego roku we Lwowie.

Ś. p. O. Leon Bolisławski T. J.

Ur. d. 3. czerwca 1880 r. w Stonawie koło Cieszyna. Do zakonu wstąpił w r. 1899, maturę zdał w Chyrowie w r. 1904. Po teologji otrzymał z rąk X. Bpa Nowaka święcenia kapłańskie w Krakowie d. 4. lipca 1909. Profesję zakonną złożył w Chyrowie d. 2. lutego 1917. Po ukończeniu uniwersytetu Jagiellońskiego uczył przez dwa lata w Chyrowie, lecz zaczął zapadać na piersi, więc wyjechał do Zakopanego, gdzie umarł d. 24. kwietnia 1919.

Ś. p. Tomasz Wartanowicz.

Młodszy brat Chyrowiaków Józefa i Marjana szesnastoletni Tomasz w tym roku był uczniem kl. V-tej w Czortkowie. W pierwszych dniach czerwca zaciągnął się do milicji, ale w czasie ostatniego odwrotu Rusinów chwycony przez nich został d. 9. czerwca w okrutny sposób za miastem zamordowany. Gdy odnaleziono grób i wydobyto ciało, twarz ś. p. Kolegi tak była poraniona, że trudno było go rozpoznać, tylko na bieliźnie zmarłego rozpoznano wyszytą dawną liczbę konwiktową. Pochowany został w grobach rodzinnych w Czortkowie.

Ś. p. Dr. Norman Macher.

Ur. w Londynie 1888, sodalisem został w Chyrowie w r. 1905, maturę z odznaczeniem zdał w r. 1907. Jako konwiktor odznaczał się sumiennością oraz niezwykłą nad wiek powagą i statecznością. Prawa

Jako uczeń gimnazjalny odznaczał się pilnością i statecznością, a kolegom swym eksternistom przyświecał zawsze dobrym przykładem i sumiennością.

Ś. p. Kazimierz Czerniawski.

Ur. w r. 1895 w Warszawie, 7 klas ukończył w Chyrowie, a maturę wskutek inwazji rosyjskiej zdał w Warszawie. Studjował medycynę we Lwowie. Wskutek inwazji ruskiej zaciągnął się do obrońców Lwowa a w lutym b. r. padł pod Gródkiem Jagiellońskim.

Ś. p. Kazimierz Sawicki.

Ur. w r. 1898 w Uhnowie; w Chyrowie został sodalisem w r. 1913. Klasę 6 tą ukończył w r. 1914, a w następnym wstąpił do Legionów, skąd po dwu latach walki na froncie, został wcielony do wojska austrjackiego i wysłany nad Piawę. Wypadki listopadowe zastały go we Lwowie, gdzie wstąpił do 3 pułku strzelców. Na froncie lwowskim nabawił się choroby płucnej, która wreszcie położyła kres młodemu życiu w marcu bieżącego roku we Lwowie.

Ś. p. O. Leon Bolisławski T. J.

Ur. d. 3. czerwca 1880 r. w Stonawie koło Cieszyna. Do zakonu wstąpił w r. 1899, maturę zdał w Chyrowie w r. 1904. Po teologji otrzymał z rąk X. Bpa Nowaka święcenia kapłańskie w Krakowie d. 4. lipca 1909. Profesję zakonną złożył w Chyrowie d. 2. lutego 1917. Po ukończeniu uniwersytetu Jagiellońskiego uczył przez dwa lata w Chyrowie, lecz zaczął zapadać na piersi, więc wyjechał do Zakopanego, gdzie umarł d. 24. kwietnia 1919.

Ś. p. Tomasz Wartanowicz.

Młodszy brat Chyrowiaków Józefa i Marjana szesnastoletni Tomasz w tym roku był uczniem kl. V-tej w Czortkowie. W pierwszych dniach czerwca zaciągnął się do milicji, ale w czasie ostatniego odwrotu Rusinów chwycony przez nich został d. 9. czerwca w okrutny sposób za miastem zamordowany. Gdy odnaleziono grób i wydobyto ciało, twarz ś. p. Kolegi tak była poraniona, że trudno było go rozpoznać, tylko na bieliźnie zmarłego rozpoznano wyszytą dawną liczbę konwiktową. Pochowany został w grobach rodzinnych w Czortkowie.

Ś. p. Dr. Norman Macher.

Ur. w Londynie 1888, sodalisem został w Chyrowie w r. 1905, maturę z odznaczeniem zdał w r. 1907. Jako konwiktor odznaczał się sumiennością oraz niezwykłą nad wiek powagą i statecznością. Prawa

ze stopniem dra ukończył we Lwowie. Jako podp. 39. pułku W. P. walcząc w obronie Lwowa, nabawił się tyfusu, skutkiem czego zmarł w epidemicznym szpitalu we Lwowie d. 30. maja b. r.

Ś. p. **Stanisław hr. Sołtan.**

Najstarszy z trzech braci urodził się na Litwie w Anińsku w r. 1891. Sodalis i niezwykle zdolny uczeń maturę zdał z odznaczeniem w r. 1910. Na uniwersytecie Jagiellońskim studjował filozofję, a równocześnie uczęszczał na akademję sztuk pięknych. Po wybuchu wojny służył w armji rosyjskiej najpierw na froncie galicyjskim, a później kaukaskim. W jesieni roku zeszłego wstąpił do Dowborczyków, a w czerwcu otrzymaliśmy wiadomość, że poległ jako porucznik pod Pińskiem.

Ś. p. **Stanisław Myszkowski.**

Ur. w r. 1891 w Świdniku, maturę zdał w Chyrowie w r. 1911. W Konwikcie cieszył się wielką miłością wśród kolegów, a jako gorliwy sodalis, będąc sacelanem z zamiłowaniem zajmował się ozdobą sodalicyjnej kapliczki. W r. 1914 jako ułan 2 pułku walczył w Karpatach i na Wołyńskim froncie, a czytelnicy naszego pisemka mieli sposobność czytywać liczne jego opisy i wspomnienia wojenne. Był wzorowym żołnierzem-sodalisem, wywierając zbawienny wpływ na swoje najbliższe otoczenie, rozszerzając pożyteczne broszury, starając się o nabożeństwo i t. d. Po brzeskim traktacie został internowany, a potem wysłany na front włoski. W jesieni zeszłego roku wstąpił do polskiego wojska, poczem został jako podporucznik mianowany komendantem Radymna. W piątym roku wojennej tułaczki, gdy już jaśniejsza zorza zaświeciła nad Ojczyzną naszą zginął w zagadkowy sposób. W czerwcu w sprawach służbowych przybył do Lwowa i na ulicy pada od jakiejś zdaje się przypadkowo zabłąkanej kuli. D. 5. czerwca młodszy brat zmarłego telegrafuje nam: „Stanisław zabity, pogrzeb w sobotę w Jarosławiu". Na początku wojny zginął najstarszy brat ś. p. Stanisława Józef, a roku zeszłego umarł w Hruszowicach młodszy brat ś. p. Jan.

Ś. p. **Antoni Mysłakowski.**

Ur. w Mogilnicy w r. 1887, maturę zdał w Chyrowie w r. 1905. Po ukończeniu praw we Lwowie został tamże urzędnikiem Ziemskiego Tow. Kredytowego. Ożeniwszy się, był wzorowym mężem i ojcem, żyjąc z wiary jako gorliwy katolik. Dla obrony Lwowa w listopadzie zaciągnął się w wojskowe szeregi, a choć z powodu słabego zdrowia polecono mu tylko zajęcie w magazynach, jednak i przy tej służbie nadwyrężył tak zdrowie, że zapadł na piersi. Widząc, że się śmierć zbliża poprosił X. Kanonika Jełowickiego i przed nim odbył ostatnią swą spowiedź. Zmarł d. 6. czerwca osierociwszy żonę i dwoje dzieci.

ze stopniem dra ukończył we Lwowie. Jako podp. 39. pułku W. P. walcząc w obronie Lwowa, nabawił się tyfusu, skutkiem czego zmarł w epidemicznym szpitalu we Lwowie d. 30. maja b. r.

Ś. p. **Stanisław hr. Sołtan.**

Najstarszy z trzech braci urodził się na Litwie w Anińsku w r. 1891. Sodalis i niezwykle zdolny uczeń maturę zdał z odznaczeniem w r. 1910. Na uniwersytecie Jagiellońskim studjował filozofję, a równocześnie uczęszczał na akademję sztuk pięknych. Po wybuchu wojny służył w armji rosyjskiej najpierw na froncie galicyjskim, a później kaukaskim. W jesieni roku zeszłego wstąpił do Dowborczyków, a w czerwcu otrzymaliśmy wiadomość, że poległ jako porucznik pod Pińskiem.

Ś. p. **Stanisław Myszkowski.**

Ur. w r. 1891 w Świdniku, maturę zdał w Chyrowie w r. 1911. W Konwikcie cieszył się wielką miłością wśród kolegów, a jako gorliwy sodalis, będąc sacelanem z zamiłowaniem zajmował się ozdobą sodalicyjnej kapliczki. W r. 1914 jako ułan 2 pułku walczył w Karpatach i na Wołyńskim froncie, a czytelnicy naszego pisemka mieli sposobność czytywać liczne jego opisy i wspomnienia wojenne. Był wzorowym żołnierzem-sodalisem, wywierając zbawienny wpływ na swoje najbliższe otoczenie, rozszerzając pożyteczne broszury, starając się o nabożeństwo i t. d. Po brzeskim traktacie został internowany, a potem wysłany na front włoski. W jesieni zeszłego roku wstąpił do polskiego wojska, poczem został jako podporucznik mianowany komendantem Radymna. W piątym roku wojennej tułaczki, gdy już jaśniejsza zorza zaświeciła nad Ojczyzną naszą zginął w zagadkowy sposób. W czerwcu w sprawach służbowych przybył do Lwowa i na ulicy pada od jakiejś zdaje się przypadkowo zabłąkanej kuli. D. 5. czerwca młodszy brat zmarłego telegrafuje nam: „Stanisław zabity, pogrzeb w sobotę w Jarosławiu“. Na początku wojny zginął najstarszy brat ś. p. Stanisława Józef, a roku zeszłego umarł w Hruszowicach młodszy brat ś. p. Jan.

Ś. p. **Antoni Mysłakowski.**

Ur. w Mogilnicy w r. 1887, maturę zdał w Chyrowie w r. 1905. Po ukończeniu praw we Lwowie został tamże urzędnikiem Ziemskiego Tow. Kredytowego. Ożeniwszy się, był wzorowym mężem i ojcem, żyjąc z wiary jako gorliwy katolik. Dla obrony Lwowa w listopadzie zaciągnął się w wojskowe szeregi, a choć z powodu słabego zdrowia polecono mu tylko zajęcie w magazynach, jednak i przy tej służbie nadwyrężył tak zdrowie, że zapadł na piersi. Widząc, że się śmierć zbliża poprosił X. Kanonika Jełowickiego i przed nim odbył ostatnią swą spowiedź. Zmarł d. 6. czerwca osierociwszy żonę i dwoje dzieci.



OD SODALICJI KONWIKTOWEJ.

Drodzy Bracia Sodalisi!

Krótko tylko dziś odzywamy się do Was, ale gorąco i serdecznie zapraszamy na dzień 8-my grudnia do Chyrowa, aby naszej wspólnej Pani, Matce i Królowej z głębi serca podziękować za wszystko, co dla nas i dla całego narodu i Ojczyzny swem orędownictwem zdziałała, aby się wspólnie Jej przemożnej opiece polecić, aby błogosławieństwo dla nowej Polski uprosić.

Tych zaś Braci Sodalisów, którym warunki przybyć do Chyrowa nie pozwolą, bardzo prosimy, aby duchowo złączyli się z nami i odnowili swe poświęcenie na służbę Marji przed Jej ołtarzem, a nam o tej łączności donieśli.

Nabożeństwo sodalicyjne odbędzie się o godzinie 7-mej, a Msza św. będzie odprawiona na intencję wszystkich Sodalisów.

Załączamy wszystkim serdeczne pozdrowienia, polecając się pamięci przed tronem Najświętszej Panienki i Królowej Korony Polskiej.

X. Jakób Krysa T. J.
moderator.

Zdzisław Grzymek S. M.
wiceprefekt.

Z. Marcinkiewicz S. M.
sekretarz.



OD SODALICJI KONWIKTOWEJ.

Drodzy Bracia Sodalisi!

Krótko tylko dziś odzywamy się do Was, ale gorąco i serdecznie zapraszamy na dzień 8-my grudnia do Chyrowa, aby naszej wspólnej Pani, Matce i Królowej z głębi serca podziękować za wszystko, co dla nas i dla całego narodu i Ojczyzny swem orędownictwem zdziałała, aby się wspólnie Jej przemożnej opiece polecić, aby błogosławieństwo dla nowej Polski uprosić.

Tych zaś Braci Sodalisów, którym warunki przybyć do Chyrowa nie pozwolą, bardzo prosimy, aby duchowo złączyli się z nami i odnowili swe poświęcenie na służbę Marji przed Jej ołtarzem, a nam o tej łączności donieśli.

Nabożeństwo sodalicyjne odbędzie się o godzinie 7-mej, a Msza św. będzie odprawiona na intencję wszystkich Sodalisów.

Załączamy wszystkim serdeczne pozdrowienia, polecając się pamięci przed tronem Najświętszej Panienki i Królowej Korony Polskiej.

X. Jakób Krysa T. J.
moderator.

Zdzisław Grzymek S. M.
wiceprefekt.

Z. Marcinkiewicz S. M.
sekretarz.

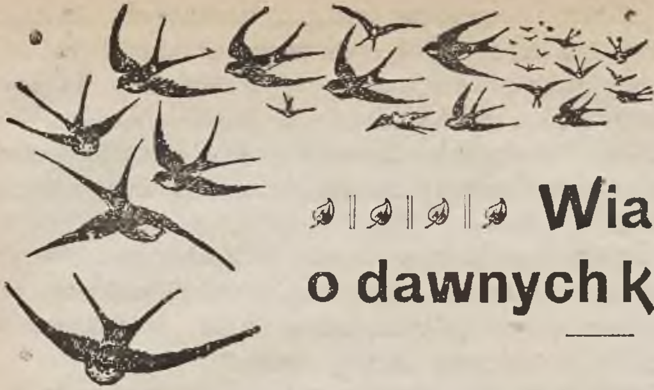
Wiadomości o dawnych kolegach.

Na liście służących w polskiej armji w latach 1918/9 mamy już z górą 400 Chyrowiaków. Spis ten jeszcze uzupełniony podamy w następnym zeszycie Kwartalnika. Zeszyt ten będzie poświęcony wolnej i zjednoczonej Polsce.

Hallerczyk Witold Wojnarski pisał z pola w lipcu: „Z dumą w sercu i ze łzami radości w oczach przybyłem do wolnej Polski jako podporucznik 10. p. strzelców armji Hallera, d. 26. maja do Zambrowa. Bogu dziękuję, że się spełniły moje sny włoskie, a obecnie z ochotą idziemy naprzód, bo wiemy, że to dla Ojczyzny. Dziękuję za otrzymane od tylu czasów z utęsknieniem wyglądane gazetki Chyrowskie, bo tyle miłych, ciekawych ale zarazem smutnych rzeczy się z nich dowiedziałem. Teraz dopiero odczuwam w całej pełni znaczenie Chyrowskiego Konwiktu, a także i Kwartalnika, który nas łączy z przeszłością i z Kolegami. Wojna nas wszystkich wiele nauczyła, ale zarazem pokazała, jak należy cenić, to co się posiada. Jeśli Konwikt i w czasach niewoli spełniał tak dzielnie swoje posłannictwo, broniąc dusz i serc młodzieży przed niewiarą i zepsuciem i wydał tylu dzielnych synów Ojczyźnie, to obecnie po odzyskaniu wolności, będzie mógł Chyrów jeszcze większy i zbawienniejszy wywierać wpływ przez swych wychowanków na całe polskie społeczeństwo. I o tem myślał św. Józef broniąc przed zagładą naszej kochanej fortecy Chyrowskiej".

Prezes Związku Chyrowiaków, adwokat Dr. Jerzy Rosinkiewicz wyszedł z wojska i otworzył kancelarję we Lwowie, Szopena, l. 5. Dr. Agenor Adamowski donosi, że jest sędzią okręgowym w Piotrkowie. Kol. Tadeusz Kowalewski opuścił służbę w Namiestnictwie i gospodaruje w majątku Wiszniów, p. Żurawno—Nowosielce. Inż. Juljusz Liwicki wziął w dzierżawę majątek Obsza koło Dzikowa. Dr. Adam Bielecki z Podgórza został przeniesiony na sędziego do Poznania. Zasłużony obrońca Lwowa, rotmistrz Dr. Roman Abraham przeniósł się do armji Hallera, ale zdrowie jego jest bardzo nadwyrężone.

Kol. Marjusz Haszlakiewicz, internowany przez Moskali



Wiadomości o dawnych kolegach.

Na liście służących w polskiej armji w latach 1918/9 mamy już z górą 400 Chyrowiaków. Spis ten jeszcze uzupełniony podamy w następnym zeszycie Kwartalnika. Zeszyt ten będzie poświęcony wolnej i zjednoczonej Polsce.

Hallerczyk Witold Wojnarski pisał z pola w lipcu: „Z dumą w sercu i ze łzami radości w oczach przybyłem do wolnej Polski jako podporucznik 10. p. strzelców armji Hallera, d. 26. maja do Zambrowa. Bogu dziękuję, że się spełniły moje sny włoskie, a obecnie z ochotą idziemy naprzód, bo wiemy, że to dla Ojczyzny. Dziękuję za otrzymane od tylu czasów z utęsknieniem wyglądane gazetki Chyrowskie, bo tyle miłych, ciekawych ale zarazem smutnych rzeczy się z nich dowiedziałem. Teraz dopiero odczuwam w całej pełni znaczenie Chyrowskiego Konwiktu, a także i Kwartalnika, który nas łączy z przeszłością i z Kolegami. Wojna nas wszystkich wiele nauczyła, ale zarazem pokazała, jak należy cenić, to co się posiada. Jeśli Konwikt i w czasach niewoli spełniał tak dzielnie swoje posłannictwo, broniąc dusz i serc młodzieży przed niewiarą i zepsuciem i wydał tylu dzielnych synów Ojczyźnie, to obecnie po odzyskaniu wolności, będzie mógł Chyrów jeszcze większy i zbawienniejszy wywierać wpływ przez swych wychowanków na całe polskie społeczeństwo. I o tem myślał św. Józef broniąc przed zagładą naszej kochanej fortecy Chyrowskiej“.

Prezes Związku Chyrowiaków, adwokat Dr. Jerzy Rosinkiewicz wyszedł z wojska i otworzył kancelarję we Lwowie, Szopena, l. 5. Dr. Agenor Adamowski donosi, że jest sędzią okręgowym w Piotrkowie. Kol. Tadeusz Kowalewski opuścił służbę w Namiestnictwie i gospodaruje w majątku Wiszniów, p. Żurawno—Nowosielce. Inż. Juljusz Liwicki wziął w dzierżawę majątek Obsza koło Dzikowa. Dr. Adam Bielecki z Podgórza został przeniesiony na sędziego do Poznania. Zasłużony obrońca Lwowa, rotmistrz Dr. Roman Abraham przeniósł się do armji Hallera, ale zdrowie jego jest bardzo nadwyrężone.

Kol. Marjusz Haszlakiewicz, internowany przez Moskali

w głębi Rosji po dwuletniej tułaczce wrócił szczęśliwie na Litwę do swego majątku Stolin, lecz tu znów się wiele nacierpiał od bolszewikow, aż dopiero d. 4. lipca przez polskie wojska został uwolniony. Młodszy brat jego Henryk służy jako rotmistrz ułanów w polskiem wojsku.

Bracia Stanisław i Władysław Lewińscy z niewoli włoskiej dostali się do armji Hallera i walczyli na wołyńskim froncie, a podobnie i kol. W. Biesiadowski.

Kol. E. Korecki pisze między innemi z Krakowa: „Obecnie mam zamiar wydać na 1. listopada książeczkę, w której w formie pamiętnika zamknę dzieje pierwszego roku wolnej Polski. Prof. Kutrzeba twierdzi, że zachodzi wielka potrzeba takiego dziełka".

Kol. Zygmunt Domański wszedł ze swym szwadronem do rodzinnego Zaladzia, które znalazł stosunkowo w dobrym jeszcze stanie. Matka jego przez 3 miesiące ukrywała się u leśnika, ale już szczęśliwie wróciła do domu, tylko szwagra jego wywieźli bolszewicy prawdopodobnie do Smoleńska. Szwadron Kol. Z. Domańskiego zatrzymał się w Słucku.

W Przemyślu otrzymał w czerwcu święcenia kapłańskie X. Zdzisław Michalski. X. Jan Augustowicz donosi, że tak jak i w roku ubiegłym będzie nadal nauczycielem w prywatnem gimnazjum w Przeworsku. W N. Sączu został ministrem X. J. Antoniewicz, a X. S. Machnicki i X. A. Dyla profesorami. X. Wł. Konopka wyjechał na ten rok do Dziedzic.

Dr. Kazimierz Papara, por. ułan. służy na froncie poznańskim, a por. Jan Deskur z Wiednia przeniesiony do Warszawy, gdzie pracuje w ministerstwie wojny; w lipcu otrzymaliśmy jego list z Wiednia, w którym między innemi pisał:

„Z włoskiego frontu jako chory po hiszpance przybyłem do Lincu na parę dni przed przewrotem w Austrji. Stąd udało mi się wydostać do Wiednia, gdzie była moja żona. D. 8. listopada zgłosiłem się u majora Alojzego Przezdzieckiego, podówczas attaché wojskowego polskiego w Wiedniu do służby i zostałem przydzielony do stacji zbornej dla powracających żołnierzy polskich do kraju. Tamże z Chyrowiaków jeszcze służyli: H. Linderski, Jerzy Niewiadomski, Wład. Kotarski, Tad. Smutny. Przez pół roku byłem komendantem tego oddziału, zajmującego się zbieraniem po dworcach kolejowych powracających oficerów i żołnierzy Polaków z wszystkich możliwych niewoli i frontów, oraz uchodźców cywilnych z całej Polski. Transportujemy ich udzielając różnych zapomóg co do wyżywienia i ubrania, ułatwiając sprawy paszportowe t. d. Kilkadziesiąt tysięcy po największej części w opłakanym stanie znajdujących się rodaków w ten sposób przetransportowaliśmy do kraju.

Żyjemy tutaj wyłącznie tem, co nam Kraków lub Warszawa prześle. Niemcy austrjaccy bowiem sami głód cierpią i zginęliby, gdyby nie pomoc ententy jak również i Polski, czego oni, a zwłaszcza prasa ży-

w głębi Rosji po dwuletniej tułaczce wrócił szczęśliwie na Litwę do swego majątku Stolin, lecz tu znów się wiele nacierpiał od bolszewików, aż dopiero d. 4. lipca przez polskie wojska został uwolniony. Młodszy brat jego Henryk służy jako rotmistrz ułanów w polskiem wojsku.

Bracia Stanisław i Władysław Lewińscy z niewoli włoskiej dostali się do armji Hallera i walczyli na wołyńskim froncie, a podobnie i kol. W. Biesiadowski.

Kol. E. Korecki pisze między innemi z Krakowa: „Obecnie mam zamiar wydać na 1. listopada książeczkę, w której w formie pamiętnika zamknę dzieje pierwszego roku wolnej Polski. Prof. Kutrzeba twierdzi, że zachodzi wielka potrzeba takiego dziełka".

Kol. Zygmunt Domański wszedł ze swym szwadronem do rodzinnego Zaladzia, które znalazł stosunkowo w dobrym jeszcze stanie. Matka jego przez 3 miesiące ukrywała się u leśnika, ale już szczęśliwie wróciła do domu, tylko szwagra jego wywieźli bolszewicy prawdopodobnie do Smoleńska. Szwadron Kol. Z. Domańskiego zatrzymał się w Słucku.

W Przemyślu otrzymał w czerwcu święcenia kapłańskie X. Zdzisław Michalski. X. Jan Augustowicz donosi, że tak jak i w roku ubiegłym będzie nadal nauczycielem w prywatnem gimnazjum w Przeworsku. W N. Sączu został ministrem X. J. Antoniewicz, a X. S. Machnicki i X. A. Dyla profesorami. X. Wł. Konopka wyjechał na ten rok do Dziedzic.

Dr. Kazimierz Papara, por. ułan. służy na froncie poznańskim, a por. Jan Deskur z Wiednia przeniesiony do Warszawy, gdzie pracuje w ministerstwie wojny; w lipcu otrzymaliśmy jego list z Wiednia, w którym między innemi pisał:

„Z włoskiego frontu jako chory po hiszpance przybyłem do Lincu na parę dni przed przewrotem w Austrji. Stąd udało mi się wydostać do Wiednia, gdzie była moja żona. D. 8. listopada zgłosiłem się u majora Alojzego Przezdzieckiego, podówczas attaché wojskowego polskiego w Wiedniu do służby i zostałem przydzielony do stacji zbornej dla powracających żołnierzy polskich do kraju. Tamże z Chyrowiaków jeszcze służyli: H. Linderski, Jerzy Niewiadomski, Wład. Kotarski, Tad. Smutny. Przez pół roku byłem komendantem tego oddziału, zajmującego się zbieraniem po dworcach kolejowych powracających oficerów i żołnierzy Polaków z wszystkich możliwych niewoli i frontów, oraz uchodźców cywilnych z całej Polski. Transportujemy ich udzielając różnych zapomóg co do wyżywienia i ubrania, ułatwiając sprawy paszportowe t. d. Kilkadziesiąt tysięcy po największej części w opłakanym stanie znajdujących się rodaków w ten sposób przetransportowaliśmy do kraju.

Żyjemy tutaj wyłącznie tem, co nam Kraków lub Warszawa prześle. Niemcy austrjaccy bowiem sami głód cierpią i zginęliby, gdyby nie pomoc ententy jak również i Polski, czego oni, a zwłaszcza prasa ży-

dowska wiedeńska Polakom zupełnie nie przyznaje, owszem przeciwnie codziennie prawie podburza umysły warstw mniej oświeconych przeciw nam przez tendencyjne opisy jakichś „pogromów“ i tym podobnych barbarzyństw, mających rzekomo miejsce w Polsce. Pisma te sprostowania żadnego przez nasze tutejsze władze podanego nigdy nie umieszczają, gdy przeciwnie, p. Wasylko zawsze i w każdej gazecie takież umieszczać mógł, a nie potrzeba chyba dodawać, że wyjaśnienia tegoż pana „posła“ nie były wolne od swego rodzaju tendencyj.

Stosunki służbowe miałem tu nawet bardzo dobre, lecz służba sama bardzo denerwująca, z upragnieniem więc wyczekiwałem chwili powrotu do kraju. Brat mój Jerzy służy w 12 p. ułanów, a jak mi donoszono brał też udział w majowej ofenzywie z pod Chyrowa“.

X. Kanonik Dr. E. Jełowicki opuszcza Lwów, obejmując probostwo w Trębowli. Dr. Wł. Furgalski służy przy sądzie we Lwowie.

Kol. Jan Skrowaczewski donosił, że po ciężkim tyfusie został zwolniony z wojska i objął zarząd dóbr Kolbuszowa, oraz, że stracił żonę.

Kol. Antoni Bardecki jest dalej naczelnikiem państwowych lasów w Miechowie, skąd donosił o swych zajęciach i trudnościach służbowych.

W 6-tym pułku ułanów zebrało się liczne grono Chyrowiaków służą tam bowiem: Major Wawrzyniec Łobaczewski, Roman, Marceli, Jan i Adam Gołębscy, L. Stankiewicz, Bracia Świeykowscy, Józef Hohendorff, W. Linhart, Adam Sroczyński, Jerzy Cielecki i Jerzy Ostrowski.

Por. marynarki Heliodor Laskowski donosi, że służy na statku wojennym Wisła, a brat jego Eligjusz jako medyk jest w szpitalu garnizonowym w Warszawie.

Por. artyl. Józef Strzelecki przeniósł się do armji Hallera i został przydzielony do oddziału czołgów, które w lipcu odbywały ćwiczenia w Łodzi.

Dr. Erwin Szeib donosił, że otrzymał posadę sędziego w Poznańskiem, gdzie się miał udać w październiku.

Kol. Konstanty Czechowicz donosił, że wiele się nacierpiał w czasie ruskiej inwazji w Bolechowie, skąd zaraz po uwolnieniu wstąpił do polskiego wojska i służy obecnie w Warszawie. Tam również został z Przemyśla przeniesiony por. Stanisław Szultis.

Por. Józef Wartanowicz, wydostawszy się z niewoli włoskiej, zaciągnął się do armji Hallera, jak również i por. Wacław Haas.

Z frontu nad Zbruczem pisali razem: Rotmistrz Ludwik Karczewski, Tadeusz Haładewicz, Stefan Urban, Xawery Otowski i Leon Praglowski. Podp. Jacek Pieniążek służy dalej na swym pancerniku, na białoruskim froncie. W armji gen. Żeligowskiego służą por. Tadeusz Graff oraz Zdzisław Szafnicki. Kol. Jan Ignaszewski służy w wysokogórskiej kompanji w Zakopanem. Podp. J. Osostowicz służy w armji

dowska wiedeńska Polakom zupełnie nie przyznaje, owszem przeciwnie codziennie prawie podburza umysły warstw mniej oświeconych przeciw nam przez tendencyjne opisy jakichś „pogromów“ i tym podobnych barbarzyństw, mających rzekomo miejsce w Polsce. Pisma te sprostowania żadnego przez nasze tutejsze władze podanego nigdy nie umieszczają, gdy przeciwnie, p. Wasylko zawsze i w każdej gazecie takież umieszczać mógł, a nie potrzeba chyba dodawać, że wyjaśnienia tegoż pana „posła“ nie były wolne od swego rodzaju tendencyj.

Stosunki służbowe miałem tu nawet bardzo dobre, lecz służba sama bardzo denerwująca, z upragnieniem więc wyczekiwałem chwili powrotu do kraju. Brat mój Jerzy służy w 12 p. ułanów, a jak mi donoszono brał też udział w majowej ofenzywie z pod Chyrowa“.

X. Kanonik Dr. E. Jełowicki opuszcza Lwów, obejmując probostwo w Trębowli. Dr. Wł. Furgalski służy przy sądzie we Lwowie.

Kol. Jan Skrowaczewski donosił, że po ciężkim tyfusie został zwolniony z wojska i objął zarząd dóbr Kolbuszowa, oraz, że stracił żonę.

Kol. Antoni Bardecki jest dalej naczelnikiem państwowych lasów w Miechowie, skąd donosił o swych zajęciach i trudnościach służbowych.

W 6-tym pułku ułanów zebrało się liczne grono Chyrowiaków służą tam bowiem: Major Wawrzyniec Łobaczewski, Roman, Marceli, Jan i Adam Gołębscy, L. Stankiewicz, Bracia Świeykowscy, Józef Hohendorff, W. Linhart, Adam Sroczyński, Jerzy Cielecki i Jerzy Ostrowski.

Por. marynarki Heliodor Laskowski donosi, że służy na statku wojennym Wisła, a brat jego Eligjusz jako medyk jest w szpitalu garnizonowym w Warszawie.

Por. artyl. Józef Strzelecki przeniósł się do armji Hallera i został przydzielony do oddziału czołgów, które w lipcu odbywały ćwiczenia w Łodzi.

Dr. Erwin Szeib donosił, że otrzymał posadę sędziego w Poznańskiem, gdzie się miał udać w październiku.

Kol. Konstanty Czechowicz donosił, że wiele się nacierpiał w czasie ruskiej inwazji w Bolechowie, skąd zaraz po uwolnieniu wstąpił do polskiego wojska i służy obecnie w Warszawie. Tam również został z Przemyśla przeniesiony por. Stanisław Szultis.

Por. Józef Wartanowicz, wydostawszy się z niewoli włoskiej, zaciągnął się do armji Hallera, jak również i por. Wacław Haas.

Z frontu nad Zbruczem pisali razem: Rotmistrz Ludwik Karczewski, Tadeusz Haładewicz, Stefan Urban, Xawery Otowski i Leon Praglowski. Podp. Jacek Pieniążek służy dalej na swym pancerniku, na białoruskim froncie. W armji gen. Żeligowskiego służą por. Tadeusz Graff oraz Zdzisław Szafnicki. Kol. Jan Ignaszewski służy w wysokogórskiej kompanji w Zakopanem. Podp. J. Osostowicz służy w armji

Hallera, odwiedził Chyrów, a w Modlinie zajmował się gorliwie pracą oświatową wśród żołnierzy, dla których sprowadzał broszury skargowskie.

Kol. Karol Danielewicz donosił, że we wrześniu wraca z Zurychu do Polski, czego wygląda już z wielką tęsknotą.

Sędzia Stanisław Jakubowski został czasowo przydzielony do sądu w Sanoku, gdzie również służą Czesław Braun i Karol Kluger.

Kol. Kazimierz Głuchowski wyjechał z Warszawy na stanowisko konsula do Parany.

Kol. Stanisław Rehman nabył księgarnię Chęcińskiego we Lwowie, jego brat Jan służy tamże przy sztabie brygady, a Józef w armji Hallera.

Kol. T. Kuczkiewicz wydostał się szczęśliwie z ruskiej niewoli i razem z bratem Stanislawem służą we Lwowie.

Kol. Ignacy Suchecki wrócił po ciężkich przejściach i tułaczce z Rosji i gospodaruje w rodzinnym majątku Rakoszynie koło Jędrzejowa.

Kol. Adam Białogórski między innemi pisze: „W r. 1916 dostałem się pod Łuckiem w czasie rosyjskiej ofenzywy do niewoli. Rodzina moja dostała zawiadomienie o mej śmierci i już mię opłakiwano, dopiero ja napisałem do domu, że wiadomość ta jest nieco przesadzona. W r. 1918 udało mi się umknąć z niewoli. Z początku było mi bardzo ciężko, gdyż musiałem pracować jako dzienny robotnik w Astrachaniu przy zamiataniu śniegu na liniach tramwajowych. Potem chorowałem na tyfus, wreszcie otrzymałem dobre miejsce w duńskiem biurze dla jeńców austrjackich i miałem wcale porządne utrzymanie. Zapoznałem się z pewną rodziną polską zbiegłą przed pruskiem wojskiem i ożeniłem się. Po upadku Austrji wróciłem do kraju i zaraz zgłosiłem się do polskiego wojska. Przetrwałem całe oblężenie Lwowa i zostałem przydzielony do żandarmerji, przy której pozostaję na stałe. Z Kolegów walczących pod Lwowem spotkałem Jul. Duczyńskiego i Stan. Niewiadomskiego, z którymi mile wspominaliśmy chyrowskie czasy. Z tułaczki rosyjskiej wspomnę o pewnym szczególe, który może zajmie literatów. Będąc z żoną w jakimś porcie nad morzem kaspijskiem, poznaliśmy starego żeglarza, który rzeczywiście przejeździł i przepłynął cały świat z przyległościami. Między innemi niezmiernie zresztą zajmującymi wypadkami, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem opowiadał mi, iż w jakimś monasterze rosyjskim na Sachalinie odnalazł ślady pobytu... Beniowskiego! Miał widzieć jego autograf i co ciekawsza — jakaś podobno komisja z Petersburga szukała śladów kultury średniowiecznej w tym monasterze, ale zazdrośni o pamiątki przeszłości mnisi pergaminy te ukryli. Dopiero później owemu żeglarzowi, który u nich kilka miesięcy jako chory przebywał, po bliższem poznaniu go pokazali".

X. Prof. Fr. Kwiatkowski T. J. pisał z Poznania: „Wszyscy XX. Biskupi w drodze do Gniezna zwiedzili tutejsze Seminarjum. X. Prymas przedstawił im grono profesorskie. Pojechałem i ja na pielgrzymkę

Hallera, odwiedził Chyrów, a w Modlinie zajmował się gorliwie pracą oświatową wśród żołnierzy, dla których sprowadzał broszury skargowskie.

Kol. Karol Danielewicz donosił, że we wrześniu wraca z Zurychu do Polski, czego wygląda już z wielką tęsknotą.

Sędzia Stanisław Jakubowski został czasowo przydzielony do sądu w Sanoku, gdzie również służą Czesław Braun i Karol Kluger.

Kol. Kazimierz Głuchowski wyjechał z Warszawy na stanowisko konsula do Parany.

Kol. Stanisław Rehman nabył księgarnię Chęcińskiego we Lwowie, jego brat Jan służy tamże przy sztabie brygady, a Józef w armji Hallera.

Kol. T. Kuczkiewicz wydostał się szczęśliwie z ruskiej niewoli i razem z bratem Stanislawem służą we Lwowie.

Kol. Ignacy Suchecki wrócił po ciężkich przejściach i tułaczce z Rosji i gospodaruje w rodzinnym majątku Rakoszynie koło Jędrzejowa.

Kol. Adam Białogórski między innemi pisze: „W r. 1916 dostałem się pod Łuckiem w czasie rosyjskiej ofenzywy do niewoli. Rodzina moja dostała zawiadomienie o mej śmierci i już mię opłakiwano, dopiero ja napisałem do domu, że wiadomość ta jest nieco przesadzona. W r. 1918 udało mi się umknąć z niewoli. Z początku było mi bardzo ciężko, gdyż musiałem pracować jako dzienny robotnik w Astrachaniu przy zamiataniu śniegu na liniach tramwajowych. Potem chorowałem na tyfus, wreszcie otrzymałem dobre miejsce w duńskiem biurze dla jeńców austrjackich i miałem wcale porządne utrzymanie. Zapoznałem się z pewną rodziną polską zbiegłą przed pruskiem wojskiem i ożeniłem się. Po upadku Austrji wróciłem do kraju i zaraz zgłosiłem się do polskiego wojska. Przetrwałem całe oblężenie Lwowa i zostałem przydzielony do żandarmerji, przy której pozostaję na stałe. Z Kolegów walczących pod Lwowem spotkałem Jul. Duczyńskiego i Stan. Niewiadomskiego, z którymi mile wspominaliśmy chyrowskie czasy. Z tułaczki rosyjskiej wspomnę o pewnym szczególe, który może zajmie literatów. Będąc z żoną w jakimś porcie nad morzem kaspijskiem, poznaliśmy starego żeglarza, który rzeczywiście przejeździł i przepłynął cały świat z przyległościami. Między innemi niezmiernie zresztą zajmującymi wypadkami, dowiedziawszy się, że jestem Polakiem opowiadał mi, iż w jakimś monasterze rosyjskim na Sachalinie odnalazł ślady pobytu... Beniowskiego! Miał widzieć jego autograf i co ciekawsza — jakaś podobno komisja z Petersburga szukała śladów kultury średniowiecznej w tym monasterze, ale zazdrośni o pamiątki przeszłości mnisi pergaminy te ukryli. Dopiero później owemu żeglarzowi, który u nich kilka miesięcy jako chory przebywał, po bliższem poznaniu go pokazali".

X. Prof. Fr. Kwiatkowski T. J. pisał z Poznania: „Wszyscy XX. Biskupi w drodze do Gniezna zwiedzili tutejsze Seminarjum. X. Prymas przedstawił im grono profesorskie. Pojechałem i ja na pielgrzymkę

do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie: cudna była i wzruszająca. Miasto strojne i udekorowane, tłumów moc, porządek wspaniały, wśród prześlicznej pogody, przyjęcie przez wszystkie władze cywilne i wojskowe, jazda w powozach przy eskorcie ułanów gnieźnieńskich z lancami i proporczykami żółto-białemi. Pochód od fary do katedry 17 biskupów w kapach i mitrach, na zakończenie błogosławieństwo wspólne 17 dłoni i „Boże coś Polskę“ — wszystko to nie pozwalało powstrzymać łez. Nadjechał i X. Nuncjusz później i przez dwa dni brał udział w owocnych pewno obradach.

W Poznaniu podczas, gdy w maju jeszcze słyszało się dużo niemczyzny, teraz prawie się jej nie odczuwa. Wielu Niemców wyjechało, wielu jeszcze wyjedzie, inni przycichli, niestety po urzędach wielu jeszcze Niemców, bo polskich sił brak. Do szkół poznańskich przychodzi także z N. Sącza Chyrowiak prof. Witold Nawratil. X. Aleksander Piątkiewicz od października obejmuje redakcję „Przyjaciela Młodzieży“, pisma stowarzyszeń młodzieży całej Polski, mającego się rozchodzić w 15 tysiącach egzemplarzy. Nasz superjor X. Smodlibowski jeździ z rekolekcjami po okolicy, księżom daje rekolekcje w Poznaniu X. Włodzimierz Piątkiewicz, a w Gnieźnie X. Rostworowski“.

Kol. Bolesław Gasparski został starostą w Bóbrce. Kapitan art. Stefan Kopecki wyjechał na front litewski. Były kapelan armji gen. Hallera z pod Kaniowa X. Kazimierz Konopka T. J. po ciężkich przejściach z bolszewikami w Żytomierzu powrócił szczęśliwie do Lwowa. Powrócił z niewoli rosyjskiej i służy w armji polskiej Dr. Stanisław Jezierski.

Kol. Jarosław Pieniążek pisze z Jagielnicy: „W maju doszła mię wiadomość, że Konwikt zrabowany, OO. wywiezieni, a mury obrócone w perzynę. Wiadomość była straszna, ja jednak nie uwierzyłem w to, aby nasz Konwikt, mający tak wielkich protektorów w niebie, mógł paść ofiarą hajdamaków. I nie zawiodłem się. Dlatego dziś szczęśliwy się czuję, gdy mogę Wam przysłać wyrazy szczerej radości, że ta nasza ukochana polska placówka ostała się w tej strasznej zawierusze. Przez 8 miesięcy trwania Ukrainy przeszliśmy tu całe piekło. Na mnie mieli hajdamacy szczególną uwagę zwróconą, gdyż nie umiem zupełnie po rusku, szczęśliwie jednak wszystko przebyłem, a cudem jedynie śmierci uniknąłem, gdyż prowadzili mię już na rozstrzelanie. Charakterystycznem jest, że na ruskiego chłopa tylko krzyk działa. Gdy mnie podstępem chwycili, nie pomogły prośby, nie pomogły pieniądze, koniecznie chcieli „tego laszka ubić“, aż nareszcie mój znajomy, były oficer austrjacki Niemiec, z taką furją wpadł na hajdamaków, tak im nawymyślał we wszystkich możliwych językach, że zgłupieli do reszty, przeprosili jak umieli najlepiej i wynieśli się w milczeniu. O! dawno tak serdecznie nie pomodliłem się, jak wtedy, gdym Matce Najświętszej za życie dziękował. Planuję sobie, że niedługo będę mógł Chyrów odwiedzić,

do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie: cudna była i wzruszająca. Miasto strojne i udekorowane, tłumów moc, porządek wspaniały, wśród prześlicznej pogody, przyjęcie przez wszystkie władze cywilne i wojskowe, jazda w powozach przy eskorcie ułanów gnieźnieńskich z lancami i proporczykami żółto-białemi. Pochód od fary do katedry 17 biskupów w kapach i mitrach, na zakończenie błogosławieństwo wspólne 17 dłoni i „Boże coś Polskę" — wszystko to nie pozwalało powstrzymać łez. Nadjechał i X. Nuncjusz później i przez dwa dni brał udział w owocnych pewno obradach.

W Poznaniu podczas, gdy w maju jeszcze słyszało się dużo niemczyzny, teraz prawie się jej nie odczuwa. Wielu Niemców wyjechało, wielu jeszcze wyjedzie, inni przycichli, niestety po urzędach wielu jeszcze Niemców, bo polskich sił brak. Do szkół poznańskich przychodzi także z N. Sącza Chyrowiak prof. Witold Nawratil. X. Aleksander Piątkiewicz od października obejmuje redakcję „Przyjaciela Młodzieży", pisma stowarzyszeń młodzieży całej Polski, mającego się rozchodzić w 15 tysiącach egzemplarzy. Nasz superjor X. Smodlibowski jeździ z rekolekcjami po okolicy, księżom daje rekolekcje w Poznaniu X. Włodzimierz Piątkiewicz, a w Gnieźnie X. Rostworowski".

Kol. Bolesław Gasparski został starostą w Bóbrce. Kapitan art. Stefan Kopecki wyjechał na front litewski. Były kapelan armji gen. Hallera z pod Kaniowa X. Kazimierz Konopka T. J. po ciężkich przejściach z bolszewikami w Żytomierzu powrócił szczęśliwie do Lwowa. Powrócił z niewoli rosyjskiej i służy w armji polskiej Dr. Stanisław Jezierski.

Kol. Jarosław Pieniążek pisze z Jagielnicy: „W maju doszła mię wiadomość, że Konwikt zrabowany, OO. wywiezieni, a mury obrócone w perzynę. Wiadomość była straszna, ja jednak nie uwierzyłem w to, aby nasz Konwikt, mający tak wielkich protektorów w niebie, mógł paść ofiarą hajdamaków. I nie zawiodłem się. Dlatego dziś szczęśliwy się czuję, gdy mogę Wam przysłać wyrazy szczerej radości, że ta nasza ukochana polska placówka ostała się w tej strasznej zawierusze. Przez 8 miesięcy trwania Ukrainy przeszliśmy tu całe piekło. Na mnie mieli hajdamacy szczególną uwagę zwróconą, gdyż nie umiem zupełnie po rusku, szczęśliwie jednak wszystko przebyłem, a cudem jedynie śmierci uniknąłem, gdyż prowadzili mię już na rozstrzelanie. Charakterystycznem jest, że na ruskiego chłopa tylko krzyk działa. Gdy mnie podstępem chwycili, nie pomogły prośby, nie pomogły pieniądze, koniecznie chcieli „tego laszka ubić", aż nareszcie mój znajomy, były oficer austrjacki Niemiec, z taką furją wpadł na hajdamaków, tak im nawymyślał we wszystkich możliwych językach, że zgłupieli do reszty, przeprosili jak umieli najlepiej i wynieśli się w milczeniu. O! dawno tak serdecznie nie pomodliłem się, jak wtedy, gdym Matce Najświętszej za życie dziękował. Planuję sobie, że niedługo będę mógł Chyrów odwiedzić,

gdyż zostałem przeniesiony od 1-go października z Jagielnicy do Komarna, jako nadleśniczy i zastępca dyrektora w dobrach hr. Lanckorońskiego, więc łatwiej się to da teraz uskutecznić".

Kol. Andrzej Ziemięcki w sprawach służbowych wyjeżdża do Hiszpanji, gdyż w Barcelonie otrzymuje posadę polskiej reprezentacji.

Kol. Eustachy Korwin Szymanowski pisuje w warszawskim „Dzienniku Powszechnym" artykuły ekonomicznej treści. Dr. Witold Bełza, skryptor Ossolineum, wydał w Bibljotece historyczno-literackiej: J. U. Niemcewicza „Nasze Verthery, Ekloga romantyczna". Rotmistrz Tadeusz hr. Łubieński przeniósł się do armji Hallera, oraz wydał „List otwarty do polskiego chłopa", w którym pisze o stosunku ludu do duchowieństwa, do dworów i o reformie agrarnej. Kol. Janusz Kozłowski umieszcza swe poezje w „Kurjerze Lwowskim" i w żołnierskich pismach: „Placówce" i „Rocie". W warszawskim tygodniku „Sprawa" umieścił X. Dr. Józef Herget następujące artykuły: O uwzględnienie tradycyj historycznych, Mińszczyzna, Polskość i kler polski na Litwie. Tamże między innemi były artykuły X. Prof. Kazimierza Tomczaka: Sens życia, Tyranja frazesu, Wobec nowych zadań.

Dr. Antoni Prus wydał ciekawe pamiętniki p. t. Po traktacie brzeskim, Wyprawa Brygadjera Hallera.

Dr. Stefan Glixelli wydał we Lwowie w wydawnictwie „Prace tow. filolologów nowożytnych" pracę swą p. t. „Studja i szkice porównawcze (Rabelais i Rej).

Kol. Józef Mencel pisze: „Mieszkam od zimy w Nizkołyzach koło Buczacza i biedzę się z odbudową doszczętnie zniszczonego gospodarstwa. To co zdążyłem ubiegłego roku już zrobić, zniszczyły mi znowu dwie inwazje ukraińskie i trzeba po raz trzeci w tych pięciu latach zaczynać od samego początku. Wogóle zdaje mi się, że niema podlejszego kąta na świecie, jak ta wschodnia Galicja, a w niej znowu okolice Złotej Lipy, nad którą mieszkam, nalężą do najnieszczęśliwszych. Tadzio mieszka w Medyni koło Wojniłowa, a Staś gospodaruje w Pawełczu, gdzie się też bardzo często zjeżdżamy. Paweł jest podporucznikiem w 2 pułku szwoleżerów, obecnie na Śląsku".

O braciach Chwalibogach otrzymaliśmy takie wiadomości: Mieczysław pozostaje dotąd na Syberji w Semipałatyńskiej gub. w Pawłodarze i bardzo tęskni za ojczyzną. Jan służy w 2 p. szwoleżerów na Śląsku, a Stanisław w 5 p. p.

Z Ameryki powrócił, służąc w armji Hallera kol. Zygmunt Janczura. Dr. Jerzy Nowosielecki opuścił służbę sądową i gospodaruje w majątku Wojtkowa.

Romuald Skarbek został starostą w Dobromilu. Dr. Albert Knaur wyjechał do Paryża z ramienia władz polskich w sprawach handlowych. Stanisław Mikulicz-Radecki został szefem w Ministerstwie wojny w Warszawie.

gdyż zostałem przeniesiony od 1-go października z Jagielnicy do Komarna, jako nadleśniczy i zastępca dyrektora w dobrach hr. Lanckorońskiego, więc łatwiej się to da teraz uskutecznić“.

Kol. Andrzej Ziemięcki w sprawach służbowych wyjeżdża do Hiszpanji, gdyż w Barcelonie otrzymuje posadę polskiej reprezentacji.

Kol. Eustachy Korwin Szymanowski pisuje w warszawskim „Dzienniku Powszechnym“ artykuły ekonomicznej treści. Dr. Witold Bełza, skryptor Ossolineum, wydał w Bibljotece historyczno-literackiej: J. U. Niemcewicza „Nasze Verthery, Ekloga romantyczna“. Rotmistrz Tadeusz hr. Łubieński przeniósł się do armji Hallera, oraz wydał „List otwarty do polskiego chłopa“, w którym pisze o stosunku ludu do duchowieństwa, do dworów i o reformie agrarnej. Kol. Janusz Kozłowski umieszcza swe poezje w „Kurjerze Lwowskim“ i w żołnierskich pismach: „Placówce“ i „Rocie“. W warszawskim tygodniku „Sprawa“ umieścił X. Dr. Józef Herget następujące artykuły: O uwzględnienie tradycyj historycznych, Mińszczyzna, Polskość i kler polski na Litwie. Tamże między innemi były artykuły X. Prof. Kazimierza Tomczaka: Sens życia, Tyranja frazesu, Wobec nowych zadań.

Dr. Antoni Prus wydał ciekawe pamiętniki p. t. Po traktacie brzeskim, Wyprawa Brygadjera Hallera.

Dr. Stefan Glixelli wydał we Lwowie w wydawnictwie „Prace tow. filolologów nowożytnych“ pracę swą p. t. „Studja i szkice porównawcze (Rabelais i Rej).

Kol. Józef Mencel pisze: „Mieszkam od zimy w Nizkołyzach koło Buczacza i biedzę się z odbudową doszczętnie zniszczonego gospodarstwa. To co zdążyłem ubiegłego roku już zrobić, zniszczyły mi znowu dwie inwazje ukraińskie i trzeba po raz trzeci w tych pięciu latach zaczynać od samego początku. Wogóle zdaje mi się, że niema podlejszego kąta na świecie, jak ta wschodnia Galicja, a w niej znowu okolice Złotej Lipy, nad którą mieszkam, nąleżą do najnieszczęśliwszych. Tadzio mieszka w Medyni koło Wojniłowa, a Staś gospodaruje w Pawełczu, gdzie się też bardzo często zjeżdżamy. Paweł jest podporucznikiem w 2 pułku szwoleżerów, obecnie na Śląsku“.

O braciach Chwalibogach otrzymaliśmy takie wiadomości: Mieczysław pozostaje dotąd na Syberji w Semipałatyńskiej gub. w Pawłodarze i bardzo tęskni za ojczyzną. Jan służy w 2 p. szwoleżerów na Śląsku, a Stanisław w 5 p. p.

Z Ameryki powrócił, służąc w armji Hallera kol. Zygmunt Janczura. Dr. Jerzy Nowosielecki opuścił służbę sądową i gospodaruje w majątku Wojtkowa.

Romuald Skarbek został starostą w Dobromilu. Dr. Albert Knaur wyjechał do Paryża z ramienia władz polskich w sprawach handlowych. Stanisław Mikulicz-Radecki został szefem w Ministerstwie wojny w Warszawie.

Poprzednio w związki małżeńskie wstąpili Koledzy: Konstanty Gołębski, Janusz Kozłowski, Jerzy Strowski, Józef Hohendorff. W czerwcu odbył się ślub oficera pol. żeglugi Antoniego hr. Ledóchowskiego z baronówną Matyldą Warnesius i Kol. Mieczysława Cichockiego z panną Zajączkowską, siostrą Dra M. Z. w Krakowie. We Lwowie pobłogosławił d. 30 lipca X. W. Rejowicz ślub Kol. Józefa Praglowskiego z p. Jadwigą Stankiewiczówną, siostrą Kol. Leona St. D. 2. sierpnia odbył się ślub Inż. Marjana Bosakowskiego z p. Julją Chrzanowską w Trzebosi koło Kolbuszowej. W Warszawie d. 19. września odbył się ślub Kol. Witolda Choynowskiego z p. E. Skibińską. Otrzymaliśmy zawiadomienie, że d. 11. października odbędzie się ślub por. Feliksa Markiewicza z p. Anną Krąkowską z Sałaszy. We Lwowie d. 9. września odbył się ślub por. Tadeusza Strutyńskiego z p. Heleną Malinowską.

Chyrów w ostatnich miesiącach odwiedzili następujący Koledzy: H. Linderski, J. Lubaczewski, L. Stankiewicz, J. Osostowicz, Z. Skalski, L. Pragłowski, J. Reklewski, Józ. Strzelecki, Dr. W. Jarzymowski, J. Ignaszewski, W. Kotarski, S. Szultis, X. W. Piotrowski, A. Laskowski, X. Dr. E. Jełowicki, St. Jakubowski, Inż. Stanisław Olszański, J. Wartanowicz, A. Sroczyński, Stan. Dunikowski, Mieczysław Du Laurans, Rafał Cywiński, Rom. Gluziński, X. Włodzimierz Konopka, Marjusz Gottleb - Haszlakiewicz, Stanisław Sokalski, Dr. Jerzy Rosinkiewicz, Dr. Stanisław Salkowski, Jan Kuhn, Inż. Jerzy Kopecki, Ludwik Myszkowski, Stanisław Rehman, Adam Narajewski, Juljusz Styfi, Stanisław Lewiński, Eryk Proń, Eust. Horodyński, Dr. A. Sabatowski.

Poprzednio w związki małżeńskie wstąpili Koledzy: Konstanty Gołębski, Janusz Kozłowski, Jerzy Strowski, Józef Hohendorff. W czerwcu odbył się ślub oficera pol. żeglugi Antoniego hr. Ledóchowskiego z baronówną Matyldą Warnesius i Kol. Mieczysława Cichockiego z panną Zajączkowską, siostrą Dra M. Z. w Krakowie. We Lwowie pobłogosławił d. 30 lipca X. W. Rejowicz ślub Kol. Józefa Pragłowskiego z p. Jadwigą Stankiewiczówną, siostrą Kol. Leona St. D. 2. sierpnia odbył się ślub Inż. Marjana Bosakowskiego z p. Julją Chrzanowską w Trzebosi koło Kolbuszowej. W Warszawie d. 19. września odbył się ślub Kol. Witolda Choynowskiego z p. E. Skibińską. Otrzymaliśmy zawiadomienie, że d. 11. października odbędzie się ślub por. Feliksa Markiewicza z p. Anną Krąkowską z Sałaszy. We Lwowie d. 9. września odbył się ślub por. Tadeusza Strutyńskiego z p. Heleną Malinowską.

Chyrów w ostatnich miesiącach odwiedzili następujący Koledzy: H. Linderski, J. Lubaczewski, L. Stankiewicz, J. Osostowicz, Z. Skalski, L. Pragłowski, J. Reklewski, Józ. Strzelecki, Dr. W. Jarzymowski, J. Ignaszewski, W. Kotarski, S. Szultis, X. W. Piotrowski, A. Laskowski, X. Dr. E. Jełowicki, St. Jakubowski, Inż. Stanisław Olszański, J. Wartanowicz, A. Sroczyński, Stan. Dunikowski, Mieczysław Du Laurans, Rafał Cywiński, Rom. Gluziński, X. Włodzimierz Konopka, Marjusz Gottleb-Haszlakiewicz, Stanisław Sokalski, Dr. Jerzy Rosinkiewicz, Dr. Stanisław Salkowski, Jan Kuhn, Inż. Jerzy Kopecki, Ludwik Myszkowski, Stanisław Rehman, Adam Narajewski, Juljusz Styfi, Stanisław Lewiński, Eryk Proń, Eust. Horodyński, Dr. A. Sabatowski.

Sprawa.

Taki tytuł, może za mało mówiący, nosi nowy tygodnik, wychodzący w Warszawie pod kierunkiem posła do Sejmu, X. Dra Kazimierza Lutosławskiego, poświęcony odrodzeniu narodowemu w duchu katolickim. Przypomina on nieco przerwaną wskutkiem wojny „Kronikę Powszechną“, wydawaną staraniem Tow. im. P. Skargi we Lwowie, przewyższa ją jednak aktualnością i ruchliwością.

Pismo to ze wszechmiar godne ogólnego poparcia z rzadką czujnością przynosi co tydzień wiadomości o życiu, ruchu i prądach narodowych, politycznych i moralnych z całej Polski, a zwłaszcza z jej stolicy. Kierownicy „Sprawy“ trzymając jakby rękę na pulsie narodu, zwalczają chorobliwe jego objawy, szkodliwe komunały i przesądy, a szerząc gruntowne uświadomienie religijne, dążą do usuwania ze społeczeństwa naszego uprzedzeń do wiary i Kościoła. Czytelnik „Sprawy“ ma też sposobność zapoznać się bez wertowania wielu dziennikom z działalnością i zadaniami naszego Sejmu i jego partyj. Niema prawie sprawy bieżącej, którejby „Sprawa“ nie poruszała i nie omawiała, oświetlając ją w duchu chrześcijańskim i polskim. Mamy też dokładnie a zwięźle podawany przegląd prasy perjodycznej i polskiego piśmiennictwa, a nawet pokłosie z dziennikarstwa, co w obecnych czasach, gdy się już połączyły wszystkie nasze dzielnice, jest wielkiej doniosłości.

W tym tygodniku widzimy, że do starszych pracowników pióra przyłączyło się wiele młodych i zdolnych sił. Oprócz głównych kierowników pisma X. Dra Lutosławskiego, X. K. Tomczaka, X. Dra Wilanowskiego oraz pp. T. Błażejewicza, J. Chacińskiego, najczęściej pisują S. Cywiński, T. Turkowski, X. W. Czeczot, X. A. Wyrębowski, A. Puchała, X. Dr. J. Herget, J. Dziewałtowski, L. Rabiński, S. Skonieczny, X. L. Jarosz i wielu innych.

Jedną z najbardziej sympatycznych cech „Sprawy“ jest troskliwość o wychowanie młodzieży i tego wszystkiego, co się z tą sprawą łączy. Dowód na to między innemi mamy choćby w prześlicznym życiorysie przedwcześnie zmarłego, a nieodżałowanego ś. p. X. Leona Kulwiecia zasłużonego i świątobliwego prefekta i kierownika Sodalicji M., napisanym przez p. Bronisława Załuskiego.

Nowej placówce dla sprawy katolickiej zasyłamy życzenia wytrwałości i serdeczne: Szczęść Boże! Wszystkich zaś naszych przyjaciół zachęcamy do gorliwego popierania i czytania „Sprawy“.

Prenumerata roczna wynosi 55 Mk.
Administracja: Warszawa, Zgoda 5.

Sprawa.

Taki tytuł, może za mało mówiący, nosi nowy tygodnik, wychodzący w Warszawie pod kierunkiem posła do Sejmu, X. Dra Kazimierza Lutosławskiego, poświęcony odrodzeniu narodowemu w duchu katolickim. Przypomina on nieco przerwaną wskutkiem wojny „Kronikę Powszechną", wydawaną staraniem Tow. im. P. Skargi we Lwowie, przewyższa ją jednak aktualnością i ruchliwością.

Pismo to ze wszechmiar godne ogólnego poparcia z rzadką czujnością przynosi co tydzień wiadomości o życiu, ruchu i prądach narodowych, politycznych i moralnych z całej Polski, a zwłaszcza z jej stolicy. Kierownicy „Sprawy" trzymając jakby rękę na pulsie narodu, zwalczają chorobliwe jego objawy, szkodliwe komunały i przesądy, a szerząc gruntowne uświadomienie religijne, dążą do usuwania ze społeczeństwa naszego uprzedzeń do wiary i Kościoła. Czytelnik „Sprawy" ma też sposobność zapoznać się bez wertowania wielu dziennikom z działalnością i zadaniami naszego Sejmu i jego partyj. Niema prawie sprawy bieżącej, którejby „Sprawa" nie poruszała i nie omawiała, oświetlając ją w duchu chrześcijańskim i polskim. Mamy też dokładnie a zwięźle podawany przegląd prasy perjodycznej i polskiego piśmiennictwa, a nawet pokłosie z dziennikarstwa, co w obecnych czasach, gdy się już połączyły wszystkie nasze dzielnice, jest wielkiej doniosłości.

W tym tygodniku widzimy, że do starszych pracowników pióra przyłączyło się wiele młodych i zdolnych sił. Oprócz głównych kierowników pisma X. Dra Lutosławskiego, X. K. Tomczaka, X. Dra Wilanowskiego oraz pp. T. Błażejewicza, J. Chacińskiego, najczęściej pisują S. Cywiński, T. Turkowski, X. W. Czeczot, X. A. Wyrębowski, A. Puchała, X. Dr. J. Herget, J. Dziewałtowski, L. Rabiński, S. Skonieczny, X. L. Jarosz i wielu innych.

Jedną z najbardziej sympatycznych cech „Sprawy" jest troskliwość o wychowanie młodzieży i tego wszystkiego, co się z tą sprawą łączy. Dowód na to między innemi mamy choćby w prześlicznym życiorysie przedwcześnie zmarłego, a nieodżałowanego ś. p. X. Leona Kulwiecia zasłużonego i świątobliwego prefekta i kierownika Sodalicji M., napisanym przez p. Bronisława Załuskiego.

Nowej placówce dla sprawy katolickiej zasyłamy życzenia wytrwałości i serdeczne: Szczęść Boże! Wszystkich zaś naszych przyjaciół zachęcamy do gorliwego popierania i czytania „Sprawy".

Prenumerata roczna wynosi 55 Mk.
Administracja: Warszawa, Zgoda 5.

KRONIKA KONWIKTOWA.

XXXIII rok szkolny 1919/20.

Orlęta młode z gniazd pościeli
Wygnane podczas zawieruchy
Dziś powracacie w jasny czas!
Ziemią złocistą liść się ściele...
Gniazdo w radosnej czeka bieli,
Strzeżone przez swych ojców duchy
I krzyżem wieży wita was.
Na złomach murów słońcem ryte
Mocarne hasło widne zdala:
Już odwalony martwych głaz!
Niech serca wasze, w piersiach skryte
Co tworzyć Polsce będą świtę,
Olbrzymich lotów czyn zapala!
Tem hasłem gniazdo wita Was!...

J. Kozłowski.

We środę d. 10-tego września już zdala w pociągach, które nas wiozły, widać było Konwikt po raz pierwszy w wolnej Polsce ozdobiony narodowemi sztandarami. Jakaż to wielka różnica w usposobieniu i uczuciach naszych pomiędzy dzisiejszym przyjazdem, a grudniowym wyjazdem z Chyrowa... Z partją lwowską wracał po pracy misjonarskiej O. L. Kapaun zdaleka, bo aż z Pińska. Konwikt odczyszczony i uporządkowany tak, że gdyby nie brak wielu szyb, niktby nawet nie przypuszczał, co się tu działo. Nazajutrz we czwartek uroczyste wstępne nabożeństwo celebrował O. Rektor, a kazanie zachęcające do wytrwałej nauki miał O. Kuraś. Opowiadań z wojennych przeżyć i tułaczki było wśród kolegów bez końca. Na maturę przybyli jeszcze z zeszłorocznych ósmaków wojak z pod Sądowej Wiszni Z. Surówka i J. Zerygiewicz. Zaczęły się wkrótce liczne egzamina kolegów, którzy swych klas nie pokończyli: niestety rezultat ich dla niektórych był smutny, gdyż skutkiem braku książek i rozproszenia nie mogli do następnej klasy należycie się przygotować. Powtarzanie klasy dla niektórych z nich będzie niezawinioną pamiątką ruskiej inwazji.

Zaczęła się szkoła; choć w niektórych klasach jeszcze szyb niema, jednak ich brak nie dawał się odczuwać wskutek pięknej pogody, która nam pozwalała używać jeszcze kąpieli w Strwiążu. Zauważyłem, że ten granat, który nam rozbił lecznicę był jednak dobroczynnym, gdyż przyczynił się do rozszerzenia w dwójnasób boligłówki, co też do kroniki wojennej trzeba dla przyszłych pokoleń zapisać, a starzy Chyrowiacy odwiedzający Konwikt, będą ciekawi zobaczyć, jak ta zrestaurowana boligłówka teraz wygląda. Zresztą i w wolnej Polsce, zabraliśmy się jak było i poprzednio do logarytmów, gramatyk, historyj różnych, jedynie tylko kl. pierwsza nie uczy się teraz jeszcze języka niemieckiego. Jest nas uczniów

KRONIKA KONWIKTOWA.

XXXIII rok szkolny 1919/20.

Orlęta młode z gniazd pościeli
Wygnane podczas zawieruchy
Dziś powracacie w jasny czas!
Ziemią złocistą liść się ściele...
Gniazdo w radosnej czeka bieli,
Strzeżone przez swych ojców duchy
I krzyżem wieży wita was.
Na złomach murów słońcem ryte
Mocarne hasło widne zdala:
Już odwalony martwych głaz!
Niech serca wasze, w piersiach skryte
Co tworzyć Polsce będą świtę,
Olbrzymich lotów czyn zapala!
Tem hasłem gniazdo wita Was!...

J. Kozłowski.

We środę d. 10-tego września już zdala w pociągach, które nas wiozły, widać było Konwikt po raz pierwszy w wolnej Polsce ozdobiony narodowemi sztandarami. Jakaż to wielka różnica w usposobieniu i uczuciach naszych pomiędzy dzisiejszym przyjazdem, a grudniowym wyjazdem z Chyrowa... Z partją lwowską wracał po pracy misjonarskiej O. L. Kapaun zdaleka, bo aż z Pińska. Konwikt odczyszczony i uporządkowany tak, że gdyby nie brak wielu szyb, niktby nawet nie przypuszczał, co się tu działo. Nazajutrz we czwartek uroczyste wstępne nabożeństwo celebrował O. Rektor, a kazanie zachęcające do wytrwałej nauki miał O. Kuraś. Opowiadań z wojennych przeżyć i tułaczki było wśród kolegów bez końca. Na maturę przybyli jeszcze z zeszłorocznych ósmaków wojak z pod Sądowej Wiszni Z. Surówka i J. Zerygiewicz. Zaczęły się wkrótce liczne egzamina kolegów, którzy swych klas nie pokończyli: niestety rezultat ich dla niektórych był smutny, gdyż skutkiem braku książek i rozproszenia nie mogli do następnej klasy należycie się przygotować. Powtarzanie klasy dla niektórych z nich będzie niezawinioną pamiątką ruskiej inwazji.

Zaczęła się szkoła; choć w niektórych klasach jeszcze szyb niema, jednak ich brak nie dawał się odczuwać wskutek pięknej pogody, która nam pozwalała używać jeszcze kąpieli w Strwiążu. Zauważyłem, że ten granat, który nam rozbił lecznicę był jednak dobroczynnym, gdyż przyczynił się do rozszerzenia w dwójnasób boligłówki, co też do kroniki wojennej trzeba dla przyszłych pokoleń zapisać, a starzy Chyrowiacy odwiedzający Konwikt, będą ciekawi zobaczyć, jak ta zrestaurowana boligłówka teraz wygląda. Zresztą i w wolnej Polsce, zabraliśmy się jak było i poprzednio do logarytmów, gramatyk, historyj różnych, jedynie tylko kl. pierwsza nie uczy się teraz jeszcze języka niemieckiego. Jest nas uczniów

z górą 300. W gronie księży zmian było bardzo mało, a X. Prokurator J. Bury ma kłopotów z aprowizacją bardzo wiele. Wprowadzamy wraz z nową pisownią i nowe konwiktowe czapki i mundurki. Pisownię, to już każdy widzi, bo piszemy „aprowizacja" przez j, a jak wygląda nowa konwiktowa czapka, konfederatka, to pokażemy, na fotografji w następnym zeszycie.

Zauważyłem również, że znów kilku starych Chyrowiaków tatusiów przywiozło do Konwiktu swoich synusiów, więc przychodzi mi na myśl, że oniby powinni jakiś nowy klub czy związek założyć. Na przechadzkach oglądamy zasieki i rowy z majowych bitew, zbieramy jeszcze napotykane czasami łuski z naboi i granatów, tylko w lasach rydzow ani orzechów jakoś w tym roku znaleźć nie możemy.

D. 21 go września Prezydjum Związku Chyrowiaków miało swe posiedzenie, a nazajutrz odbyło się nabożeństwo za poległych na polu chwały i zmarłych w ostatnim roku dawnych Chyrowiaków, które odprawił O. Rektor; w czasie nabożeństwa wystąpił po raz pierwszy w tym roku nasz chór pod kierunkiem X. Wantuchowskiego. Walne i wyborcze zebranie naszego Koła Skargowskiego odbyło się d. 23-go września. Ustępujący prezes Kol. J. Zerygiewicz zdał jeszcze sprawozdanie z zeszłorocznej patrjotycznej ankiety: wybory dały następujący wynik: prezesem obrano kol. Jerzego Rylskiego, zastępcą I. Choróbskiego, sekretarzem Z. Sochę, skarbnikiem M. Ledóchowskiego, wydziałowymi zostali: F. Ritter J. Zawisza, B. Surówka, Z. Lityński, A. Kozłowski, K. Przybyszowski i K. Liwicki. Sekcja Bratniej pomocy wzrosła w tym roku dość pokaźnie, a do jej wydziału weszli kol. J. Choróbski, H. Krasiński i A. Dembiński.

Muzyką zajmuje się w tym roku O. Kohlsdorfer, a kierownictwem albo raczej wskrzeszeniem teatru ma się zająć O Wojnar, tymczasem i narazie pomagamy mu w uporządkowaniu mocno podniszczonej i przetrzebionej przez Rusinów naszej teatralnej garderoby. Tenis i szczudła, piłka nożna i krążnik po staremu służą za rozrywkę na boiskach, a na niektórych zabrano się nawet do odbudowy ławek i kręgielni. Kilku młodszych kolegów chciało wzgardzić naszem koleżeństwem i samowolnie zmieniać miejsce stałego pobytu, za co przez swoich rodziców zostało przykładnie skarconych za tę rozrzutność, gdyż obecnie bilety kolejowe dwukrotnie podrożały. Jeden z młodszych żołnierzy pisał, że chętnieby bardzo wrócił do Konwiktu i siedziałby nad Tacytem, aby tylko nie czyścić w wojsku konia. Tak widać na świecie zawsze sobie ludzie muszą zazdrościć.

Pierwsza tegoroczna dłuższa wycieczka do lasów na pieczenie ziemniaków ładnie się udała d. 25-go września. Tegoż dnia wieczorem zaczęliśmy rekolekcje pod kierunkiem O. Dzierżanowskiego.

D. 26-go września zdali maturę Kol. Zbigniew Surówka, Józef

z górą 300. W gronie księży zmian było bardzo mało, a X. Prokurator J. Bury ma kłopotów z aprowizacją bardzo wiele. Wprowadzamy wraz z nową pisownią i nowe konwiktowe czapki i mundurki. Pisownię, to już każdy widzi, bo piszemy „aprowizacja" przez j, a jak wygląda nowa konwiktowa czapka, konfederatka, to pokażemy, na fotografji w następnym zeszycie.

Zauważyłem również, że znów kilku starych Chyrowiaków tatusiów przywiozło do Konwiktu swoich synusiów, więc przychodzi mi na myśl, że oniby powinni jakiś nowy klub czy związek założyć. Na przechadzkach oglądamy zasieki i rowy z majowych bitew, zbieramy jeszcze napotykane czasami łuski z naboi i granatów, tylko w lasach rydzow ani orzechów jakoś w tym roku znaleźć nie możemy.

D. 21 go września Prezydjum Związku Chyrowiaków miało swe posiedzenie, a nazajutrz odbyło się nabożeństwo za poległych na polu chwały i zmarłych w ostatnim roku dawnych Chyrowiaków, które odprawił O. Rektor; w czasie nabożeństwa wystąpił po raz pierwszy w tym roku nasz chór pod kierunkiem X. Wantuchowskiego. Walne i wyborcze zebranie naszego Koła Skargowskiego odbyło się d. 23-go września. Ustępujący prezes Kol. J. Zerygiewicz zdał jeszcze sprawozdanie z zeszłorocznej patrjotycznej ankiety: wybory dały następujący wynik: prezesem obrano kol. Jerzego Rylskiego, zastępcą I. Choróbskiego, sekretarzem Z. Sochę, skarbnikiem M. Ledóchowskiego, wydziałowymi zostali: F. Ritter J. Zawisza, B. Surówka, Z. Lityński, A. Kozłowski, K. Przybyszowski i K. Liwicki. Sekcja Bratniej pomocy wzrosła w tym roku dość pokaźnie, a do jej wydziału weszli kol. J. Choróbski, H. Krasiński i A. Dembiński.

Muzyką zajmuje się w tym roku O. Kohlsdorfer, a kierownictwem albo raczej wskrzeszeniem teatru ma się zająć O Wojnar, tymczasem i narazie pomagamy mu w uporządkowaniu mocno podniszczonej i przetrzebionej przez Rusinów naszej teatralnej garderoby. Tenis i szczudła, piłka nożna i krążnik po staremu służą za rozrywkę na boiskach, a na niektórych zabrano się nawet do odbudowy ławek i kręgielni. Kilku młodszych kolegów chciało wzgardzić naszem koleżeństwem i samowolnie zmieniać miejsce stałego pobytu, za co przez swoich rodziców zostało przykładnie skarconych za tę rozrzutność, gdyż obecnie bilety kolejowe dwukrotnie podrożały. Jeden z młodszych żołnierzy pisał, że chętnieby bardzo wrócił do Konwiktu i siedziałby nad Tacytem, aby tylko nie czyścić w wojsku konia. Tak widać na świecie zawsze sobie ludzie muszą zazdrościć.

Pierwsza tegoroczna dłuższa wycieczka do lasów na pieczenie ziemniaków ładnie się udała d. 25-go września. Tegoż dnia wieczorem zaczęliśmy rekolekcje pod kierunkiem O. Dzierżanowskiego.

D. 26-go września zdali maturę Kol. Zbigniew Surówka, Józef

Zerygiewicz i Zygmunt Bielawski Kl. T. J. Wieczorem przyjechał X. Prowincjał i przywiózł nam z Wilna gipsowy odlew twarzy ś. p. Wiwulskiego. W Wilnie przy kościele św. Kazimierza pracują ze znajomych XX. Rudnicki, Konopiński, Tomaka i Br. Janiszewski.

Rekolekcje skończyliśmy na św. Michała; przed generalną Komunią św. przemawiał N. X. Biskup K. Fischer, a potem prawie połowa konwiktorów została umocniona sakramentem Bierzmowania. Wieczorem w imieniu kolegów złożył podziękowanie dostojnemu Arcypasterzowi kol. M. Ledóchowski.

Rolnicy już pragną deszczu na zasiewy, my jednak z pięknej wciąż pogody jesteśmy zupełnie zadowoleni, bo na boiskach używamy ruchu, a na przechadzkach śpiewem naszym ożywiamy okolicę. Armje nasze zajmują Dźwińsk, Połock, Borysów, Bobrujsk itd. a my jej ruchy śledzimy tymczasem na mapach. Najnowsza wiadomość doszła dziś do kl. VII., że O. Nuckowski zaczął druk nowego trzeciego wydania swej Logiki. O. Żukotyński po staremu ma dużo kłopotów z telefonami i dzwonkami, choć te pomimo inwazji po staremu nas budzą. Utrzymują niektórzy, że największy interes na wojnie zrobił jedynie O. Sas, gdyż jego zbiory medali, odznak i różnych pieniędzy wzrastają z niebywałą dotąd szybkością, a na łuski z granatów, szrapneli i tym podobne wojenne pamiątki osobną szafę zaprowadził, w czem znów pomaga mu O. Łazarczyk, specjalista w rozbrajaniu szrapneli. Inny kronikarz znów notuje o jakimś przykrym wypadku, który pewnemu koledze zdarzył się w sypialni z miednicą, ale brak nam miejsca, aby to obszernie opisywać.

Zaczęliśmy się znów zbierać w czytelni Skargowskiej, gdzie wspominano o ubiegłych przejściach i różnych gimnazjach, w których kształcili się koledzy. Tu wreszcie można zanotować, że Redakcja Kwartalnika w czasie inwazji znalazła się w Krakowie, gdzie na Małym Rynku l. 8. wydała trzy arkuszowe numery gazetki, a kilku kolegów, również jak tu w czytelni pomagało w ekspedycji Kwartalnika w różne strony.

Spojrzałem do kalendarza i widzę, iż w październiku ani jednego święta niema. Nie wiem, jaki z tego wyciągnąć wniosek na rachunek klasyfikacji? Czy będzie ona lepsza, czy gorsza, przyszłość pokaże, a w następnej kronice zanotujemy.



Zerygiewicz i Zygmunt Bielawski Kl. T. J. Wieczorem przyjechał X. Prowincjał i przywiózł nam z Wilna gipsowy odlew twarzy ś. p. Wiwulskiego. W Wilnie przy kościele św. Kazimierza pracują ze znajomych XX. Rudnicki, Konopiński, Tomaka i Br. Janiszewski.

Rekolekcje skończyliśmy na św. Michała; przed generalną Komunią św. przemawiał N. X. Biskup K. Fischer, a potem prawie połowa konwiktorów została umocniona sakramentem Bierzmowania. Wieczorem w imieniu kolegów złożył podziękowanie dostojnemu Arcypasterzowi kol. M. Ledóchowski.

Rolnicy już pragną deszczu na zasiewy, my jednak z pięknej wciąż pogody jesteśmy zupełnie zadowoleni, bo na boiskach używamy ruchu, a na przechadzkach śpiewem naszym ożywiamy okolicę. Armje nasze zajmują Dźwińsk, Połock, Borysów, Bobrujsk itd. a my jej ruchy śledzimy tymczasem na mapach. Najnowsza wiadomość doszła dziś do kl. VII., że O. Nuckowski zaczął druk nowego trzeciego wydania swej Logiki. O. Żukotyński po staremu ma dużo kłopotów z telefonami i dzwonkami, choć te pomimo inwazji po staremu nas budzą. Utrzymują niektórzy, że największy interes na wojnie zrobił jedynie O. Sas, gdyż jego zbiory medali, odznak i różnych pieniędzy wzrastają z niebywałą dotąd szybkością, a na łuski z granatów, szrapneli i tym podobne wojenne pamiątki osobną szafę zaprowadził, w czem znów pomaga mu O. Łazarczyk, specjalista w rozbrajaniu szrapneli. Inny kronikarz znów notuje o jakimś przykrym wypadku, który pewnemu koledze zdarzył się w sypialni z miednicą, ale brak nam miejsca, aby to obszernie opisywać.

Zaczęliśmy się znów zbierać w czytelni Skargowskiej, gdzie wspominano o ubiegłych przejściach i różnych gimnazjach, w których kształcili się koledzy. Tu wreszcie można zanotować, że Redakcja Kwartalnika w czasie inwazji znalazła się w Krakowie, gdzie na Małym Rynku l. 8. wydała trzy arkuszowe numery gazetki, a kilku kolegów, również jak tu w czytelni pomagało w ekspedycji Kwartalnika w różne strony.

Spojrzałem do kalendarza i widzę, iż w październiku ani jednego święta niema. Nie wiem, jaki z tego wyciągnąć wniosek na rachunek klasyfikacji? Czy będzie ona lepsza, czy gorsza, przyszłość pokaże, a w następnej kronice zanotujemy.



SPRAWY ZWIĄZKU CHYROWIAKÓW.

D. 21-go września odbyło się w Chyrowie pod przewodnictwem prezesa Dra Jerzego Rosinkiewicza posiedzenie Prezydjum. Prezes wyraził protektorowi Związku X. Rektorowi najpierw wyrazy współczucia z powodu przejść i cierpień, jakie Konwikt wskutek inwazji ruskiej przechodził, a następnie objawił radość naszą z powodu odnowienia Konwiktu.

Po dłuższej dyskusji ułożono adres do Pana Prezydenta Ministrów wraz z uchwalonemi oświadczeniami, które też podano do dzienników.

Po wyczerpującem omówieniu zatwierdzono statut Spółki Domu Chyrowiaków we Lwowie. Udziały członków uchwalono w kwocie 1000 K. lub Mk. Prezydjum zwraca się do członków Związku z prośbą o jaknajliczniejszy udział w tej Spółce i o nadsyłanie deklaracji, do Prezesa (Lwów, Szopena 5) lub do Redakcji Kwartalnika. Do Spółki przystępować mogą i osoby z poza Związku oraz nie będące uczniami Konwiktu.

Ku upamiętnieniu Zmartwychwstania Ojczyzny naszej uchwalono poświęcić następny zeszyt Kwartalnika wolnej Polsce, wypełniony utworami Chyrowiaków. Zeszyt ten ma też wyjść jako Noworocznik Chyrowski, aby się i szerzej mógł rozpowszechnić.

Na członka założyciela z wkładką 500 K. przybył Kol. Marjusz Gottleb-Haszlakiewicz.

Skarbnik Dr. J. Ausobsky zdał następujące sprawozdanie kasowe za rok 1918 na 19:

Stan Kasy Związku b. Chyrowiaków d. 1. lipca 1919:

1)	Stypendjum Koleżeńskie	10000	K.	— h.
	Odsetki 400 K. otrzymał stypendysta.			
	Drugie stypendjum z r. poprzed. . . .	1279	„	14 „
	Odsetki	49	„	8 „
		1327	K.	22 h.
2)	Kapitał żelazny:			
	Stan z r. 1917/8	4212	K.	— h.
	Wkładki członków założycieli . . .	1000	„	— „
	Datki nadzwyczajne	54	„	— „
		5266	K.	— h.
3)	Kapitał rezerwowy:			
	Z lat poprzednich	122	K.	12 h.
	Odsetki	4	„	88 „
		127	K.	— h.

SPRAWY ZWIĄZKU CHYROWIAKÓW.

D. 21-go września odbyło się w Chyrowie pod przewodnictwem prezesa Dra Jerzego Rosinkiewicza posiedzenie Prezydjum. Prezes wyraził protektorowi Związku X. Rektorowi najpierw wyrazy współczucia z powodu przejść i cierpień, jakie Konwikt wskutek inwazji ruskiej przechodził, a następnie objawił radość naszą z powodu odnowienia Konwiktu.

Po dłuższej dyskusji ułożono adres do Pana Prezydenta Ministrów wraz z uchwalonemi oświadczeniami, które też podano do dzienników.

Po wyczerpującem omówieniu zatwierdzono statut Spółki Domu Chyrowiaków we Lwowie. Udziały członków uchwalono w kwocie 1000 K. lub Mk. Prezydjum zwraca się do członków Związku z prośbą o jaknajliczniejszy udział w tej Spółce i o nadsyłanie deklaracji, do Prezesa (Lwów, Szopena 5) lub do Redakcji Kwartalnika. Do Spółki przystępować mogą i osoby z poza Związku oraz nie będące uczniami Konwiktu.

Ku upamiętnieniu Zmartwychwstania Ojczyzny naszej uchwalono poświęcić następny zeszyt Kwartalnika wolnej Polsce, wypełniony utworami Chyrowiaków. Zeszyt ten ma też wyjść jako Noworocznik Chyrowski, aby się i szerzej mógł rozpowszechnić.

Na członka założyciela z wkładką 500 K. przybył Kol. Marjusz Gottleb-Haszlakiewicz.

Skarbnik Dr. J. Ausobsky zdał następujące sprawozdanie kasowe za rok 1918 na 19:

Stan Kasy Związku b. Chyrowiaków d. 1. lipca 1919:

1)	Stypendjum Koleżeńskie	10000	K.	— h.
	Odsetki 400 K. otrzymał stypendysta.			
	Drugie stypendjum z r. poprzed. . . .	1279	„	14 „
	Odsetki	49	„	8 „
		1327	K.	22 h.
2)	Kapitał żelazny:			
	Stan z r. 1917/8	4212	K.	— h.
	Wkładki członków założycieli . . .	1000	„	— „
	Datki nadzwyczajne	54	„	— „
		5266	K.	— h.
3)	Kapitał rezerwowy:			
	Z lat poprzednich	122	K.	12 h.
	Odsetki	4	„	88 „
		127	K.	— h.

4) Kapitał obrotowy:

Przychód:

Pozostałość z roku ubiegłego . . .	60	K.	44 h.
Wpisowe, wkładki czł. zwycz. . . .	2071	„	— „
Wkład. czł. założ. i dat. nad. . . .	1054	„	— „
Zwrot pożyczek	450	„	— „
Zebrano na Dom Chyrowiaków . . .	425	„	— „
Zebrano na określone cele	230	„	— „
Odsetki od kapitału żelaz. i ob. . . .	186	„	17 „
	4476	K.	61 h.

Rozchód:

Na kapitał żelazny	1054	K.	— h.
Na Kwartalnik Chyrowski	900	„	— „
Na Dom Chyrowiaków	425	„	— „
$^3/_4$ wkładek na Koło Krakow. . . .	330	„	— „
„ „ „ „ Lwowsk. . . .	319	„	— „
„ „ „ „ Chyrow. . . .	228	„	— „
Pożyczki zapomogowe	300	„	— „
Dla uczniów Wileńskich	100	„	— „
Nabożeństwo za ś. p. Wiwulskiego . .	90	„	— „
Administracja	58	„	— „
Porto listów	51	„	29 „
Wkładka do stowarzyszeń	10	„	— „
Na głodnych Lwowa	50	„	— „
	3915	K.	29 h.
Do przeniesienia na r. nast. . .	561	„	32 „
	4476	K.	61 h.

Kapitały nieruchome są umieszczone w polskiej pożyczce państwowej na kwotę . . . . 17200 K. — h.

Wreszcie uchwalono zwołać pierwsze w wolnej Polsce doroczne walne zebranie Związku na dzień 7-my grudnia b. r.

ZAWIADOMIENIE.

Stosownie do 58 § Statutu na posiedzeniu Prezydjum Związku uchwalono zwołać walne i wyborcze zebranie Związku na dzień 7-my grudnia 1919 r. w Chyrowie, na godzinę 11 rano.

Posiedzenie Prezydjum odbędzie się przed tem zebraniem, na które członków Prezydjum i Komisję szkontrującą zapraszamy. Przypominamy, że według regulaminu nadzwyczajne wnioski należy przysyłać na piśmie na ręce prezesa na miesiąc przed zebraniem.

4) Kapitał obrotowy:

Przychód:

Pozostałość z roku ubiegłego . . .	60	K.	44	h.
Wpisowe, wkładki czł. zwycz. . . .	2071	„	—	„
Wkład. czł. założ. i dat. nad. . . .	1054	„	—	„
Zwrot pożyczek	450	„	—	„
Zebrano na Dom Chyrowiaków . . .	425	„	—	„
Zebrano na określone cele	230	„	—	„
Odsetki od kapitału żelaz. i ob. . . .	186	„	17	„
	4476	K.	61	h.

Rozchód:

Na kapitał żelazny	1054	K.	—	h.
Na Kwartalnik Chyrowski	900	„	—	„
Na Dom Chyrowiaków	425	„	—	„
3/4 wkładek na Koło Krakow. . . .	330	„	—	„
„ „ „ „ Lwowsk. . . .	319	„	—	„
„ „ „ „ Chyrow. . . .	228	„	—	„
Pożyczki zapomogowe	300	„	—	„
Dla uczniów Wileńskich	100	„	—	„
Nabożeństwo za ś. p. Wiwulskiego . .	90	„	—	„
Administracja	58	„	—	„
Porto listów	51	„	29	„
Wkładka do stowarzyszeń	10	„	—	„
Na głodnych Lwowa	50	„	—	„
	3915	K.	29	h.
Do przeniesienia na r. nast. . .	561	„	32	„
	4476	K.	61	h.

Kapitały nieruchome są umieszczone w polskiej pożyczce państwowej na kwotę . . . . 17200 K. — h.

Wreszcie uchwalono zwołać pierwsze w wolnej Polsce doroczne walne zebranie Związku na dzień 7-my grudnia b. r.

ZAWIADOMIENIE.

Stosownie do 58 § Statutu na posiedzeniu Prezydjum Związku uchwalono zwołać walne i wyborcze zebranie Związku na dzień 7-my grudnia 1919 r. w Chyrowie, na godzinę 11 rano.

Posiedzenie Prezydjum odbędzie się przed tem zebraniem, na które członków Prezydjum i Komisję szkontrującą zapraszamy. Przypominamy, że według regulaminu nadzwyczajne wnioski należy przysyłać na piśmie na ręce prezesa na miesiąc przed zebraniem.

Prezydjum uchwaliło, że na koszta zjazdu członkowie biorący udział w zebraniu mają złożyć po 50 K.

Usilnie prosimy o wczesne przysyłanie zgłoszeń na zjazd, a w tym celu załączamy osobne karty.

Wkładki do Związku oraz prenumeratę na Kwartalnik prosimy nadsyłać załączonemi przekazami.

OD REDAKCJI.

Przypominamy prośbę o jak najprędsze przysyłanie artykułów do następnego zeszytu ku uczczeniu wolnej Polski.

Prosimy o nadsyłanie zmienionych adresów swoich i Kolegów.

Zawiadamiamy, że na składzie posiadamy tylko niektóre zeszyty od 1 do 50 numeru, natomiast wszystkie późniejsze to jest z ostatnich lat 16 czyli od zeszytu 50 do 100; można je nabyć po 1 koronie za zeszyt.

REDAKCJA „KWARTALNIKA CHYROWSKIEGO"

CHYRÓW — KONWIKT.

REDAKTOR: X. TEOFIL BZOWSKI T. J.

Z DRUKARNI JÓZEFA STYFIEGO W PRZEMYŚLU 1919 R.

Prezydjum uchwaliło, że na koszta zjazdu członkowie biorący udział w zebraniu mają złożyć po 50 K.

Usilnie prosimy o wczesne przysyłanie zgłoszeń na zjazd, a w tym celu załączamy osobne karty.

Wkładki do Związku oraz prenumeratę na Kwartalnik prosimy nadsyłać załączonemi przekazami.

OD REDAKCJI.

Przypominamy prośbę o jak najprędsze przysyłanie artykułów do następnego zeszytu ku uczczeniu wolnej Polski.

Prosimy o nadsyłanie zmienionych adresów swoich i Kolegów.

Zawiadamiamy, że na składzie posiadamy tylko niektóre zeszyty od 1 do 50 numeru, natomiast wszystkie późniejsze to jest z ostatnich lat 16 czyli od zeszytu 50 do 100; można je nabyć po 1 koronie za zeszyt.

REDAKCJA „KWARTALNIKA CHYROWSKIEGO"

CHYRÓW — KONWIKT.

REDAKTOR: X. TEOFIL BZOWSKI T. J.

Z DRUKARNI JÓZEFA STYFIEGO W PRZEMYŚLU 1919 R.